

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/151

1960



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI -

St. SWIANIEWICZ - H. ROOS :

J. PIŁSUDSKI - W 25-CIOLECIE ŚMIERCI

H. ZOEGER :

WALKA O "TRZECIE ROZWIĄZANIE"

A. TRZEBIŃSKI : FRAGMENTY PAMIĘTNIKA

SPIS RZECZY

Stanisław Swianiewicz:	<i>Niezrealizowane plany Pilsudskiego</i>	3
Hans Roos:	<i>Józef Pilsudski i Charles de Gaulle</i>	11
Czesław Miłosz:	<i>Andrzej Trzebiński</i>	21
—	<i>Nota biograficzna A. Trzebińskiego</i>	25
Andrzej Trzebiński:	<i>Fragmenty pamiętnika</i>	27
K.A. Jeleński:	<i>Awangarda i rewolucja</i>	43
Marian Czuchnowski:	<i>Wiersze</i>	57

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Rozważania katastroficzne</i>	63
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	71

SĄSIEDZI

Heinz Zoeger:	<i>Walka o „trzecie rozwiązanie”</i>	77
Berlińczyk:	<i>Epilog afery Oberlaendera</i>	84
Bohdan Osadczyk:	<i>Dokąd idą Niemcy?</i>	86

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Władysław Pobóg-Malinowski:	<i>Słowo nie szablą, to piórem</i>	99
-----------------------------	---	----

KRONIKA KULTURALNA

Józef Trypućko:	<i>Stanisław Westfal</i>	135
—	<i>Komunikat o przedpłacie na książkę A. Chciuka</i>	140
—	<i>Zjazd Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie</i>	141

KSIĄŻKI

Paweł Hostowiec:	<i>Start</i>	143
Zbigniew Zaniewicki:	<i>O Miriamie i Morkowiczu</i>	146
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	149



I. M. Bocheński, M. Czarnecki, Zb. Grabowski, T. Katelbach, T. Komarnicki, M. Kozaryn, K. Okulicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	151
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj – Mai

1960

INSTYTUT



LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Heinz ZOEGER, ur. w r. 1917, z zawodu zecer. Jako 15-letni chłopiec zetknął się z ruchem lewicowym. W rok później po dojściu do władzy hitlerowców znalazł się po raz pierwszy w więzieniu, a potem w obozie koncentracyjnym. Po zwolnieniu przystąpił do pracy w nielegalnym ruchu komunistycznym. W r. 1942 został aresztowany ponownie i skazany za zdradę stanu na wieloletnie ciężkie więzienie. Odsiadywał karę w więzieniu w Halle, skąd został wyzwolony w r. 1945 przez wojska amerykańskie. Był najpierw sekretarzem Partii Komunistycznej w Halle. Następnie pracował do roku 1954 w Państwowym Komitecie Radiowym Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W r. 1955 został mianowany naczelnym redaktorem głównego tygodnika kulturalno-społecznego w NRD „Sonntag”, będącego w pewnym stopniu odpowiednikiem warszawskiej „Nowej Kultury” lub „Przeglądu Kulturalnego”. W piśmie tym usiłował forsować program „odwilży” i zreformowania wschodnio-niemieckiego systemu komunistycznego. Został aresztowany przez bezpiekę wschodnio-berlińską na wiosnę 1957 roku za działalność „kontrewolucyjną”, czyli za rewizjonizm. Skazany na dwa i pół roku ciężkiego więzienia, odsiedział pełną karę i wyszedł z więzienia ze złamanym zdrowiem.

Hans ROOS, dr filozofii. W czasie wojny oficer, dostał się do niewoli rosyjskiej w 1944 r. Z Rosji wrócił w r. 1949. Kontynuując przerwane studia, otrzymał doktorat filozofii w Tybindze, gdzie od 1955 roku jest naukowym współpracownikiem Arbeitsgemeinschaft für Osteuropaforschung. Od 1959 roku docent. Dotychczas opublikował „Polen und Europa”, liczne eseje historyczne m.in. „Die Tübinger Romantik und die Polen” (w Tübinger Blätter-Rocznik) oraz pięć rozdziałów w podręczniku „POLEN”. Specjalizuje się wyłącznie w historii Polski.

DALSZE WPLATY NA DOM “KULTURY”

Leon Mitkiewicz, New York (USA)	50.00	NF
Janusz Swienczyc-Wiland, Buenos Aires (Argentyna)	15.00	„
Michał K. Pawlikowski, Berkeley, Cal. (USA)	25.00	„
Bezimiennie (USA)	20.00	„
Bezimiennie (USA)	25.00	„

DZIĘKUJEMY

Niezrealizowane plany Piłsudskiego

W dniu 12 października 1919 r. Naczelnik Państwa otwierając uroczyste Wszechnicę Wileńską, po blisko 90 latach zamknięcia przez najeźdźcę, mówił o zmiennych losach tych murów, w których najlepsze umysły rozpały ogień tak wielki, że był drogowskazem w ciągu długich lat i świecił wielu pokoleniom. Wspomniał również o latach nieszczęścia, w których i sam był małym, nieznacznym autorem, bo w tych właśnie murach mieściło się gimnazjum rosyjskie, do którego Józef Piłsudski uczęszczał. „Wszystko co dla duszy dziecięcej było święte i drogie, mówił on w swoim przemówieniu, poddane było pogardzie i poniżeniu. Szlachetniejsze i wrażliwsze dusze wplatan o w koła męki, słabsze wyrzucano na śmietnisko upodlenia”.

Dlatego też, gdy stanął w chwale zwycięstwa, taką szczególną satysfakcją dla Józefa Piłsudskiego było oddać tę wskrzeszoną Wszechnicę w ręce pierwszego jej rektora po odrodzeniu, prof. Michała Siedleckiego.

Koło historii obróciło się — i dziś po 40 latach od owej pamiętnej dla wszystkich uczestników chwili, w tych murach wszystko co sercu polskiemu jest drogie znowu jest znieważane, lub w najlepszym wypadku ukrywane przed okiem ludzkim. Druga wojna światowa, po bezprzykładnych ofiarach i napięciu heroizmu, większym niż kiedykolwiek w naszej historii, przyniosła narodowi polskiemu klęskę, która pod wielu względami porównana być może do klęski powstań w poprzednim stuleciu. I znowu możemy powiedzieć za Piłsudskim: „dusze szlachetne wplatan są w koła męki, a słabsze wyrzucane na śmietnisko upodlenia”.

Odczyt wygłoszony w dniu 19 marca 1960 r. w sali „Ogniska” w Londynie.

Rytm historii porozbiorowej

I dziś znowu jak przed 50 czy 60 laty stajemy wobec pytania jaką postawę należy zająć w tych warunkach, kiedy nie widać widoków wyzwolenia: czy trzymać bezkompromisowo sztandar niepodległości, czy upokorzyć się i starać się wyzyskać możliwości różnych korzyści, które, nawet pozbawiony wolności i wsprzęgnięty do obcego rydwanu naród, może osiągnąć.

Przeżywamy znowu okres podobny pod wielu względami do okresu pracy organicznej po klęsce 1863 r. I trzeba przyznać, że mogą być przytoczone silne argumenty w obronie tego stanowiska. Korzyści z upokorzenia mogą być całkiem realne, nie tylko dla jednostek, lecz również dla narodu jako całości.

Na ogół biorąc ci, którzy wysuwali pracę organiczną jako naczelną punkt swego programu hołdowali tzw. zasadzie egoizmu narodowego. Tak było dawniej i tak jest w dużym stopniu dzisiaj. Ci natomiast, którzy zajmowali stanowisko bezkompromisowe, wierzyli w to, że naród ma pewną misję do spełnienia. Musi więc posiadać pewną ideę o charakterze uniwersalnym, sięgającym dalej niż zakres jego własnych wąskich interesów. Wierzano więc, że siły narodowe muszą być mobilizowane nie tylko dla obrony i podtrzymania jego bytu, lecz również dla realizowania idei, której ten naród służy. Tę ostatnią postawę niektórzy nazywają romantyzmem. Rytm historii Polski w ostatnich dwóch stuleciach polega na splataniu się tych dwóch elementów: pracy organicznej i postawy romantycznej.

Józef Piłsudski jako rewolucjonista, polityk i wódz był najjaskrawszym wyrazicielem tej postawy romantycznej w kształtowaniu politycznej i wojskowej historii Polski nowoczesnej. Jego pisma i rozkazy do wojska są przeniknięte wpływami naszej poezji romantycznej. Piłsudski odrzucał jednak filozofię cierpiętnictwa właściwą romantyzmowi polskiemu, a na pierwszy plan wysuwał wolę zwycięstwa. W ten sposób romantyzm literacki i kontemplacyjny nabierał nowych barw — i pod wpływem indywidualności Józefa Piłsudskiego przetwarzał się w romantyzm czynu.

Fragment ideologii

Jakie były te idee, poprzez służbę którym Józef Piłsudski chciał budować wielkość Polski?

Pytanie jest nieco kontrowersyjne, gdyż Piłsudski nie był ideologiem w tym sensie, że nie lubił pisać programów, chociaż

niewątpliwie miał talent literacki. Wolał aby programy wyrosły niejako same wśród iskier i płomieni zrodzonych z walki którą prowadził. Lecz pewne podstawowe idee często podkreślał, chociaż pozostało dużo rzeczy niedopowiedzianych.

Nie wszystkie głębokie prawdy dadzą się łatwo przekuć w formułki programowe. Wielkość urzeka urokiem tajemnicy która nie zawsze jest łatwa do uchwycenia. Nie czułbym się na siłach dać pełną charakterystykę postaci Józefa Piłsudskiego. Stawiam więc sobie bardziej ograniczone zadanie. Ponieważ przemówienie moje ma być odbiciem echa murów wileńskich, chcę mówić o tych ideach, które polityka Józefa Piłsudskiego reprezentowała w stosunku do ziem dla których Wilno było stolicą historyczną. Używając własnej terminologii Naczelnika Państwa będę je nazywał ziemiami b. Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Były to ziemie zamieszkałe przez cztery podstawowe narodowości: Polaków stanowiących element który przewodził w życiu gospodarczym i kulturalnym tych ziem, lecz którzy zwarłą masą mieszkali jedynie w regionach Wilna i Lidy; Białorusinów, którzy stanowili większość ludności; Litwinów zajmujących przeważnie północno-zachodnią część tego terytorium; Żydów, którzy stanowili ponad 10 procent ogółu ludności i byli rozrzućeni po całym terenie.

Postawa Józefa Piłsudskiego w stosunku do tych ziem, zarówno w jego więcej niż 30-letnim okresie walki o niepodległość, jak i potem w okresie 1918-1921, gdy kształtowała się mapa polityczna Europy Wschodniej, da się streścić w dwóch postulatach: 1) uwolnić je od przemocy, którą narzucił carski Petersburg, a potem usiłowała narzucić bolszewicka Moskwa i 2) dać miejscowej ludności możność samej zdecydować o swej przyszłości.

Chcąc zapewnić tę wolność i samostanowienie, walczył Józef Piłsudski nie tylko z rusyfikacją, ale przeciwstawia się również polityce narzucania polonizacji tam, gdzie ona się unaoczniała. Na samym początku bieżącego stulecia w r. 1902, w piśmie socjalistycznym „Walka”, którego był redaktorem, a które było specjalnie przeznaczone dla Litwy, wzywając ludy tego kraju do przeciwstawienia się polityce rusyfikatorskiej zaborców, zwraca się również przeciwko szowinizmowi polskiemu, który będąc sam prześladowany i krępowany przez prawa wyjątkowe, opierał się jednak na pewnej przewadze, jaką mu dawała wyższość kulturalna i ekonomiczna i występował niekiedy wrogo względem Litwinów. W szczególności potępia usiłowania polonizacyjne tych władz kościelnych, które do parafii litewskich posyłały księży nie umiejących ani słowa w języku swych parafian (1).

(1) Józef Piłsudski *Pisma zbiorowe*. Tom II, str. 24-25. Warszawa 1937 r.

W rok potem, w tym samym piśmie, wzywając polskie, litewskie i żydowskie organizacje socjalistyczne do współdziałania i zawarcia ścisłego sojuszu z PPS w Królestwie, zaznacza jednocześnie, że ten sojusz nie przesądza bynajmniej przyszłego ustroju politycznego obszaru dawnej Litwy.

„Czy rozpadnie się ona na trzy, lub dwie całkiem odrębne i niezależne republiki, czy połączą się one w jakiś związek federacyjny mniej lub więcej ścisły — to jest kwestia przyszłości, którą prawdopodobnie rozstrzygnie wolny i świadomy swych praw lud pracujący Polski, Litwy i Rusi (2)”.

Odezwa Wileńska

W szesnaście lat potem, gdy jako wódz naczelny zwyciężskich wojsk polskich staje w Wilnie, wydaje odezwę do mieszkańców b. W. Ks. Litewskiego, która stanowi logiczną konsekwencję tego co w ciągu poprzednich 30 lat walki z zaborcami Józef Piłsudski głosił i pisał. Odezwa nie przesądza kwestii przyszłej politycznej przynależności i przyszłego ustroju tych ziem. Wódz Naczelny chce żeby ludność dawnego W. Ks. Litewskiego swobodnie wypowiedziała się w tej sprawie.

„Wojsko polskie, które ze sobą przyprowadziłem dla wyrzucenia panowania gwałtu i przemocy, dla zniesienia rządów krajem wbrew woli ludności — wojsko to niesie wam wszystkim wolność i swobodę.

Chcę dać wam możliwość rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie tego życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub nacisku ze strony Polski.

Dlatego to, pomimo, że na waszej ziemi grzmiały jeszcze działa i krew się leje, — nie wprowadzam zarządu wojskowego, lecz cywilny, do którego powoływać będą ludzi miejscowych, synów tej ziemi.

Zadaniem tego zarządu cywilnego będzie: ułatwienie ludności wypowiedzenia się co do losu i potrzeb przez swobodnie wybranych przedstawicieli. Wybory te odbędą się na podstawie tajnego, powszechnego, bezpośredniego, bez różnicy płci, głosowania (3)”.

(2) Ibid, str. 223.

(3) Józef Piłsudski. *Pisma zbiorowe*. Tom V str. 75. Warszawa 1937 r.

Na rozstajnych drogach historii

Józef Piłsudski w tamtym momencie, gdy Polska i Europa stały na rozstajnych drogach historii, miał wizję stworzenia na Środkowym Wschodzie Europy nowego czynnika siły na zasadzie swobodnego porozumienia narodów tego regionu, coś w rodzaju nowej Szwajcarii, chociaż był raczej wstrzeźliwy w wyraźnym formułowaniu swoich celów. Myślał nie tylko o federacji z Litwą, lecz również z innymi państwami Bałtyckimi i oczywiście z Ukrainą. Był nawet moment kiedy mu się wydawało, że stworzenie pod tym względem wspólnego programu z Łotwą oraz Estonią może być pierwszym etapem drogi realizowania tego planu. Pisze o tym w r. 1919 w liście do Leona Wasilewskiego, który był wówczas delegatem Naczelnika Państwa w Paryskim Komitecie Narodowym.

Myśmny wszyscy: Polacy, Ukraińcy, Białorusini i narody bałtyckie stali wówczas wobec niebywałej okazji, która się zdarza raz na setki lat. Gdyby taki związek narodów powstał i gdyby jako czynnik równorzędny z Polską wysunęła się w nim niepodległa Ukraina, historia świata prawdopodobnie potoczyłaby się całkiem innymi torami.

Plany Józefa Piłsudskiego napotykały jednak na zupełny brak zrozumienia zarówno w świecie, jak wśród większości własnego społeczeństwa. Dokładny obraz stanowiska Wielkich Mocarstw, których dyplomaci szukali dróg odbudowania potęgi rosyjskiej podaje nam prof. Tytus Komarnicki w swym fundamentalnym dziele (4). Litewski nacjonalizm był niezmierzenie krótkowzroczny. Masy chłopskie na Ukrainie obawiały się, że bliski sojusz z Polską może oznaczać powrót obszarników. Sfery Komitetu Narodowego w Paryżu, przejęte przeważnie doktryną „egoizmu narodowego” wierzyły, że potrafią z Rosją dogadać się co do podziału Ukrainy i Białorusi. Starano się wykreślić taką linię graniczną na wschodzie, aby objęła ona tyłu Białorusinów i Ukraińców, ilu tym panom wydawało się, że Polska będzie w stanie spolonizować. Była to koncepcja pozbawiona zmysłu rzeczywistości. Rosją odbudowana i potężna nie miałaby żadnej racji dzielić swoich łupów z nacjonalistami polskimi.

W maju 1919 roku Naczelnik Państwa pisze do przebywającego w tym czasie w Paryżu Ignacego Paderewskiego podkreślając utopijność tego stanowiska (5). Paderewski osobiście nie był przeciwnikiem koncepcji federacyjnych; odwrotnie był nawet ich entuzjastą. Intuicją wielkiego artysty oceniał ogromne perspektywy, które mogłyby się otworzyć po zrealizowaniu

(4) Tytus Komarnicki, *The Rebirth of the Polish Republic*, London, 1957 r.

(5) Józef Piłsudski. *Pisma zbiorowe*. Tom V str. 82-83. Warszawa, 1937 r.

waniu tego programu. Józef Piłsudski obawiał się jednak, że otoczenie Paderewskiego złożone w dużym stopniu z Narodowych Demokratów, może go zachwiać w tym stanowisku. W liście do Leona Wasilewskiego, który był wówczas również w Paryżu, Piłsudski pisał:

„Chciałbym, byś mówił o tym możliwie często z Paderewskim, który jest wściekłym federalistą, ale człowiekiem o względnie słabym charakterze, poddającym się wpływowi, i bardzo się obawiam, że różne niecnoty imperialistyczne mogą często sprowadzić go z ciernistej ścieżki... Dobrze by więc było, gdybyś go swymi rozmowami podtrzymał (6)”.

Józef Piłsudski rozumiał, że w tej sprawie, jeżeli dojdzie do realizowania jego wielkich koncepcji, będzie musiał podjąć walkę z własnym społeczeństwem. W liście do Leona Wasilewskiego, prowadzącego rozmowy z przedstawicielami Estonii w Paryżu, pisał zachęcając go do osiągnięcia konkretnych wyników. Spodziewał się bowiem, że zapal Estończyków może również zachęcić naszych rodaków „których opór i narowy imperialistyczne przełamać trzeba będzie”.

I w tych wielkich planach Józef Piłsudski zupełnie specjalną rolę przeznaczał swemu ukochanemu Wilnu, miastu, które było stolicą imperium stworzonego przez władców dawnej Litwy. W maju 1919 r. na pytanie korespondenta „Le Journal des Débats” czy w razie unii Polska zgodziłaby się na pozostawienie Litwie obszarów polskich wraz z Wilnem, Naczelnik Państwa odpowiedział:

„Bez wątplenia. Wilno, widzi pan, to jest zagadnienie zupełnie specjalne. Wilna żądają wszyscy. Może więc poróżnić wszystkich o ile by się prowadziło pewną politykę, ale również może pogodzić wszystkich, gdyby się prowadziło inną. Załatwienie, które proponuję, dąży właśnie do uczynienia z Wilna łącznika, a nie przedmiotu sporu. Zresztą, jakikolwiek byłby los, przeznaczony Litwie, powtarzam panu, będzie tak, jak ludność zadecyduje (7)”.

Józef Piłsudski nigdy jednak nie doszedł do sytuacji, w której mógł wyraźnie i oficjalnie postawić jakiś szeroki program nowej organizacji Środkowo Wschodniej Europy. Jego metoda pracy polegała na uprzednim tworzeniu faktów, które by dały możliwość przetworzenia idei politycznej w realny program, a dopiero potem formułowania tego programu. W liście do Leona Wasilewskiego w 1919 r. pisał:

„Przypuszczam, że w najbliższych czasach będę mógł

(6) Ibid., str. 74.

(7) Ibid., str. 80.

otworzyć trochę drzwi do polityki, związanej z Litwą i Białorusią.

Nie chcę być ani imperialistą, ani federalistą, dopóki nie mam możliwości mówienia w tych sprawach z jaką taką powagą — no i rewolwerem w kieszeni (8)”.

Punktem przełomowym w akcji realizowania nowego ustroju Europy Wschodniej była wyprawa kijowska. Lecz głównym i głębszym powodem niepowodzenia planów Józefa Piłsudskiego było to, że zarówno wielkie mocarstwa, jak i większość społeczeństwa polskiego i litewskiego wysuwały w hierarchii swoich celów na pierwszy plan rzeczy nieistotne, lub wręcz fikcyjne, jak np. owa sprawa rozgraniczenia angielsko-francuskich sfer wpływów w Europie Wschodniej, o której pisze prof. Tytus Komarnicki.

Dziś, gdy na własną przeszłość z perspektywy czterdziestolecia patrzymy, sądzę, że możemy jasno ocenić, że owa postawa romantyczna Józefa Piłsudskiego była jednocześnie postawą dalekosiężnego realizmu politycznego. Józef Piłsudski zmierzał wyraźnie do tego, aby przeszkodzić wytworzeniu się na wschodzie Europy nowego kolosa monolitycznego. Nie przez projekty podziału ziem Białoruskich i Ukraińskich z Rosją, nie przez konszachty z imperializmem rosyjskim, lecz przez uczciwe realizowanie zasady samostanowienia dla wszystkich narodów Wschodniej Europy można było uratować Polskę i osłonić Europę przed tym śmiertelnym niebezpieczeństwem, które dziś nad nią wisi.



Stajemy wobec pytania czy z tego rozpamiętywania polityki Józefa Piłsudskiego w okresie walki o niepodległość wynikają jakieś konsekwencje dla naszej obecnej postawy.

Emigracja ma mało możliwości prowadzenia polityki realnej. Ma jednak obowiązek przechowania hasła i ma swoją niekierowaną analizę programów.

Hasło, które wynika z rozpamiętywania polityki Józefa Piłsudskiego jest przede wszystkim hasłem wolności dla wszystkich narodów naszego regionu geograficznego. Wolność dla Ukrainy, wolność dla Białorusi, wolność dla Litwy i narodów Bałtyckich, niezależnie od tego czy chcą czy nie chcą z nami łączyć swoje losy w przyszłości.

I jeżeli to hasło nie ma być przejawem hipokryzji politycznej, musimy również wyraźnie powiedzieć, że bez zastrzeżeń uznajemy prawo tych narodów do tworzenia własnej państwowości na wszystkich terytoriach gdzie stanowią większość.

Stanisław SWIANIEWICZ

(8) Ibid., str. 73.

TYDZIEŃ POLSKI

to najpopularniejszy i najbardziej poczytny tygodnik polski w wolnym świecie. Czytany w ponad 50 krajach, jest łącznikiem między Polakami na pięciu kontynentach.

TYDZIEŃ POLSKI

jest 12-stronicowym wydaniem sobotnim Dziennika Polskiego ale prenumeratorzy poza Wielką Brytanią otrzymują odmienne wydanie. Przynosi on co tydzień artykuły polityczne, naukowe i literackie, obszerne wiadomości z Polski i ze świata, opowiadania i reportaże. Posiada on następujące stałe działy: Najnowsza historia Polski — Kraj — Polacy w świecie — Szanowne zdrowie — Piękna pani i praktyczna — Co tydzień dzieciom — Anglo-Polish Table Talk — Nasza Skrzynka — W cztery oczy — Sport — Szachy i szachści — Album ze znaczkami — Uśmiechnij się.

O bezpłatne egzemplarze okazowe prosimy zwracać się pod adres: THE POLISH DAILY, 45 Brompton Road, London, S.W. 3., albo do przedstawicieli: BELGIA — J. Korab Brzozowska-Csaky, 19 Square Sainctelette, App. 2, Bruxelles — C.C.P. 7315.20; FRANCJA — „Libella”, 12 rue St. Louis en l’Ile, Paris (4) — C.C.P. Paris 5651.50 oraz Librairie Polonaise, 123 Bld St. Germain Paris (6); NIEMCY ZACHODNIE — St. Mikiciuk, (13b) Muenchen 45, Gablonzerstrasse 7/1; SZWAJCARIA — Maria Wasung, 6 rue des Lilas, Genève, konto pocztowe Genève I — 14.431; ARGENTYNA — Zarema Bau, Calle Ramon Freire 1269, Buenos Aires, Tel.: 73-7481. Wpłaty „Giro Postal” na Zarema Bau; AUSTRALIA — Vistula (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney; BRAZYLIA — F. Rokicki, rua Republica de Peru 305, Apt. 18, Rio de Janeiro; KANADA — Michal Kinczel, 1574 Queen Street, West Toronto, Ont.; U.S.A. — H. Opalińska, Polish Book Importing Co., 38 Union Sq., New York, N.Y., Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Avenue, Chicago 22, Ill., Zdzisław Dziekoński, 572 Stanley, Birmingham, Mich., Mieczysław Tarłowski, 99 Miller, New Britain, Conn.

Józef Piłsudski i Charles de Gaulle

I

Porównując Józefa Piłsudskiego i Charles de Gaulle’a znajdujemy podobieństwa zarówno stylu politycznego jak i osobistych losów obu mężów stanu. Obaj w wojnach światowych osiągnęli taką sławę, że z ich nazwiskami łączy się określenia zbawcy narodu i twórcy Państwa. Obaj rządili w bezpośrednio powojennych okresach jako Naczelnicy Państwa o niemal nieograniczonej władzy. Obaj uważali za swój obowiązek powołanie konstytuandy mającej zdecydować o przyszłym ustroju prawnym państwa. Zarówno Piłsudski jak i de Gaulle włączali się w debaty konstytucyjne i zdecydowanie wypowiadali się za wzmocnieniem prerogatyw Zwierzchnika Państwa — gdyż tylko oni sami, jako uznani bohaterowie narodowi, wydawali się jedynymi kandydatami na te stanowiska. Obaj dla swoich ważkich wypowiedzi z upodobaniem wybierali rocznice osobistych przełomowych decyzji: Piłsudski wielokrotnie wykorzystywał datę 6 sierpnia, rocznicę wymarszu jego Legionów w 1914 roku, a de Gaulle — dzień 18 czerwca, datę proklamowania w 1940 roku Wolnej Francji (na przykład ten właśnie dzień wybrał dla wygłoszenia swej słynnej mowy w Bayeux, w 1946 roku).

Traktując siebie samych jako postacie historyczne, obaj utożsamiają losy swych narodów ze swoimi własnymi. Piłsudski — jedyny chyba polski mąż stanu, już przed pierwszą wojną światową prorokujący załamanie się trzech państw zaborczych, wierzył w wywalczenie niepodległości własnymi siłami, i wreszcie obronił Polskę w „18-ej decydującej bitwie świata” przed inwazją bolszewicką; oceniał on swe historyczne zasługi może z większą skromnością niż de Gaulle, któremu przypadły tytuły wybawcy, oswoobodziciela, reformatora Francji, lecz nie twórcy Państwa, jakim mienią Piłsudskiego. Obaj opisują swe czyny

sprawozdawczym stylem Cezara i polityków Wielkiej Rewolucji Francuskiej, mówiąc o sobie w trzeciej osobie, w formie podkreślającej osobistą powściągliwość, jednak stawiającej w należytych świetle narodową wagę ich działania.

Oczywiście zebrania konstytucyjne usiłowały ograniczyć prerogatywy Głowy Państwa, dopatrując się w pretendentach nadmiaru energii, siły wykonawczej i popularności. Przeminięły już działania wojenne, a trwający okres wewnątrzno-organicznej rozbudowy wyraźnie wymagał raczej rozległych gwarancji indywidualnych i politycznych praw, niż mocnego sternika nawy państwowej. Usiłowano osiągnąć już nie zespolenie wszelkich sił w obronie zewnętrznej, lecz możliwie największe zabezpieczenie się przed koncentracją władzy. Nowozaprojektowane konstytucje — polska z 1921 roku, nawiązująca do słynnej Konstytucji Majowej, a zarazem wzorowana na obowiązującej wówczas we Francji konstytucji z 1875 roku, oraz Konstytucja Francuska z 1946 roku o znamienne rozszerzonych gwarancjach liberalnych — usiłując służyć wzniosłym ideałom ludzkich wolności i praworządności — degradowały jednocześnie rolę Głowy Państwa do strony wyłącznej reprezentacyjnej.

Chociaż było to zgodne z liberalnymi poglądami decydowały tu jednak względy przede wszystkim personalne. Właśnie te przewencyjne decyzje były powodem wycofania się zarówno Piłsudskiego jak i de Gaulle'a z życia państwowego. Bezsprzecznie — po politycznej porażce poczucie *fair play* nakazywało obydwom usunięcie się z pola walki; jednak decydująco chyba zaważyła nadzieja, że kształtowanie państwa bez ich autorytetu nie będzie możliwe i że tym pewniej wybiję godzina ich powrotu do władzy.

Dla Piłsudskiego nastąpiły cztery lata bezczynności politycznej w skromnym dworku Sulejówka, dla de Gaulle'a — także dziesięcioletni wypoczynek w Colombey les deux Eglises. Obaj wodzowie wypełniali czas pisaniem dzieł i pamiętników wojennych. Obaj z pewnością nie mogli wyzbyć się posępnych myśli politycznego emeryta. Obaj wreszcie powołanie zgromadzeń konstytucyjnych — którym później przypisywali swe polityczne ubezwłasnowolnienie — pojmowali nie jako wynik demokratycznej ciągłości prawnej, lecz raczej jako akt łaski Władzy Zwierzchniej, przez nich samych osobiście reprezentowanej.

Tymczasem nieprzerwane wizyty wiernych wyznawców i współbojowników sprawiały, że nie wygasła w nich przeświadczenie jeszcze niedopełnionej misji. Dokonanie reformy państwowości wydawało się coraz pilniejsze w miarę pograżania się obu krajów w zamęt ciągłych kryzysów rządowych. Nie mogące zdobyć się na zdecydowaną większość rządzącą konstelacje partyjne, stały spadek wartości waluty, nieustanne zmiany kierowniczych stanowisk przydzielanych ograniczonej warstwie polityków — oto zjawiska uniemożliwiające wybitniejszym indy-

widualnościom wpływ na polityków i wywołujące krytyki również liberałów i demokratów. Nieco dłużej trwające gabinety, Grabskiego w Polsce i Mendès-France'a we Francji, powołane w okresach szczególnie drastycznych kryzysów nie mogą przeczyć zasadzie stałej chwiejności rządów. Ostatecznie wpływowe grupy wojskowych w połączeniu z konserwatywnymi siłami politycznymi — w Polsce głównie z wielonarodowych kresów wschodnich, a we Francji z Algieru — zmęczone „haniebną grą”, nawiązały łączność z legendarnymi już wodzami, aby dokonać przewrotów. Przez zjednoczenie zawiedzionych i zgorzkniałych z idealistami o czystych intencjach osiągnięto, że byli Naczelnicy Państwa znów mogli objąć władzę, przy czym de Gaulle, w odróżnieniu od Piłsudskiego, był zaledwie w przybliżeniu zorientowany w konspiracji.

12 maja 1926 roku Piłsudski rozpoczął swój zamach powstaniem wojskowym, a wytworzone interregnum zdołał zakończyć już 1 czerwca przeprowadzeniem wyborów przychylnego sobie Prezydenta. Francuskie interregnum rozpoczęło się z jednodniową różnicą w 32 lata później: 13 maja 1958 roku wybuchł w Algierze bunt, który spowodował ustąpienie konstytucyjnego rządu, a już 3 czerwca doprowadził do udzielenia specjalnych pełnomocnictw de Gaulle'owi, jako Premierowi Rady Ministrów. W obu kryzysach postępowanie pretendentów wykazuje duże podobieństwo. Obaj mają głęboką odrazę do partii politycznych obwiniając je za dotychczasową nędzę życia państwowego. 28 maja 1926 roku Piłsudski z całą pogardą mówił o korupcji „klubów, stronnictw, klik, kliczek i konwentyklów” (*Pisma Zbiorowe*, IX, Str. 28). 10 maja 1958 roku de Gaulle niemniej pogardliwie oświadczył: „Partie wróciły w 1945 roku, podobnie jak emigranci Anno Domini 1815”. Obaj w rozterkach przewrotu państwowego przede wszystkim usiłowali zachować jedność armii i obaj starali się o legalne i szybkie zakończenie interregnum, gdyż godność Republik — którymi owdładnęli — wydawała im się wielkością nietykalną. Piłsudski po udanym zamachu wojskowym kierował urzędami państwowymi zgodnie z obowiązującymi prawami; de Gaulle powstrzymał dalszą akcję algierskich konspiratorów ogłoszeniem znanej proklamacji, w której oznajmił że podjął pertraktacje w celu utworzenia rządu. W ten sposób do obu mężów stanu i do ich zamiarów odnoszą się słowa wypowiedziane 24 maja 1926 roku przez Piłsudskiego: „... zrobiłem jedyny w swoim rodzaju fakt historyczny, że zrobiłem coś podobnego do zamachu stanu i potrafił go natychmiast zalegalizować i że uczyniłem coś w rodzaju rewolucji bez żadnych rewolucyjnych konsekwencji”. (*Pisma Zbiorowe*, IX, str. 18). Na tym sposobie przejścia władzy kończy się zapewne historyczna analogia. Piłsudski zadowolił się wprowadzeniem 2 sierpnia 1926 roku nieznacznej poprawki do obowiązującej konstytucji, pozostawiając poza tym — przy najmniej formalnie — samą konstytucję w mocy przez prawie

cały czas swoich dziewięcioletnich rządów. De Gaulle natomiast z miejsca, jeszcze przed przystąpieniem do właściwego programu rządowego, położył nacisk na zreformowanie konstytucji.

II

Gdy 3 czerwca 1958 roku Charles de Gaulle, jako Premier, otrzymał pełnomocnictwa specjalne do przeprowadzenia reformy państwowości, przyrzekł uprzednio, że nie połączy w jednej osobie funkcji Zwierzchnika Państwa i Prezesa Rady Ministrów, a poza tym oświadczył, że utrzyma odpowiedzialność Premiera wobec Parlamentu. Pierwsza obietnica uniemożliwiła wprowadzenie konstytucji, typu amerykańskiego; następna — zabezpieczała Francję przed pół-dyktaturą premiera, jaką wprowadził Mussolini w początkowej fazie swej władzy. W ten sposób de Gaulle zdecydował się na konstytucję, która nie naruszała wartości tak cennych dla Francuzów jak reprezentacja narodowa, ale przyznawała znaczne kompetencje prezydentowi i nie obciążała go kontrolą parlamentu.

Francuska krytyka widziała w projekcie de Gaulle'a przede wszystkim elementy konstytucji burbońskiej, orleanizmu, a także bonapartyzmu, w każdym jednak razie były to elementy własnej historii konstytucjonalizmu. Niewątpliwie cechy francuskiej monarchii są w tym projekcie widoczne, ale jest on przede wszystkim nacechowany podobieństwem do konstytucji Piłsudskiego, wprowadzonej 23 kwietnia 1935 roku, na dzień i noc przed śmiercią Marszałka.

Korzystając z pomocy brata, wykształconego prawnika, Piłsudski lata całe zajmował się projektem konstytucji, zaznając się ze wszystkimi ważniejszymi ideami ustrojowymi Europy i Ameryki Północnej. Jednocześnie konieczność rządzenia przy opozycyjnej większości w sejmie i wskutek tego konieczność interpretacyjnego kuglarstwa, naginania prawa, a nawet uchylania tak drogim polskim sercom gwarancjom prawnopañstwowym, oraz inne tego rodzaju praktyki — skłoniły otoczenie Marszałka raczej do okrojowania konstytucji i później rzetelnego jej stosowania, zamiast kontynuowania korupcji narodowego poczucia prawa. Tak powstał projekt, którego podstawy Piłsudski opublikował 26 listopada 1930 roku. Przyszły ustrój miał polegać na trzech głównych czynnikach: Prezydent — Rząd — Sejm. Natomiast „...konstytucja ma zawierać tylko coś w rodzaju układu, coś w rodzaju kontraktu pomiędzy trzema głównymi sprężynami...” (*Pisma Zbiorowe*, IX, str. 259). W wywiadzie udzielonym 13 grudnia 1930 roku — Piłsudski nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że osłabioną niegdyś — ze względu na jego osobę — pozycję pre-

zydenta pragnie wzmocnić bardzo dużymi uprawnieniami, by samemu objąć to stanowisko. Piłsudski odrzucał amerykański rodzaj rządu jako jednoczesny prezydent-premier: „...wszystko to, co jest rządem istotnym i wszystko to co jest związane z techniką pracy rządowej w żadnym razie nie powinno obciążać prezydenta”. Głównym zadaniem prezydenta „musi być regulowanie najwyższej pracy państwowej... dbać musi on o równowagę i harmonię...” w życiu państwowym. W tym celu winny być przyznane prezydentowi prawa udzielania instrukcji rządowi i parlamentom. Jednocześnie jednak Prezydent jest obowiązany „...swoją decyzję przekazać innym do spełnienia...” (*Pisma Zbiorowe*, IX, str. 266-269).

Na podstawie wytycznych Piłsudskiego Stanisław Car i wileński sędzia Podoski, pod kierownictwem Walerego Stawka, opracowali szkic, wielokrotnie modyfikowany przez Marszałka, szkic który ostatecznie stał się nową konstytucją. Oprócz współczesnych antyliberalnych teorii, na treść tej konstytucji wywarła szczególny wpływ teoria Stanisława Cara o sześciu władzach w państwie, teoria wyraźnie przeciwstawiająca się klasycznemu trójpodziałowi Montesquieu. Już nie Prawodawstwo — Rząd — Wymiar Sprawiedliwości miały zapewniać wewnętrzną równowagę państwa, lecz sześć nowych czynników: Prezydent — Rząd — Wódz Naczelny — Sejm — Senat — Wymiar Sprawiedliwości.

W konstytucji de Gaulle'a znajdują się istotne elementy koncepcji Piłsudskiego, zwłaszcza w jej początkowym projekcie. Że w obu wypadkach celem była republika prezydencka, a nie parlamentarna, widać z zewnętrznej formy dokumentów konstytucyjnych: uprawnienia parlamentów zostały wymienione nie, według dotychczasowych zwyczajów, przed artykułami o prezydencie i rządzie, lecz odwrotnie — prezydent, jako uosobienie suwerenności narodowej, zajął pierwsze pozycje tekstów.

W konstytucji de Gaulle'a można również stwierdzić, w zresztą ukrytej formie, podział władzy na sześć czynników. Jedynie projekt mocnego senatu upadł we Francji podczas debaty konstytucyjnej, co wobec przewagi kompetencji francuskiego prezydenta w porównaniu z polskim musiało wydawać się mniej ważne; zresztą we Francji — tak jak i w Polsce — przewodniczący senatu, a nie parlamentu, zastępuje prezydenta w razie konieczności. Piłsudski uważał, że prezydent może powoływać lub zwalniać poszczególnych ministrów — de Gaulle zapewnił sobie również to uprawnienie. Polski prezydent wyznacza i odwołuje Wodza Naczelnego, francuski — sam pełni tę funkcję. Obaj w powoływaniu rządu i wyższych urzędników państwowych są niezależni od inwestytury parlamentarnej, i obaj w rozwiązywaniu parlamentu, lub w zwoływaniu sesji nadzwyczajnej, nie mogą być ograniczani przez jakąkolwiek instytucję państwową. Obaj wreszcie otrzymali pełnomocnictwo wydawania w niektórych wypadkach dekretów z mocą ustawy. Zatem

zarówno polscy jak i francuscy twórcy konstytucji dają prezydentowi ustawową możliwość skutecznego koordynowania poszczególnych władz i wnikania we wszystkie rozgałęzienia życia państwowego — a nie tylko ograniczoną funkcję zwierzchnika państwa, jak w republikach o prymacie parlamentu. Piłsudski żądał dla siebie ustawowej kompetencji regulowania „równowagi i harmonii” życia państwowego; de Gaulle ustalił to samo, zastrzegając prezydentowi konstytucyjne ferowanie „orzeczeń rozjemczych” i przewidując umyślnie „radę konstytucyjną” zależną tylko od prezydenta.

Podobieństwo wewnętrznej mechaniki obu konstytucyj leży jednak głębiej niż w tych zewnętrznych analogiach. Już w swym wywiadzie 13 grudnia 1930 roku Piłsudski kwestionował konieczność kontrasygnaty ministerialnej „w wypadkach, gdy chodzi jedynie o osobiste rozstrzygnięcie w najwyższych sprawach państwowych...”. Tym stwierdzeniem podważał po prostu podstawowe formy rządów parlamentarnych. Kontrasygnata ministerialna warunkowała zależność ministra od parlamentu, warunkowała suwerenność sejmu; była przeto w każdej konstytucji, opartej na teorii suwerenności parlamentu, nicią wiążącą zależność rządów od narodu reprezentowanego przez parlament. Żądanie dla prezydenta szeregu prerogatyw, z których mógł korzystać bez kontrasygnaty ministerialnej, co w konstytucji Piłsudskiego przyznano prezydentowi, osłabiło aksjomat suwerenności parlamentu, uosobiającego naród, i przeniosło uosobienie suwerenności narodowej na prezydenta. W tym miejscu konstytucja 1935 roku — jak to określił Leopold Jaworski — nawiązywała do idei monarchiczno-konserwatywnej.

Również konstytucja de Gaulle'a przy całym szeregu aktów państwowych uwalnia prezydenta od kontrasygnaty ministerialnej. Wprawdzie nie posiada ona formalnego spisu prerogatyw — jak to wprowadził Piłsudski — jednak zostały one ukryte w regulaminowych pozycjach. To właśnie zawołanie tak ważnego postanowienia mogło być zamierzone celowo wobec prawnego i konstytucyjnego wychowania społeczeństwa francuskiego — jeżeli w ogóle można by domyślać się że de Gaulle posługiwał się wzorami Piłsudskiego, to właśnie w tym odchyleniu od polskiego wzoru trzeba szukać potwierdzenia.

W ten sposób francuscy twórcy konstytucji dali również prezydentowi możliwość decyzji bez kontroli parlamentarnej w sprawach najwyższej wagi, jak rozwiązanie parlamentu albo powołanie rządu.

De Gaulle zapewnił wreszcie prezydentowi jeszcze ważniejsze pełnomocnictwa, jakich nie posiadał polski prezydent, jak np. prawo odwołania się do referendum lub prawo proklamowania państwowego stanu zagrożenia. Te daleko idące uprawnienia, sprawiły że de Gaulle mógł zrezygnować z mniej decydujących warunków, jakim byłby mocny senat.

III

Wobec widocznych podobieństw obu konstytucji postawiliśmy pytanie czy istnieją związki wewnętrzne, a może nawet bezpośrednie naśladownictwo, między Piłsudskim i de Gaulle'm. Można przypuszczać, że de Gaulle już dawno spotkał się z zasięgiem oddziaływania Piłsudskiego. Pierwsze zetknięcia z polskością i z Marszałkiem, pochodzące z okresu walk w Polsce w latach 1919-20, są mało znane, a sam generał nic nie mówi o swej ówczesnej pracy w armii polskiej. Niektórzy wojskowi informują, że de Gaulle znalazł się w Polsce w 1919 roku wraz z armią Hallera, — inni, że dopiero w składzie francuskiej misji wojskowej generała Henrys. Podczas kampanii 1920 roku de Gaulle był rzekomo przydzielony do brygady gen. Sawickiego, a później był wykładowcą w szkole wojskowej w Modlinie i w Rembertowie. W każdym razie od tego czasu de Gaulle niewątpliwie przejawia duże zainteresowanie osobistością Marszałka i jeśli nawet widocznie nie lubi zwycięzcy znad Wisły, to jednak — podobno — zbierał od dawna wszelkie Piłsudskiana i mówi się że w jego prywatnej bibliotece dałoby się znaleźć wiele dzieł Piłsudskiego. Jeżeli słyszy się pogłoski, że de Gaulle umyślnie polecił tłumaczyć niektóre dzieła Piłsudskiego, to wydają się one całkowicie możliwe. Dlaczego nie miałby doceniać wojskowego geniuszu Marszałka, skoro tak zawzięty przeciwnik, jakim był generał von Seeckt, szacował go bardzo wysoko. Wreszcie generał Weygand nie tylko z powodu swej skromności stale przeciwstawiał się legendzie, jakoby on to był zwycięzcą znad Wisły, natomiast stale i zawsze podnosił zasługi Marszałka.

Podczas drugiej wojny światowej jeszcze mocniej zacieśniły się związki de Gaulle'a z polskością. Według jego własnych słów Wódz Wolnych Francuzów znał bardzo dobrze prezydenta Raczkiewicza, premiera Sikorskiego (*cet homme eminent*), ministrów Zaleskiego, Raczyńskiego i Kukiela, a przede wszystkim ambasadora Kajetana Morawskiego. Doliczyć tu należy także osobiste kontakty z niektórymi polskimi politykami. Wreszcie do bezpośredniego otoczenia obecnego Prezydenta należeli i częściowo jeszcze należą dość liczni potomkowie Wielkiej Emigracji, którzy, oczywiście, dawno już stali się Francuzami, jak rodzina Lipkowskich i Gaston Palewski, były delegat Wolnych Francuzów w Afryce Wschodniej; poza tym wspomnieć należy Leona Noëla, byłego wieloletniego ambasadora w Warszawie.

Wszystkie te związki nic jeszcze nie mówią czy de Gaulle rzeczywiście studiował konstytucję polską z 1935 roku. Pewne poszlaki jednak na to wskazują. Gdy generał de Gaulle proklamował „Wolną Francję” — działał jako buntownik przeciw legalnemu rządowi. Wówczas, od czerwca 1940 roku, nawią-

zawszy bliższe stosunki z generałem Sikorskim, de Gaulle mógł stwierdzić, że konstytucja polska nie tylko pozwoliła przelać władzę z Mościckiego na Raczkiewicza, lecz także umożliwiła dalszą legalną działalność rządu Rzeczypospolitej Polskiej na emigracji. Konstytucja Piłsudskiego umożliwiała także dalsze istnienie Polski, mimo całkowitego podbicia kraju i mimo faktu, że rząd Sikorskiego składał się z opozycjonistów Piłsudskiego. Oczywiście, będąc wtedy właściwie tylko rebelian-tem legalnego rządu Francji, de Gaulle mógł spoglądać nie bez pewnej zazdrości na mocną pozycję Sikorskiego i to mogło być przyczyną zainteresowania się konstytucją Piłsudskiego. Pewne oznaki takiego stanu rzeczy znajdują się w pamiętnikach, kiedy de Gaulle pisze o Sikorskim: „*Car, s'étant naguère opposé à la politique du maréchal Piłsudski, puis à l'outrecuidance de Beck et de Rydz-Smigły, il se trouvait, depuis le désastre, investi de tout le pouvoir dont puisse disposer un état en exil*”.

IV

Ma się rozumieć są to wszystko domysły i twierdzenie że konstytucja Piłsudskiego służyła jako wzór gen. de Gaulle'owi trzeba traktować jako hipotezę. Podobieństwa obu konstytucji, obu mężów stanu i ich sposobu postępowania, z pewnością jednak można ustalić, zwłaszcza wielkie podobieństwa okoliczności przejęcia władzy. Również polityka wewnętrzna de Gaulle'a po objęciu władzy wykazuje pewne analogie z okresem „bartłowania”, którym Piłsudski zapoczątkował swe rządy. Ostrożność i umiar w użytkowaniu wziętej na siebie władzy, zachowanie form parlamentarnych i powściągliwość w zagadnieniach bieżących — są dla de Gaulle'a i Piłsudskiego z lat 1926-28 bardzo podobne. Gdy podczas organizowania „Union pour la Nouvelle République” twierdzono, że Unia ma być „...en dehors de partis traditionnels, un mouvement d'un style nouveau, utilisant des méthodes nouvelles”, gdy UNR ukonstytuowała się z różnych grup starych partii i bezpośrednich zwolenników de Gaulle'a, gdy na sztandarach „Unii” wypisano hasła walki z korupcją w parlamencie i uzdrowienia politycznych obyczajów — wszystko to były odpowiedzią na pytania „BBWR” i polityce „Sanacji”. Również podnoszenie historycznego patriotyzmu, kult Croix de Lorraine, głoszenie sympatii do starofrancuskich prowincji — niezmiernie przypominają Piłsudskiego.

Oczywiście, znając losy Piłsudskiego, tu właśnie można podnieść poważne zastrzeżenia. Polska konstytucja z 1921 i francuska z 1946 roku były pomyslane przede wszystkim przeciw Piłsudskiemu i przeciw de Gaulle'owi; może dlatego obaj projektowali później konstytucje dopasowane do ich twórców. Piłsudski zmarł zanim jego dzieło zostało wypróbować

w praktyce. Dzieło to — w połączeniu z bardzo niefortunnie pomyślaną ordynacją wyborczą — stało się złym przedznaczeniem politycznym jego kraju, ponieważ odsuwało od odpowiedzialności prawdziwe siły polityczne i poza tym otwierało epigonom wrota do małostkowych walk o władzę. Tak elastyczne dawniej ręce Piłsudskiego zeszywniały później dzierżąc wodze państwa; z natchnionego rewolucjonisty, z założyciela partii i twórcy państwa, z genialnego wodza, — stał się niedomagającym, kapryśnym i podejrzliwym mężem stanu, który już tylko zrzadka przejawiał swój kiedyś tak urzekający czar osobisty i nie wstydził się nawet swego premiera Bartla obserwować przez konfidentów. Tragedia starzenia się, która Eugeniuszowi Sabaudzkemu po siedemnastu wspaniałych zwycięstwach nie pozwoliła w polskiej wojnie sukcesyjnej zdobyć się na żadną bitwę, która cesarzy Ferdynanda i Franciszka-Józefa powstrzymała od dawno koniecznych reform — dotknęła także Piłsudskiego. Gdy przejął władzę u schyłku swego życia — oprócz niemal mistycznych wyobrażeń o służbie dla Polski, oprócz hasła moralnej sanacji, oprócz twierdzenia że w państwie nie wolno dopuszczać nadmiaru bezprawia jeśli to państwo nie ma zginąć — nie posiadał już żadnego państwowo-politycznego programu. Czyż jeszcze na moście Poniatowskiego w 1926 r. nie odpowiedział swemu staremu przyjacielowi i wielbicielowi, Daszyńskiemu, gdy ten zapytał go biblijnym zwrotem: „Dokąd idziesz Józefie?” — zrezygnowanym skrótem: „Sam nie wiem”. I czyż nie przeniknęły do jego konstytucyjnego dzieła cechy nazbyt sztywne i konserwatywne? Jedno jest rzeczywiście pewne: konstytucja z 23 kwietnia 1935 roku była dopasowana wyłącznie do niego samego, a nie do słabych, niezdolnych i intryganckich następców, którzy zdolali odsunąć od władzy desygnowanego na prezydenta Walerego Ślawnka, który przy całej swojej osobistej twardości był jednak tylko najczystszy, i niepraktycznym idealistą. Są to wszystko spostrzeżenia, które niewątpliwie sprowokowały francuskich krytyków konstytucji de Gaulle'a do cierpkich osądów i trwożliwych obaw o przyszłość. W ich imieniu Maurice Duverger ukuł zdanie: „Nie należy czynić instytucji z de Gaulle'a”.

Wróćmy jednak do poruszonego już tematu, który może zdoła lepiej oświetlić zagadnienie ewentualnego wzorowania się de Gaulle'a na dziele Piłsudskiego. Pierwszy Marszałek Polski po objęciu zwierzchnictwa zadowolił się faktyczną władzą, bez zapewnienia jej sobie formalnie. Uważał, że winien poprzestać na dyktaturze moralnej, na „Dyktaturze Ochronnej”, według nowego określenia Teodora Eschenburga, współczesnego niemieckiego teoretyka ustroju państwowego.

Usiłując kierować formalnie nadal istniejącą demokracją, Piłsudski zamierzał doprowadzić do wytworzenia się elity politycznej. Ten zamiar mu się jednak nie udał. Moralne uprawnia do kierowania państwem przeciwstawiły się suwerenności narodu, elita znalazła się w walce z parlamentem, su-

biektywne pojęcie prawa Piłsudskiego — w walce z pojęciami dawnych polityków, i wkrótce okazało się, że konflikt między faktyczną ale formalnie nielegalną władzą, a pozbawionymi władzy, a jednak legalnymi instytucjami państwowymi, jest nieunikniony. Wiele mówi za tym, że Piłsudski kilkakrotnie rezygnując z dokonania „18 Brumaire” kierował się wysoko rozwiniętym wśród Polaków poczuciem prawa. Jednakże latem i jesienią 1930 roku, w okresie „kierowanych” wyborów, zdecydował że nie może się obejść bez Brześcia i bez prześladowania około siedemdziesięciu polityków opozycyjnych. Chociaż sprawa brzeska wykazuje jak Marszałek był daleki od ówczesnych dyktatorów, to jednak takie podeptanie legalizmu bezsprzecznie zatruło mu resztę dni życia.

W grudniu 1933 roku, Marszałek polecił ostrzec Hitlera przed przeciąganiem struny, a pełnomocnikom Hitlera dobitnie przypomniał słowa Goethe'go, że dopiero po umiejętności ograniczania się poznać można prawdziwego mistrza. Przypominając im legendę o Aleksandrze Wielkim i Bucefale, tłumaczył że okiełznanie narodu udaje się tylko temu jeźdźcowi, który po mistrzowsku miękką ręką prowadzi rumaka. Te wypowiedzi pod adresem Hitlera były tylko stratą czasu, ale jednak odzwierciedlały gorzyc gnębiącą Marszałka. Wówczas wiedział już, że dalej może rządzić niemal wyłącznie przy pomocy „wyrobników” i że pozostali przy nim wierni wyznawcy w skrytości ducha wstydzieli się Brześcia. Znał już także nastroje swego kraju, wyrażone w stwierdzeniu Marii Dąbrowskiej, że niknie łączność rządzących z większością narodu, że od tej chwili beznadziejnie przedstawiają się próby ponownego nawiązania tej łączności, choćby nawet były dyktowane najszczerszą i najlepszą wolą.

Tu uwidoczniają się najważniejsze być może potwierdzenia, że de Gaulle — oczywiście w sobie właściwy sposób — próbował wyciągnąć naukę z błędów Piłsudskiego. Przez przeprowadzenie nowej konstytucji natychmiast po objęciu władzy postanowił unikać konfliktu z dawnymi legalnymi instytucjami. Rządzenie z umiarem i powściągliwością, ze szczerą i zasadniczą gotowością do kompromisów, przy pełni nie tylko moralnej ale i prawnej władzy — która w razie konfliktu miałaby po swej stronie legalizm — oto typowe cechy politycznego stylu de Gaulle'a.

Oczywiście, zasadniczego problemu „Dyktatury Ochronnej”, która w swej istocie jest bliższa klasycznej demokracji niż czystej dyktatury, nie można uważać za rozwiązany. Nie trzeba także przypominać następcom „Mane-Tekel”, ani ostrzegać przed „Demonami Władzy”, które mają własne, im tylko właściwe, prawa i utrudniają stosowanie umiaru w sprawowaniu władzy.

Dr Hans ROOS

(Przełożył z niemieckiego S.W. KOZŁOWSKI)

Andrzej Trzebiński

Od chwili, kiedy Andrzej Trzebiński stanął przed niemieckim plutonem egzekucyjnym na Nowym Świecie, koło rogu ul. Ordynackiej, upłynęło wiele lat. Ogłaszając po raz pierwszy jego pamiętnik, który dochował się w rękopisie, należałoby powstrzymać się od komentarza, z samego szacunku dla głębi Przemysła i dojrzałości. W każdym razie komentarz, gdybyśmwn uznali jego potrzebę, musiałby napisać ktoś Trzebińskiemu bliski, i datą urodzenia i historią wewnętrznego rozwoju. Siwierdzając własną niekompetencję, wykraczam jednak przeciwko tej zasadzie z czysto praktycznych powodów. Wyrosło już pokolenie, dla którego tamte sprawy, łącznie z duchową genealogią wielu przywódców konspiracji, są już tylko legendą i krótki wstęp może choć częściowo wyjaśnić skąd wziął się taki fenomen jak autor tekstu. Lepiej jest też podjąć się zastępczej roli niż czekać aż zjawi się komentator bardziej powołany.

Andrzej Trzebiński był trzecim z rzędu redaktorem podziemnego miesięcznika młodych pisarzy, „Sztuka i Naród”. Pierwszy redaktor, Bronisław Kopczyński, został wywieziony do obozu koncentracyjnego i wkrótce zmarł. Drugi, Wacław Bojarski, najbliższy przyjaciel Trzebińskiego, został śmiertelnie postrzelony przez żandarmów podczas składania wienca przed pomnikiem Kopernika, samorzutnej manifestacji urządzonej przez ich grupę. Trzebiński prowadził pismo od wiosny do listopada 1943. Po jego śmierci redakcję objął Tadeusz Gajcy (pseud. Karol Topornicki). Ten z kolei, podobnie jak jego najbliższy współpracownik Zdzisław Stoiński (pseud. Marek Chmura), zginął śmiercią żołnierza w Powstaniu Warszawskim. Jeżeli dodać do tego śmierć Krzysztofa Baczyńskiego, który ze „Sztuką i Narodem” nie był związany, otrzymamy listę najbardziej dotkliwych strat poniesionych podczas wojny przez młodą literaturę, bo te silne indywidualności niewątpliwie dominowałyby w okresie powojennym.

Młodzi poeci, którzy z góry godzą się przyjąć gwałtowną śmierć i giną jeden po drugim „jak kamienie rzucone na szaniec”, to gotowy materiał mitu. Ta mityczność nie powinna jednak zwalniać z obowiązku ustalenia faktów. Ani Konfederacja Narodu w której działał Trzebiński, ani Ruch Kulturowy, ani pismo „Sztuka i Naród” nie wyrastały z próżni, nie da się ich sprowadzić do schematu okupacja-opór. Reprezentowały pewną ciągłość polityczną i przygotowało je to co działo się w Warszawie w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny.

Bolesław Miciński, autor „Podróży do piekieł” i „Portretu Kanta”, tuż przed wojną pracował w Wydziale Literackim Polskiego Radia, poprzednio jednak wykładał, zresztą przez rok bodaj tylko, propedeutykę filozofii w jednym z warszawskich gimnazjów. Uskarżał się wtedy, że młodzież jaką starał się wychowywać to skończone hebesy, że w te puste głowy najprostszycy nawet pojęć nie można wtłoczyć, że jego pupile interesują się tylko sportem i dziwkami, że my nie byliśmy tacy (Miciński urodził się w 1911 r.). Opinia ta wskazuje, że starsi albo trochę starsi prawie zawsze myślą się w swoich sądach o młodzieży i są skłonni do mało uzasadnionego pesymizmu. Dobrego i rozumnego Bolka przygnębiały jednak również upodobania polityczne uczniów. Jako absolwent uniwersytetu znał dobrze pogarszającą się atmosferę na uczelni, w miarę jak napływały nowe roczniki. Zdarzało się, że, błądząc z pasji, zaślaniał sobą drzwi do seminarium filozofii dokąd usiłowali wtargnąć pałkarze żeby wywlec stamtąd i pobić kolegów-Zydów. Młodzież, w ogromnej większości, nie była ani „sanacyjna” ani liberalna ani lewicowa. Była skrajnie nacjonalistyczna. W parze z tym szło osłabienie dynamizmu pism umiarkowanych, liberalnych, demokratycznych czy lewicowych. Jest paradoksem, że Bolesław Miciński współpracował jakiś czas z „Prosto z mostu”, tak samo zresztą jak Jerzy Andrzejewski i Gałczyński — ale dlatego tylko, że redaktor Stanisław Piasecki wyławiał talenty, że nimi się opiekował, w przeciwieństwie do snobistycznych „Wiadomości Literackich”. Z nacjonalizmem nic Micińskiego nie łączyło. Owe dziwaczności wiele mówią o kształtowaniu się tych co siedzieli wtedy jeszcze na ławach szkolnych i jak zwykle w tym wieku wchłaniali ogólną aurę niejaką przez skórę. Byli oni potencjalną klientelą organizatorów Słubowań Jasnogórskich i raczej „Falangi” Wodza (przypomnijmy, że Bolesław Piasecki nie był krewnym Stanisława) niż Stronnictwa Narodowego.

Wybuch wojny wiele rzeczy zmienił, nie zmienił jednak bagażu przyzwyczajeń z jakimi w wojnę wkraczano. I nie przypadkiem chyba właśnie Stanisław Piasecki był jednym z pierwszych twórców podziemnego ruchu wydawniczego. Rozmawiałem z nim wtedy raz tylko w 1940 r. Kawiarnia jaką założył, była po prostu lokalem konspiracyjnym, kelnerzy i kelnerki to był personel redakcyjny i administracyjny pisma. Jego chuda, fanatyczna twarz zrobiła się bardzo żydowska (redaktor naj-

wiejszego przed wojną nacjonalistycznego tygodnika był pół-Zydem). Wkrótce potem kawiarnia wpadła, Piaseckiego Gestapo osadziło na Pawiaku i po kilku miesiącach rozstrzelało na Palmirach.

Gdyby Stanisław Piasecki żył, zapewne wywierałby duży wpływ na pokrewnych mu ideologicznie młodych literatów podziemia. Organizowali się jednak sami. Konfederacja Narodu, dokąd trafili, powstała z przetasowania różnych skrajnie-prawicowych elementów ale sądzę (choć musiałby tu zabrać głos ktoś kto zna to od wewnątrz) że duch Wodza, Bolesława Piaseckiego, unosił się nad wodami. W jakim stopniu te przedwojenne naleciałości działały na „Sztukę i Naród”? Było to pismo ich własne, samodzielne, stale borykające się z trudnościami nad miarę sił ludzkich, żyjące z wyduszanych datków i składek. Tym niemniej tor myśli był widoczny, chociaż, wbrew pesymistycznym przewidywaniom Micińskiego, ci ludzie, w chwili wybuchu wojny jeszcze przed maturą, odbiegli daleko od pułstogłowych wzorów i targwały nimi prawdziwe filozoficzne namietności. Do samego ich pisma nie miałem, przyznając, najmniejszej sympatii, artykuły w nim ogłaszane wydawały mi się patetyczne i bełkotliwe. Wiadomo jednak, że kiedy mamy lat dwadzieścia najpierw poruszamy się po torze nam narzuconym, nawet jeżeli nie zdajemy sobie z tego sprawy, i dopiero później znajdujemy własne szyny. Niezwykle utalentowani, ci początkujący poeci i krytycy zasługiwali na podziw. Wzruszanie ramionami i podziw dla charakterów — tak odnosili się do nich nie tylko anty-prawicowi starsi, również niektórzy ich rówieśnicy. Krzysztof Baczyński, syn krytyka, wychowany w tradycjach liberalnych, w szkole marksizował i to wystarczyło, żeby spotykając się ze swoimi kolegami po piórze na wykładach tajnego uniwersytetu i bywając na ich wieczorach autorskich trzymał się z dala od ich pisma. Również Tadeusz Borowski przyglądał się im z rezerwą, jeżeli nie z pobłażliwością czy drwiną. Dzieje tych dwóch postaci, łącznie z dziejami „Sztuki i Narodu”, starczyłyby niemal za traktat o liniach podziału w Polsce XX wieku. Poeci Młodej Polski wielbili Słowackiego, ale prawdziwy jego spadkobierca i kontynuator religijno-wizjonersko-patriotycznej liryki pojawił się nie prędko — był to Krzysztof Baczyński, nawet fizycznie do wielkiego Julka podobny i tak samo jak on jedyny syn intelektualisty. Nawiasem wspomnę, że jako student w Wilnie chodziłem nieraz do Instytutu Badań Europy Wschodniej, którego sekretarzem był mój przyjaciel poeta Teodor Bujnicki i poznałem tam Stanisława Baczyńskiego (przyjeżdżał na wykłady z Warszawy). Nie domyślałem się, że nazwisko tego żołnierza w Powstaniu Śląskim i pisarza zasłynie przede wszystkim dzięki jego nieznanemu mi wtedy synowi. Zbadanie postawy wyrażonej w wierszach czyli hierarchii wartości, oraz techniki pisarskiej pozwoliłoby zresztą wykazać, że Krzysztof Baczyński i Tadeusz Gajcy, najbardziej utalentowany poeta „Sztuki i Narodu”, nie stali daleko

od siebie. Zbliżała ich, niezależnie od różnic, ta sama religijna zgoda na ofiarę z własnego życia w imię Ojczyzny. Znacznie dalszy od nich obu był Tadeusz Borowski, *homme revolté*, zbuntowany przeciwko bezsensowi istnienia i bezsensowi śmierci, nihilista i ateista z nadwrażliwości moralnej. Więzień Oświęcimia i Dachau, emigrant w Monachium, powrót, działalność partyjna, samobójstwo w czerwcu 1951 roku po wyjściu z bankietu na którym była „cała Warszawa” i który, jak opowiadali mi uczestnicy, aż do mdłości przypominał Bal u Senatora. Nie jeden Borowski popełnił w latach pięćdziesiątych samobójstwo. Przykro mi, że ginie pamięć o Jerzym Wyszomirskim, niegdyś błyskotliwym felietoniście wileńskiego „Słowa”, później znakomitym tłumaczem literatury rosyjskiej (miał tak zjadliwe pióro że własnych utworów nie mógł w demokracji ludowej publikować). On również otrul się gazem.

Borowski, przez swoją drwinę, był wśród młodych Warszawy wojennej wyjątkiem. Zaryzykuję tezę, że hitlerowski terror zmuszał ich do skoku wstecz, w *formację najpełniej ukształtowaną* tj., w Polsce, romantyczną i mesjaniczną. Wyjątkowo silnie przejawiało się to u członków zespołu „Sztuki i Narodu”. Cechował ich szaleńczy idealizm. Używam tego słowa nie w znaczeniu idealizmu Berkeley'a na przykład, ale w znaczeniu bardziej potocznym, szlachetności pobudek i takiego przywiązania do Ojczyzny-idei, że tępił w sobie jako tchórzostwo przyziemny zdrowy rozsądek, i w odniesieniu do jakichś perspektyw na przyszłość i w odniesieniu do tego co ich otaczało. Tylko ten idealizm pozwala zrozumieć ich akt składania wieńca przed pomnikiem Kopernika, pod nosem żandarmów. Wyglądało to ostatecznie na nieświadome naginanie się do hitlerowskiego obłędu: Kopernik Niemiec. Nie, właśnie że Kopernik Polak. Zapewniam, że odczuwam to moje zimne równanie jako najwyższą nieprzyzwoitość, i dlatego wołę zacytować Krzysztofa Baczyńskiego, bo on krótko powiedział, że czyn protestu miał wtedy wartość samą w sobie.

*Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drżą,
haftowali ci, syneczku, smutne oczy rudą krwią...*

*.....
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trawóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydliwsze z ludzkich dróg.*

I jeszcze to:

*Twarzyczki jasne! Na widnokrągach
armie jak cęgi gną się i kruszą.
O, moi chłopcy, jakże nam światy
odkupić jedną rozdartą duszą?*

Ale skąd u ludzi Idei, zwłaszcza u „narodowców”, ta szczególna podatność na hasła *realpolitik* — co wykazały dalsze wypadki? Czy dlatego, że skrajności się spotykają? Czy w

przerzutach z jednej skrajności w drugą zawsze brak im w głowie jakiejś dialektycznej, rzeklibyśmy, sprężynki? Bo przecie *realpolitik*, jeżeli spojrzeć na nią z jakiegoś historycznego dystansu, jest jak najmniej trzeźwa. Ta ewolucja została grupie „Sztuki i Narodu” zaoszczędzona. Przyjął ich „dom z mala-chitu” jak pisał Gajcy, zielona trawa.

Przedstawianie ich jako „klasyk prawicy” (*Action Française*, Żelazna Gwardia itp.) byłoby zupełnie nieścisłe. Flirty ze środowiskiem O.N.R.'u (Gajcy np. układał piosenki dla Batalionu Uderzenia) mogą dziwić, ale taka była ówczesna niewyraźność wszelkich granic, a zapewne datki na pismo mogli zbierać tylko od tych samych mniej więcej kół kupieckiej inteligencji które przed wojną finansowały O.N.R. „Sztuka i Naród” kipiała, fermentowała, awangardowa w swoich literackich gustach, zbyt intelektualnie żarliwa żeby nie nosić w sobie za-datków zerwania z prawicą jako dla niej bezużyteczna. Poza tym indywidualności musiały się prędzej czy później rozejść. Wzruszała mnie kiedyś opowieść o baskijskim poecie, który podczas wojny domowej hiszpańskiej tłumaczył w okopach Homera. Gajcy w nielepszych warunkach napisał sztukę o Homerze „Homer i Orchidea”, wystawioną po wojnie, został też po nim spory tom wierszy. Dionizyjski, upojony światem (tym bardziej tragiczny jest u niego motyw śmierci), był poetą z po-wołania. Trzebiński natomiast zapowiadał się na filozofa i powieściopisarza.

Pamiętnik Trzebińskiego jest dla mnie wstrząsający. Nie trudno zestawić taką młodość jak jego z żalosną, pustą, bezkierunkową młodością pokazywaną w licznych francuskich powieściach i filmach. Nie trudno też zauważyć, że wszystko co jest w nim głębokie i czyste zawdzięcza katolicyzmowi. O polskim katolicyzmie narodowym można nie być wysokiego mniemania ale tutaj coś nastąpiło. Wiara religijna została dźwignięta na stopień wyższy, jest *osobiście* przeżyta, jako odpowiedzialność za każdy dzień i każdą godzinę. Być może w Trzebińskim Polska straciła to, czego jej brak: pisarza obierającego za temat życie wewnętrzne, i życie wewnętrznej akcji i kontemplacji. Zarazem mamy prawie pewność, że możliwości polskiego katolicyzmu są nieujawnione, że wśród poległych ostatniej wojny tysiące takich jak on dokonywało przemiany religii obyczajowej w samowiedzę, choć ich świadectwo do nas nie dotarło.

Przynajmy się do jednej wątpliwości: jak to możliwe, żeby Trzebiński, notując swoje przeżycia w Warszawie 1943 roku, ani słówka, ani wzmianki nie poświęcił gettu i Żydom? Czyż idealizm całopalenia, obowiązku wobec Boga i narodowej wspólnoty, każe zamykać oczy na cierpienia ludzkości w ogóle? A gdyby w Warszawie wyrzynano pół miliona nie Żydów ale Murzynów? Czy tor o którym wspomniałem cenzurował Trzebińskiego nawet w jego intymnych zapiskach? Tak, prawdopodobnie tak było. Ale to pewnie tylko jedna z przyczyn. Prze-

mawia z tych kartek człowiek, który czuje że jest skazany, obchodzi go jedno tylko: jak udźwignąć własną śmierć, jest to jego rozmowa ze zmarłym przyjacielem, Bojarskim. Przyjaciel już przekroczył próg, on ma próg przed sobą i zbliżanie się do niego przesłania mu rzeczywistość.

Pamiętnik, przesłany z Polski, nie jest kompletny. Są to właściwie jedynie okruchy. Nadawca usunął liczne stronicę (x). Z Polski też nadeszła poprzedzająca tekst nota biograficzna.

Czesław MIŁOSZ

Andrzej Trzebiński urodził się 27 stycznia 1922 roku na wsi w łomżyńskim. Rodzice pochodzenia ziemiańskiego.

Dzieciństwo spędził do 10-go roku życia na wsi. Uczęszczał do gimnazjum im. Czackiego w Warszawie. Interesował się literaturą, teatrem, malarstwem, okresami pasjonował się sportem (lekkoatletyka, ping-pong), matematyką, statystyką. Swoje wczesne utwory drukował w piśmie szkolnym „Promień szkolny”, którego był współredaktorem. Polonistą szkolnym był prof. Adamczewski. Łączyły ich stosunki i w późniejszych latach (pamiętnik).

We wrześniu 1939 roku na wezwanie władz wyszedł jak wszyscy na wschód. W miesiąc później wrócił do Warszawy. Z końca 1939 roku pochodzą jego tłumaczenia poetów francuskich.

Rok 1940 — matura na tajnych kompletach. Początek studiów polonistycznych na tajnym uniwersytecie. Jednocześnie dorywcze prace zarobkowe jak korepetycje, pilowanie desek (w pamiętniku: rok życia zmarowanego nad sosną). Życie kulturalne w Bibliotece Publicznej na Koszykowej. W 1941 roku poznał Wacława Bojarskiego. Od pierwszej chwili stosunki ich nabrały cech głębokiej przyjaźni intelektualnej.

W lecie tego roku dom rodzinny został zlikwidowany na skutek wysiedlenia przez Niemców.

W tym czasie zaczyna się pierwsza część pamiętnika.

W 1942 roku ukazuje się pierwszy numer pisma literacko-kulturalnego „Sztuka i Naród”, którego redaktorem był Bronisław Kopczyński. Andrzej Trzebiński współpracował ściśle z pismem od samego początku. Zamieszczał w nim swoje artykuły, liryki, recenzje pod pseudonimami: Paweł Późny i Stanisław Łomień.

Rok 1942 to rok pracy w Konfederacji Narodu. Częste zmiany mieszkają, fałszywe dokumenty, ukrywanie się, brak pieniędzy, noce spędzone na dworcu są tłem jego życia. Nie rezygnuje z działalności artystycznej. Pisaniu poświęca noce. Wraz z Bojarskim organizują wieczory autorskie własne, Miłosza, Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego, koncerty, występy baletu. Otacza ich środowisko młodych poetów, muzyków, polonistów wśród których znajduje się również Tadeusz Gajcy — Topornicki i Zdzisław Stoiński — Chmura.

Część rzeczy napisanych w tym czasie została skradziona na dworcu wraz z teczką. Zachował się dramat „Aby podnieść różę”, liryki, artykuły, pamiętniki.

(x) Nie wiemy jakimi względami kierował się nadawca masakrując — nie wahamy się użyć tego słowa — rękopis. Ta barbarzyńska czy bezmyślna operacja jest wielką krzywdą wyrządzoną Trzebińskiemu i historii literatury. (Przypisek Redakcji).

Po śmierci pierwszego redaktora, w styczniu 1943 roku, pismo przejmują Wacław Bojarski. Na wiosnę tego samego roku zostaje on ranny podczas składania wieńca pod pomnikiem Kopernika i w kilka dni później umiera w szpitalu (Wspomnienie o przyjacielem).

Andrzej Trzebiński zostaje trzecim z kolei redaktorem. Ogranicza swoją pracę w Konfederacji Narodu i oddaje się całkowicie sprawie pisma i stworzenia Ruchu Kulturowego. Ostatni okres pamiętnika odpowiadający ostatniemu okresowi życia jest pełen zmagania z trudnościami tego zadania.

Jesień 1943 roku — przerzuca się z polonistyki na filozofię i socjologię. Jednocześnie prowadzi studia sławistyczne.

Z postawy niezależności i wolności psychicznej wobec okupanta wynikało lekceważenie spraw życiowych, ostrożności.

Wynikiem tej postawy było pozornie przypadkowe aresztowanie na terenie fabryki niemieckiej, gdzie jadał obiady zaproponowane przez jedną z łączniczek. Okoliczności były obciążające (nielegalny pobyt na terenie fabryki, fałszywe dokumenty, prawdopodobnie prasa). W Warszawie panował terror, represje odwetowe. Próby uwolnienia nie udały się. W parę dni potem 12 listopada 1943 roku Andrzej Trzebiński został rozstrzelany w egzekucji ulicznej na Nowym Świecie przy Ordynackiej pod fałszywym nazwiskiem Andrzej Jarociński.

Fragmenty pamiętnika

1. Łudzę się, że jeszcze cokolwiek zdążę. Dlatego nie będzie w tym rozpaczliwego pisania wszystkiego, co mam do napisania w ogóle. W ogóle mam tego dużo. Bardzo się męczę. To nie Anna winna, że przez cały tydzień, poza listami do niej pisanymi, nie padło na papier ani jedno słowo. Mam w sobie tylko same temperatury pewnych rzeczy, same stany psychiczne, w jakich powinny powstawać, i nic więcej. Mógłbym wyrzucić co najwyżej chorobliwy, wyczerpujący kontur tej mojej gorączki. Krzywą temperatury.

Pamiętniki Brzozowskiego były zawsze najsilniejszą z pozostałych. Już nie tylko dać równe im — pamiętniki własne. Dać równe Brzozowskiemu — życie własne: Wierząc jak ja — w winę Brzozowskiego, wierząc jednocześnie w konieczność życiowego oddziaływania, wierząc w etyczne perspektywy otwierające się przed siłą, prawdziwą siłą — to jest cynizm myśleć o tym gruźliku z Florencji w ten sposób. Jeszcze jedna tajemnica! Jego pamiętniki nie były ani na moment ukazywaniem czegoś, wyjaśnianiem. To był jeden wielki łańcuch tajemnic. Trans ukrywania siebie, czy raczej czegoś tam w sobie, przede mną, przed nami, przed sobą. Osłanianiem tej konającej przez 10 lat duszy kulturalnej przed bólem. Największym bólem naj-

większą nędzą tego wszystkiego był ten dziesięcioletni *danse macabre*. Taniec ze śmiercią. Tajemnicą tych pamiętników — było własne umieranie Brzozowskiego.

Pamiętniki nie mogą być niczym więcej, niż hodowlą tego dziwnego, żyjącego bardzo oryginalnie, stworzenia, jakim jest sfinks. Niektórzy z moich znajomych twierdzą co prawda, że dziś w czasie wojny nie wypada pozwalać sobie na takie luksusy, albo są nawet dumni ze skromności swoich wymagań, — i hodują zamiast tego koty albo jamniki. Nawiasem mówiąc zawsze mię interesowała obojętność Europy współczesnej wobec sfinksa. Ani jednej groteski! Groteski, bo czyż można dziś interesować się czymś naprawdę — inaczej, niż w ten sposób —

4. Myślę, że to jest najwyższe szczęście mieć w życiu jakąś prostą konsekwencję, z którą się przez wszystko napotkane mia, ale myślę także, że potrzeba do tego specjalnego — szczęścia. Ma się w sobie tyle różnych wątków. Religijny na przykład. Ciągłe te same wątpliwości: gdzie jestem? Biblia Starego Testamentu? — jeszcze wczoraj i dziś? Czy jestem jeszcze ciągle przy gorejącym krzaku zawierającym Boga i jego patetyczne świadectwo tożsamości:

„Jam jest, którym jest” — Zawsze kłamię. Jestem nieuczciwy, bo jeszcze ani razu nie wyszedłem poza czar kultury wieku XX. To znaczy widzę jasno, że katolicyzm w ramach tej przyjętej przeze mnie kultury — jest anty-kulturalny. Ma obowiązek — łamania jej. Nie wiem. Myślę o Chrystusie nieraz z rozpaczą.

Wiem, że wierzę. Że mogę wierzyć raczej. Ale właśnie wtedy, kiedy już życie będzie wygasać we mnie, kiedy kultura będzie poza mną. Dopiero rozpięty na ramach wieczności, wiem, że będę...

Wątek artystyczny. Już kiedyś tam próbowałem pisać o spadkobiercach metafory, wtedy miałem bardzo mało czasu i jeszcze mniej dyscypliny pisarskiej. W rezultacie nic wtedy nie wynikło. Ale to jest oczywiste dla mnie, spadek po lirycie jest jeden i nie — do odrzucenia — groteska. Mój wątek artystyczny, to groteska. Przeżywam oprócz tego kryzys. Ta dawna świeżość Joyce'a np. dzisiaj razi mię. A klasycyzmu nie umiem. Wiem, że nic nie osiągnąjąc — zatracam wszystko. Wszystko to znaczy...

Wątek erotyczny, emocjonalny: ta historia z Anną nr 2 jest smutna, trochę rozzdzierająca. To tak z I i II Cesarstwem we Francji. Pierwsze zakończyło się pod Waterloo, drugie — Sedanem. To jednak ma swoje różnice. Co najmniej takie, jak między porażką, a upadkiem. Wiem już dzisiaj, że to może — Boże, bo przecież nie musi chyba? — skończyć się także upadkiem, ta Anna nr 2. Bardzo dużo trzeba zrobić, bardzo dużo — niejako — trzeba być, aby wbrew całej młodości, tak przez te dwie kobiety zniszczonej i... pohańbionej — jakoś... Jakoś...? Istnieć? — Nigdy nie wystarczało mi samo, nawet

najpromienistsze, istnienie. Nawet najlżejsze istnienie! Najlżejsze tzn. takie, które nie przygniata. Chodzi o piekielną ambiencję, o dumę i to jest złe, trudne, ale to musi jednak być. Po tych dwu Annach ciężko być dumnym. Trzeba się modlić o nieugaszony płomień dumy w sobie. Żeby odczynić urok. Sedan. Boże, Boże jest tylko jedno: nie mieć kobiety, żadnej miłości, żadnej próby nowego „Cesarstwa” trzeciego już... W nic się nie zaplatać. To każe nie tylko cierpieć, ale kluczyć w matni. Nie ma rzeczy bardziej zabójczej dla naszej prostoty, prostej konsekwencji charakteru. Piszę to wszystko nieprawdziwie. Zbyt łatwo. Sedany jedynie zaszła już, przeżyte — tak prosto odczyniać, unikać. Tu Sedanu jeszcze nie ma. Jest dopiero to całe piekło operetki, całe piekło... wszystkiego, nie do odrzucenia, nie do wyparcia się. Czar tego wszystkiego, co trwa.

5. Annie, mam wrażenie, wydaje się, że wielka miłość jest akurat podobna do słońca. Naturalnie dlatego, że słoń jest właśnie — wielki. Jest to nieporozumienie tak oryginalne, że nie będę go psuć. I nie będę wyjaśniać co się ze mną zaczyna dzieć. Myślę, że zaczyna się — Sedan. To mądre, aby z takich rzeczy czynić tajemnicę, aby nasze porażki, były tylko naszymi porażkami, a nie konieczne od razu sukcesami przeciwnika...

6. Filozofia śmiechu, filozofia snu, różne inne podobne. W ten sposób osiąga się sensację. To najgłębsza podstawa nowoczesnej myśli demokratycznej. Wartość kultury polega na jej niewiarygodności, na zaskakiwaniu umysłu, zadziwianiu wreszcie. Ale nigdy na obejmowaniu pełnej rzeczywistości. Póki nie zmienimy tego z gruntu, zawsze kultura — uniwersalizmu będzie — nudna. Prawdziwa, oczywista, szczerą — ale nudną. Samego mnie to kosztowało dużo. I kosztuje jeszcze przed każdym nowym sformulowaniem, te wieczory niedawno... Dlatego wymagać od siebie napisania tego cyklu esejów

Filozofia łez! Jak ogromnie zyskuje na tym śmiech. Przecież to brzmi prawie, jak: filozofia kataru, albo filozofia spinek do koszuli. Co za antypatyczna rzecz: ły! Wtedy jeszcze tego nie rozumiałem, powiedziała mi dopiero... Był chyba lipiec.

10. Wątek artystyczny, groteska jest nie tylko spadkiem po pokoleniu metaforyków. Chodzi o inny nurt. Sztuka, jako proces kreowania, nie ekspresjonistycznego wyrażania. Sztuka, jako stwarzanie wartości obiektywnych. I groteska jest właśnie tym gatunkiem, który osiąga maksimum obiektywizmu. Operuje konsekwencjami obiektywnymi, wynikłymi z wewnętrznego sensu. Śmiech, to izolacja, niematerialny mur między sztuką i nami. Tam gdzie zamiast śmiechu, jest cierpienie — izolacja psuje się. Krótkie śpięcie między dziełem i nami. Konsekwencje czerpiemy z siebie. Ze swojego rozgoryczenia, ze swego bólu, ze swojej wizji prawdziwego świata... Śmiech — naturalnie — nie każdy, specjalnego typu. Śmiech dziwaczności.

11. Dogorywanie Wacława znalazło swój kres. Znalazło, ponieważ śmierć własną trzeba właśnie odnaleźć, znaleźć, szuka jej się przedtem, On wiedział o tym najlepiej. Śmierć wobec tej całej burzliwej i nieukojonej cudowności życia — jest tylko naszym dożeglowaniem do zwyczajności. Jesteśmy zupełnie naturalni, z chwilą kiedy przestajemy istnieć. Czuleś to sam, Przyjacielu.

Ex. post.

Nie ścisnąłem twojej dłoni, nieżyjący Przyjacielu. Nie skończyło się to prosto między nami. Tam, gdzie jest miejsce na przyjaźń, nie ma na ogół miejsca na prostotę. Nie wiem, może nie nazwałbyś tego w ogóle przyjaźnią. O, nie byłeś przecież takim zwyczajnym, prostym człowiekiem i ja także miałem ambicję nie być prostym człowiekiem. Jestem szczerzy, Wacław, boli mię bardzo dużo ran — więc jestem szczerzy. Odszedłeś zbyt tajemniczo — drogi mój — zbyt zawikłanie. Widocznie ten brzeg, do którego kazano Ci przybić, musiał być — pełen zawikłania. Powiedz, czy widziałeś w konturze tego brzegu — kontur oblicza Jego samego?

Przecież musiałeś widzieć wtedy rzeczy dziwne i straszne. Chodzi, widzisz, o to, że tak razem boleśnie i trudno, tak nie-po-uniwersytecku uczyliśmy się naszego życia, że teraz kiedy nauczyłeś się śmierci także, pytam Cię, drogi mój...

— Czy widziałeś wtedy — Boga?

Jestem szczerzy — Wacław — i piszę to, bo wiem, że jesteś. Jesteśmy nadal obaj. To nie powinno być przez nikogo czytane. To wygląda niemoralnie i może gorszyć — takie żegnanie jedynego Przyjaciela. Ale kochaliśmy się kiedyś trochę, ponieważ kochaliśmy obaj pewien odcień cynizmu i temu wierny jestem teraz jak i Ty sam, nawet już wtedy, w szpitalu. Można pisać Ci teraz wszystko, ponieważ nie żyjesz, ponieważ możesz patrzeć na mnie inaczej, i ja mogę, nie dzieli nas — drogi — to burzliwe i nieukojone życie. Jest między nami pogoda i spokój. Umarłeś. Gdybym umarł ja zamiast Ciebie, jeżeli umrę jeszcze — będzie, byłoby to samo.

Wiem, imponowało Ci to zawsze, mój drogi — umieranie człowieka. Tak jak mnie jeszcze — mimo wszystko — imponuje. Nie wiem, jakie ostre miałeś widzenie wszystkiego w godzinę ostatnią. Było Ci podobno trudno oddychać, drogi. Ale znam ostrość widzenia w minutę przed snem. Musiałeś bardzo dużo wtedy wiedzieć. Czy poznałeś już Boga? Poznałaś wszystko pierwszy, wcześniej trochę ode mnie. Pierwszy poznałeś komendanta, z czego byłeś dumny. Pierwszy poznałeś Boga. Ale prześladowała mię wtedy — zawsze — jak z mora — ambicja dopędzenia Cię w tym wszystkim. Nie wiem... Dopędzę Cię i w tym.

Powinienem Ci bardzo dużo obiecać, Wacław. Mnie jednego stać na to. Innych stać tylko na cierpienie. Nie ja nie cierpię. Nie umiem. Już nie umiem. Widocznie nieraz życie bardziej nas odczuwa niż uczy. Dziś ból odczuwam już tylko jako formę

zmęczenia. Jakieś obezwładniające zmęczenie wszystkiego, co w nas jest. Co we mnie jest. Jestem szczerzy. Nie cierpię. Powinienem Ci za to bardzo dużo przyrzec. Ale nie zrobię nawet tego. Nie rozumiem tutaj siebie, nie wiem, Wacław. Wiem tylko, że jest taki fakt i żadnego przyrzeczenia, żadnej obietnicy. Pochłonie nas historia. Młodych, dwudziestoletnich chłopców. Nie będziemy Mochnackimi, Mickiewiczami, Norwidami swojej epoki. Mogliśmy być Rimbaudami. Ale odrzuciliśmy to, bo szliśmy gdzie indziej. Rozumieliśmy siebie dobrze, bardzo dobrze. Myślałeś o sobie, jako o postaci historycznej. Ja także. Nie byliśmy specjalnie do historii — upozowani, nie przecież, nasz gest miał powstać naturalnie, prosto, jako cień naszego działania.

Dlaczego niczego nie obiecuję Ci drogi?

O tak. Przejrzyj ten Twój nienapisany dramat, ten pierwszy akt, o którym myślałeś wtedy pod Kopernikiem, ranny już. Przejrzyj te papiery, które pozostały po tym Twoim krótkim, gwałtownym pożarze, jakim było Twoje życie. Tak — liczyłem — Ty miałeś przejrzeć po mojej śmierci to co ze mnie, jako popiół po pożarze życia zostało. Osiągnąłeś śmierć wcześniej, przede mną.

Może ja osiągnę ją inaczej, w polu, z bronią w ręku. Później od Ciebie, ale tak za to, że śmierć moja — moja, a nie Twoja — stanie się symbolem tej naszej wspólnej sztuki, myśli, kultury? Symbolem śmierci współczesnego artysty. Artysty Imperium.

Umiera się bardzo łatwo, łatwiej niż Ty — od kuli karabinu maszynowego. Piszę to trochę, jak list do Ciebie. Nie miałem szczęścia do listów, do korespondencji z Tobą. Nie otrzymałeś — mimo, że pisałem ja do Ciebie — żadnego. Tego też...

Nie wiem, jak to będzie później. Czy będę o Tobie myśleć. Wiem tylko, że jesteśmy bardzo blisko od siebie, że mogę Cię każdej godziny dopaść jednym susem, jedną kulą wymierzoną mi w tył głowy. Dlatego nie żegnam Cię patetycznie. Tak tylko, jak co dzień. Jak co dzień wieczór, kiedy kończyliśmy nasze „cyniczne” opowiadania o życiu — No, tak — tak tylko, nie ponadto: czołem. Czołem, drogi...

12. Umarłeś, drogi mój, naprawdę i ja wiem, że czeka mię to samo w mojej śmierci, nie sen, nie cierpienie, nie wizja umierania, ale ono same, same umieranie. Prawdziwa śmierć.

Trochę boję się, że wbrew oswojeniu z tą myślą, mogę się nieco zblamować wtedy. Że nie umrę tak pewnie, tak bezwzględnie, tak mocno, jak dzisiaj obiecuję to sobie.

Że przez serce w takiej chwili może przelecieć cień. Nieznane. Zdziwienie nie do wyrażenia, odczute tylko, bezgraniczne, bezdenne, takie tylko, jakie daje widzenie Prawdy.

Ach, przecież i przed naszymi wieczorami autorskimi mieliśmy kiedyś tremę. Pamiętasz? I Ty i ja. Później scyniczniliśmy i wobec tego, to nie było takie groźne znowu, takie denerwujące.

Śmierć jest wieczorem autorskim jedynym i trudnym. Póź mi, umarły Przyjacielu — w ten czas. W tę sekundę niebezpieczną. Odejmij mi tremę i daj dumę uczucia...

Bardzo dużo przepadło rzeczy — Wacław — na ogół wszystko było jeszcze w nas, między nami. Tak nic, tak śmiesznie mało — poza nami. Ale dziwię się i wzruszam ramionami, kiedy mówią mi: to nie może za żadną cenę zginąć, przepaść, to musi jakoś...

Tylko raz jeden ostatnio użyłem zwrotu: „za żadną cenę?” — rozumiejąc to w pełni. Raz, to znaczy wtedy, kiedy posyłałem Iwonie do więzienia rozkaz milczenia — „Musi Pani milczeć za każdą cenę. O wszystkim”. Nie bardzo jednak wiem, czy nie umilkła na zawsze, w rezultacie, czy żyje jeszcze. Były — podobno — masowe egzekucje. Wtedy — z Iwoną rozumiałem to.

Ale teraz nie rozumiem. Nie rozumiem. Bardzo mię to boli, ale naprawdę nie rozumiem. Nawet siebie samego teraz... Wacław drogi, pamiętasz jak wesoło obiecywałeś mi przed moim wyjściem — projektowanym — na Uderzenie piękny nekrolog w „Sztuce I Narodzie”. Pamiętasz tę naszą cyniczną radość, tę prostotę? — Nekrolog. Jaki. Wacław? I taki konwencjonalnie ubogi, prosty, po męsku oschły, czarny — i nic więcej?

Redaktor „Sztuki i Narodu” drugi redaktor, padł od kuli wrogiej na posterunku, na służbie dla polskiej kultury? Tak, i nic więcej Wac.?



Budzenie się, to wychodzenie ludzi na brzeg snu, kiedy są jeszcze cali mokrzy, zanurzeni po pierś w żywole i starają się dopiero uchwycić za coś stałego, za coś co stanowi brzeg — jest godne studiów. Dla niektórych takim nadbrzeżnym punktem oparcia, po którym poznają, iż są już poza nurtem snu, jest para nocnych pantofli stojących obok łóżka. Dla innych jakaś zawsze ta sama, zawsze tak samo beznadziejna myśl, coś w rodzaju: „o, jakie straszne bezsenne musi być życie, jak nigdy nie można niczego porządnie skończyć. Nawet snu!... Dla innych — imię kobiety.

Brzegiem każdego mojego snu jest to ostatnie: Jej imię...

Nie mówić dużo, nie mówić nic — wszystko inne jest tak nie — dumne, tak nas ośmiesza. Myślimy nieraz, że unikniemy dzięki mówieniu rzeczy bardzo intymnych, tego gorzkiego poczucia, że się jest „samemu wśród ludzi”. Ale jeżeli jesteśmy naprawdę „samotni”, żadne słowo, nic nam nie odmieni, a pozostaje tylko śmieszność słów, naiwność, gadulstwo.

Mniej mówić. Kiedy chce się powiedzieć naprawdę wszystko, wpada się w przesadę: mówi się więcej, niż jest, a to już nie jest prawdą i szczerością. Nie trzeba się spowiadać. Trzeba wiedzieć tylko, że jest się samemu. Samotność bić w siebie tym, że coś się obiektywnie stwarza, że wynikają z nas

działa sztuki, i oddziaływa się na innych ludzi. Samotność, to jest coś czym powinno się, czym można w ogóle, — zdobywać. O tym, jeżeli chcesz zdobyć wszystko, musisz pamiętać. I ten nałóg sentymentalizmu wyniszczyć w sobie, spalić własnym śmiechem. Jesteśmy silni, chropowaci, odrębni. Jeżeli wiążemy się ze światem owym „charitas”, to wyciągamy po prostu ręce. Nie wolno lgnąć, piąć się jak powój!...

.....

Być takim głuchym Beethovenem miłości. Słyszeć ją wtedy tylko, kiedy ją tworzymy, wydzwigając ze siebie pod gwiazdy, i nie słyszeć, kiedy ona tylko jest, kiedy nią żyjemy, kiedy ona do nas przemawia.

21. Kiedy piszę, szczególnie rzeczy dłuższe, umiem to jednak: odsunąć od siebie wszystkie sprawy niepewne, ciekawe, nawet „gardłowe”. O wszystkim tym co najwyżej wiem. Ale nie czuję konieczności — życia tymi sprawami. Wtedy jestem nie kamieniem może, ale pokojem pełnym nierealnych cieni. To jest właśnie magia takiego stanu: jest cień i nie ma człowieka, który żyje. Nie ma mnie, ani innych żywych ludzi: są nieprawdziwe ich rzuty na świadomość. Jego spokoju, tej cieniistości w życiu wewnętrznym — nauczyć się po prostu, umieć na później. Cień nie jest wprawdzie realny, ale zarysowuje się najostrzej. Ma kontur bardziej ostry, niż realny przedmiot.

Kiedy urywa się nawet wszystko co wymaga spokoju i milczenia, nie cofać się ani przed dalszym milczeniem, ani przed spokojem: cienie nie powinny w nas konwersować ze sobą.

Sienkiewicz i Żeromski. Powiedziałem o tym „Pawłowi”, Sienkiewicz, to jest ładnie umeblowany pokój: są batalistyczne obrazy, murillowska Matka Boska, kanapy i zwierciadła. Żeromski, to jest ordynarna, tandetna sala. Wielka sala. Nieumeblowana i ze złymi dekoracjami, ale odbywają się w niej od czasu do czasu — koncerty. O — prawdziwie koncerty. — To piękne porównanie — powiedział „Paweł”, — ale to nie jest sprawiedliwe. To nie jest prawdziwe.

.....

„Przyplwy i odpływy demokracji” Ch: ząszczewskiego ponadto „Historię doktryn politycznych” Paul Janet’a, i bądź-co-bądź jeszcze coś. Zrobić bardzo głęboki, jak najmniej sztuczny plan tego piątku. Żeby móc głośno myśleć.

Artykuł poświęcony wspomnieniu o Wacławie. Cztery kolumny. Plan jest już. W ciągu paru dni sprecyzować i zmusić innych do podobnych sprecyzowań odnośnie dogmatów „naszej” kultury. Dać do korekty stylistycznej artykuł o „Stosunku artysty do rzeczywistości”. Uporządkowanie z sekretarką osobistą swoje papiery porzucane...

To wszystko to są te „wielkie” rzeczy, poza całym niemal dniem pracy. Te „wielkie” rzeczy można już robić jedynie w nocy. Spi się mało, w rezultacie, podobno jestem bardzo zmęczony tym, tzn. tak zewnętrznie: schudnięcie, oczy po-

ciemniałe, zwiększona wrażliwość nerwowa. Ale szkoda czasu pisać o tym.

Dwie godziny snu, no!

28. Bardzo dużo pracy, w ogóle pracowite dni i noce. Kwatera u Wiery została już oswobodzona z gości. Pracuję niesystematycznie jeszcze, ponieważ mam dużo kłopotów z lokalami i z moimi najbliższymi ludźmi, ale wierzę, że okres dwu tygodni wszystko wyrówna. Moja nowa sekretarka osobista, Hanka, znajduje mi już mieszkanie, wytrasowała jakieś *résumé* Pareta „O krążeniu elit”, robi mi z drnia na dzień potrzebne maszynopisy. Adiutant mój — Polanowski — nawiązuje osobisty kontakt z pismem kulturowym piśsudczyków — „Nurtem”, zorganizował mi wieczór polityczno-kulturalny „zagadnienie kultury zach.-europejskich demokracji”, przejmuję ode mnie niewyzyskany jeszcze kontakt — terenem kulturowym „Piłga i Miecz”, ma bywać regularnie u tych zielonych „poetów Jutra” etc.

Wieczór na Jasnej taki sam, jak wtedy z Wacławem. Ludzie nieznajomi, ustrojeni, kobiety pretensjonalne, niekulturalne. Bardzo mi przeszkadzano ciągłym ruchem na sali. To nie pozwalało myśleć. Mówiłem około godziny i trzech kwadrans. Zagadnienie takie, jak:

1. Rozszczępienie treści kulturalnych (technika analizy artystycznej — wiarą w autonomiczność swojej sztuki, czy dyscypliny — samotność nowoczesnego artysty).

2. Brak odpowiedzialności w kulturze. (Tresura niech kultura dzieje się sama, beznadziejność wysiłków pojedynczego, niezwiązanego z niczym, człowieka kultury — piekło Przybyszewskiego i uśmiech France'a).

3. Kult intelektu. (Intelekt, jako sfera, która pozostaje człowiekowi po zerwaniu z rzeczywistością. Nienaturalność sytuacji „deraciné”, a postawa czujności. Czujność — intuicja. Intuicja, inteligencja — a charakter.

Kariera, jako szczyt).

4. Bezideowość w kulturze.

Podczas wieczoru otrzymałem przez naszą „pocztę” gryps od Iwony. To wstrząsa jednak. Ta bohaterska dziewczyna pisząca mi nawet z więzienia, po dwóch skatowaniach do nieprzytomności, przez „kolego kierownika” i interesująca się jedynie sprawami adresów, listy punktów, naszej wymiany grypsów, a zapominająca zupełnie, zupełnie o sobie.

Lektura moja: Jules Romains: „Miłość chłopięca”. Marcel Prelot: — „Państwo faszystowskie”. Chruszczewski: — „Przyptywy i odpływy demokracji”

29. Pisać o tych procesach historii, które ciągną się poza świadomością pojedynczych ludzi, a nawet grup i epok. Ten podziemny nurt historii, to zawsze była dla mnie najsilniejsza sfera przeżyć. Tajemnica, gdzie nie ma nic z dzieciennych czasów, naiwności i ukrywania. Człowiek naprawdę stara się wiedzieć, musi wiedzieć pod grozą zwinięcia całego życia, a jednocześnie naprawdę rozbija się o mur tajemnicy...

Konkretniej już: o takiej tajemniczej roli jezuityzmu w historii myśli i w historii poczynań katolicyzmu. Jezuityzm miał epoki, kiedy tak zapanował nad katolicyzmem, że zmienił jego istotę, a jednocześnie uważał sam siebie i był uważany przez pewne epoki, jako kwiat katolicyzmu. I później mimo to, katolicyzm otrząsnął się z tego, wrócił do siebie, stanął ponad odchyleniami jezuityzmu. Kto dokonał tego? Nie wiem. Coś więcej, niż człowiek, bo ten tych rzeczy w trakcie dziania się ich, nie rozumie, nawet nie epoka.

Można uwierzyć, myśląc o tym, w heglowskiego ducha czasu, albo w nadprzyrodzoną moc pewnych wątków historii. Idee parujące nad ludźmi. Wprowadzić to do powieści. To jest moment silnej dramatyczności w życiu człowieka.

33. Boga widuję wprawdzie, ale przelotnie, w przerwach dwu snów, w nocie przeważnie. Wtedy wiem, że jest. Ale później następuje „zwyczajne życie”, szare „co dzień”, szare, czy też białe, wszystko jedno, — w każdym razie wszystko układa się inaczej, niż w nocy, trudniej, cyniczniej. Inny wymiar, w który niemożliwe wprowadzić Boga. Wtedy, wiedząc że Bóg istnieje, pamiętając nocne przeżycia, udaję przez taktowne szare i zwyczajne życie, że Go w ogóle nie ma...

— Ponieważ wiem, że Boga można dostąpić niezawsze, nie w każdej sytuacji, a tylko w sytuacjach specjalnych, tylko w pewnego rodzaju ustawieniu, więc choć dziś jeszcze wiem, że Boga w ogóle nie ma, zaczynam żyć, tak jakby on był i mógł się objawić. Zaczynam czekać każdym dniem nowego życia na jego nadejście. Każdą myśl, każdy czyn, czynię odpowiedzialnym tłem dla jego możliwego objawienia. To nie znaczy, że Jego nie ma. Ignoruje się tę całą świadomość. Trzeba wierzyć, że dla życia przeżywanego tak, jakby on naprawdę był, jest tylko jedna metafizyczna konsekwencja, że Bóg wbrew wszystkiemu przychodzi...

To nie jest technika, to jest metoda, to jest tajemnica wiary. O tym wiedzą niektórzy. Przede wszystkim jezuici.

34. Nie być naiwnym. Nie być śmiesznym. Naturalnie, każdy z nas jest naiwny i śmieszny, i na to trudno poradzić, tak jest. Ale można mieć wolę powagi, która nas strzeże. Tego powinna nas uczyć myśl o historii, myśl, że ma się ambicję być „człowiekiem historycznym”, więcej, — być obywatelom historii. Zgodzić się, że pewne rzeczy zostaną zamilczane, że będą tylko nasze, tylko naszego milczenia. Mieć do

siebie chociaż tyle zaufania, że, jesteśmy godni być właścicielami niewypowiedzianego. Milczenie roznieć nawet w sobie. Milczenie nie jest snem. W człowieku jest postawą dyscypliny etycznej. Milczeć wobec innych. To jest straszne objawienie słyszeć co mówi człowiek zarozumiały, zakochany, albo osaczony przez samotność, co mówi, kiedy znajdzie się w cztery oczy on i ona. Siebie nie słyszymy w takich razach. Ale może warto popełnić raz w życiu tę zenującą niedyskrecję i posłuchać kogoś obcego.

.....

...Obok tych spraw, plan drugi. Poznani z Andrzejewskim. Znowu nawiązanie kontaktu z Goetlem. Odprawa redakcyjna SIN'u. Za 10 dni SIN powinien już wyjść z druku. Drugi wieczór „Aby podnieść różę”. Było ze 30 osób. Schiller między innymi. Dwu przedstawicieli malarskiej grupy z Krakowa.

39. Uniwersalizm akceptuje u nas żywioł jednostkowy, samotniczy i żywioł zbiorowy, społeczny. Jesteśmy jednym i drugim. Indywidualizm i totalizm w ideologiach swoich bierze pod uwagę tylko jeden z fundamentów. Jedną podstawę. Uniwersalizm — obie. Co jest umotywowaniem tego kroku, ostatecznie? — Wiara, że wszystko co rzeczywiście istnieje, musi być brane w rachubę, myśl musi objąć wszystko, co jest. To jest jeszcze jasne. Realizm myślenia uniwersalistycznego. Ale co jest umotywowaniem tego realizmu?

Przez poznanie osiąga się prawdę. Tak. Ale rzeczywistość jest zbiorem wartości złych i dobrych. Otóż, czy poznanie zła jest także — prawdą? Zresztą tu nic nie kończy się na poznaniu.

.....

52. Jak ogromnie trudno jest napisać dobrą rzecz! Nieraz mam wrażenie że lepiej jest być dobrym człowiekiem. Łatwiej.

Wieczór mojej groteski u Andrzejewskiego wypadł skandalicznie. Mogę bezsprzecznie uważać to za swoją porażkę. Naturalnie, to jest nie. Żałuję zmarnowanej okazji z Wyką, nic ponad to.

Wnioski: konieczność napisania dwu rzeczy. Nowego, dobrego dramatu i powieści. Nad tym pracować teraz

53. Nie mogę zabrać się do powieści. Ale trzeba coś pisać. Srebrne rano i wiatr trochę srebrny, siedzę przed oknem, na balkonie dzikie wino i bez — czuję konieczność napisania czegoś teraz.

Dwa lata temu. Deszcz przestający padać. Ogromnie jasne, czerwone litery na wagonach bocznic. Pracowałem wtedy, jako tracz, przez pół roku. Wstawałem bardzo wcześnie kiedy jeszcze panował chłód nocy, znad ziemi parowała mgła, i były z kominów białe pnie dymów.

Brałem z sobą książki, które czytywałem podczas przerw pracy. Z sosny pilowanej okapywał deszcz. Chmury pędziły nad głowami z zawrotną prędkością. To było ładne życie, psia-krew!

Rok zmarnowanego nad sosną życia. Uważano, że mam zbyt dużo, widocznie, tego życia, nieomal cieszą się tym wszystkim. Do egzaminów z pierwszego roku przygotowałem się w jednym z wagonów, na bocznicę. Historia dramatu, „Głosy wśród nocy”, „Ślepcy” Maeterlincka, nie pamiętam zresztą.

To powtarza się w sposób bezwzględny. To marnowanie coraz-to-nowych lat życia. Rok pracy nad sosną i nad brzozą. Rok pracy zużywającej i ciężkiej w K.N. I w końcu stoi się znów przed pustką — przed nowym rokiem, czy latami, trochę już zmarnowany, trochę z goryczą.

56. „Podstawy myślowe” Ruchu opracowałem w ciągu dnia na 5 kartkach maszynopisu. Etapy: wyzyskanie momentu odradzania się polskiej idei politycznej dla podjęcia rewolucji kulturalnej. Celem rewolucji jest stworzenie nowej koncepcji kultury narodowej i jej realizacja. Podstawą koncepcji jest równanie: kultura narodowa = kultura samodzielna. Wytworzenie własnego stylu kultury jest kwestią siły. Siłę można uzyskać jedynie przez uczynienie podmiotem rewolucji pełnego człowieka. Pełny człowiek opiera się na zasadzie realizmu ontologicznego (wszystko co jest w pewnym sensie dobre, gdyż wszystko można użyć!) i woluntaryzmu podporządkowanego etyce. Realizm więc nie jest normą, jest tylko możliwością i zadaniem. Zadaniem uzyskania tej możliwości... W imię realizmu, jako zadania, podejmuje się walkę z systemami kultur irrealnych i z ich konsekwencjami.

Na zakończenie podstawy myślowe taktyki. Walczy się z systemami kultury, nie z ludźmi...

.....

Nie mogę dokończyć tych rzeczy o Parecie Wilfredo. Nie mogę znaleźć spokoju. Powieść jest także na mój obecny stan zbyt spokojna. Dobić jakoś do kresu wytrzymałości, zasnąć po północy, zbudzić się dopiero na głos Joanny, czy Emilii, czy o godzinie, o której trzeba gdzieś coś konkretnego załatwić. Co za piekielny stan. Waclaw pomóż mi drogi. Ty wiesz trochę.

63. Myśl o moim stanie finansowym jest także jedną z spraw wyczerpujących nerwowo. Wynajęcie nowego pokoju — to kwestia 300 zł. Z K.W., choćbym został — nie będę brać więcej etatu. To nie jest wielka rzecz w rezultacie. Różne wydatki do końca miesiąca — pochłoną około 500 zł. Wysokość długów wrośnie na 1 września do minimum 1.300 zł. Poza tym kwestia reprezentacyjna Ruchu. Tego nie można lekceważyć.

Muszę unormować koniecznie styl swojego życia. Naprawę. To jest niepoważne, taka sytuacja, u diabła.

Zawsze interesowała mnie sprawa różnych rachunków w pamiętnikach Baudelaire'a. Uważałem to trochę za intrygę, czy nonszalancję. Dopiero dziś widzę — po prostu szczerłość. Rachunki — dostrzegam to dzisiaj — są jedną z najbardziej intymnych rzeczy człowieka. To brzmi prawie po marksistowsku, tak — jestem skłonny na tym punkcie przytaknąć materializmowi dziejowemu. Baudelaire także, być może. Sprawa robienia notatek finansowych w pamiętniku wynika z tak silnych pokus — właśnie pokus intymności, że niesposób pamiętać tu o psychologicznym, czy w pewnym sensie — historycznym stylu moich notatek.

64. Wyrobienie sobie pełnego stosunku do takich pojęć, czy stosunków jak: rola idei (ideologii) w historii, istota rzeczywistości kulturalnej, różnica i kryteria prawdy ontologicznej i tej drugiej, powiedzmy imperatywnej, czy jak tam.

I przede wszystkim wyrobienie sobie stosunku do Vilfreda Pareta.

91. Październik, październik, który tak kochała Anna. Momenty opadania szyszek purpurowych z drzew. Momenty dojrzewania w brzoju liści dębowych cudownych żółędzi. Dni narastania czerwieni w gronach jarzębin. Pająki snujące srebrne nici na badyłach wyschłych.

Co się stanie z nowymi ludźmi, których poznam, z którymi się zwiążę, którzy będą mieli za zadanie wyrwać mi trochę z tego osamotnienia? Nie wiem Boże... Siedzę w oknie przez które grzeje w twarz i we włosy październikowe słońce.

Bluza.

Napisanie artykułu pt. „Sześcienna dusza miasta”, na mniej więcej trzy kolumny. Wykańczanie ostateczne „Polski fantastycznej”, szósta i pierwsza część. W ciągu dwu dni musi powstać maszynopis całego numeru. Zaczynam myśleć o powieści.

Ale przede wszystkim myślę wciąż o ludziach mojego otoczenia. Znowu nie mogę spać w nocy. W dzień także leżę na kanapie, wyciągnięty bezwładnie i zmęczony, i myślę. Tak spędziłem cały wieczór. Zapadła ciemność, leżałem po ciemku aż do przyścia Emilii. Przyniosła list od Magdaleny, jest w trudnej, jak pisze sytuacji, bez mieszkania znowu. Trzeba się z nią zobaczyć możliwie prędko. Balzac. Parę stron przeczytanych i znowu — myślenie o pewnych sprawach. O Annie. Powtarzam automatycznie i podświadomie, co parę chwil, jakieś bezsensowne zdanie o niej. Zdanie o miłości, o tych paru miesiącach, o jej wyglądzie i charakterze. Ileż niezastąpionego uroku, artyzmu w życiu ma ta kobieta. Ileż woli, ile bezustannego dążenia do harmonijnego piękna. Nie wiem, czy jest ktoś, kto oceniałby ją tak wielostronnie, który by tak umiał ją widzieć. Ale choć jest miłe i podniecające, nie wystarcza jej bynajmniej. Nie wystarcza jej obcowanie ze świadomością artysty tylko, za

jakiego się uważam — nie kocha mię po prostu. Mam zwyczaj za wszystko, co jest złe, oskarżać siebie samego, ale w tym wypadku — zło nie tkwi jednak we mnie.

Znowu lektura Balzaca.

93. Praca nad 11-12 nr. SIN'u wypełniła mi męcząco dwa ciężkie dni, dwa zmarnowane, zniszczone dni. Wydzieranie autorom rękopisów, dyktowanie Annie piszącej na maszynie, obliczanie kolumn, kompozycja całości. Nożyce:

Praca, której tak mi zazdroszą. Od Szareckiego wzięłem znowu 1.000 zł. Sześćset dla mnie, i 400 na SIN. Dla Zdzisława przygotowałem w sumie 2000. Na sobotę trzeba przygotować dalsze 2500.

Przez cały dzień nic nie jadłem. Co za zmęczenie! Biedna Anna. Kocham ją znowu — niepotrzebnie, nonsensownie — nieszczęśliwie. Dlaczego? Co, dlaczego? Czy to że kocham w ogóle, czy to że niepotrzebnie? To że kocham, ma się rozumieć. Co za brak charakteru. Jak można było nie cenić Anny. Wyciągnąć z tego naukę. Nie widywać jej ponadto. Przeżywa do mnie ostre rozczarowanie — od tygodnia — obecność moja drażni ją — tego powinno się unikać. To zresztą, samego mnie — boli mocno. Tak, nie widywać Anny. Jest ostatnio bardzo piękna — jak wiosną, kiedy zaczynałem się do niej zbliżać, dlatego może tak trudno dzisiaj postępować wręcz odwrotnie: oddalać się od niej.

Anno. To źle, że tak bardzo drażni cię rozczarowanie moją osobą. Nie bronię się Anno — ja sam jestem tak ogromnie rozczarowany sobą — ale to nie jest zawsze sprawiedliwe, to co myślisz o mnie. Myślisz, że jestem już wykołojony, jako artysta, zmanierowany jako publicysta, zdyskwalifikowany jako uczonek. Myślisz, że jestem człowiek o rozchwianej zupełnie równowadze życiowej, bez moralnego pionu, bankrut o chorych nerwach. Myślisz, budzę w ludziach samo zniechęcenie, niechęć, albo lekceważenie. Myślisz w końcu, że Ty, która pierwsza, jak mówiłaś, odkryłaś mię, powinnaś mię pierwsza zdemaskować — i?

Ach, Anno — Anno — masz rację, myślę. Ale to nie znaczy, żeby już musiał być koniec wszystkiego. 21 lat — to jest ciężki okres, ale okres ten mija się niekiedy...

Patrzyłem w twoją twarz piękną i pogodną — żegnając cię dzisiaj. Byłem zmęczony, musiałem cię dotknąć, objąć, czuć twoje ciało... Ciemniało. Tak miękko wygięłaś szyję do tyłu, takie światelka w oczach miałaś. — Pożegnałem cię...

94. Rozmowa z B., to był jeden z trudniejszych momentów obecnego życia. Ale nic mię już nie odstrasza. Rozmawialiśmy o architekturze, poezji, powieści, pozytywizmie i dwudziestoleciu, na koniec o wpływie kulturalnym Polski na Europę środkową. Nieomal o imperium słowiańskim. Ale rezultat materialny razem wzięty mały bardzo 1000 zł.

Chce się widzieć ze mną p. Jan Dobraczyński. To może być ciekawe. Ponadto rozmowa dzisiejsza z Irzykowskim. Trzeba mu pomóc o ile to możliwe. Przerazenie nieraz ogarnia na myśl o brutalności polskiej atmosfery i stosunków w świecie kulturalnym.

95. Pisanie powieści, jednak — Huxley — Mann Tomasz — Conrad. Tych trzech ludzi. Myślę o nich bezustannie. Jeszcze bezustanniej o sprawach finansowych SIN'u i ludziach „Ruchu”. Noce do późna bezsenne.

96. Przesada w mówieniu prawdy łatwo stać się może przyczyną przegonięcia jej w ogóle.

Zdobywanie tych 2500 zł. na SIN ma jednak okrucich romantyzmu. Przypomina mi się mimo woli parę opisów podobnych sytuacji z Balzaca, ...nesa i innych. Tylko wzbogaconych telefonem. Siedzi się w miejscu i dzwoni. Odpowiedzią może być łączniczka z kopertą...

Trzeci dzień nie widziałem już Anny. Naprzeciwko okna dach, na którym stoi dwu ludzi, układających akusze „papy”. Magdalena bała się, żeby nie spadli, chodzą niedbale, często tyłem, niezabezpieczeni niczym. Dzień jest pochmurny, kłębiasty. W bramie ładują jakieś worki z kartoflami. To wszystkich ogromnie podnieca. Obok profilu czerwonego kościoła Św. Florianiana rysują się w oddali niebieskie i omglone kopuły kościoła Św. Krzyża i „drapacz chmur”...

Będąc wczoraj całe popołudnie na małych uliczkach Żoliborza, przewiozłem ze sobą granatową i czerwoną gałązkę dzikiego wina: granatowe owoce i czerwone gałązki i liście...

97. Forma w powieści — nie wiem czy pisał to już Brzozowski — jest wyrazem etycznych wartości pisania. Forma jest bowiem tym, co można by nazwać sposobem wymawiania, więc nawet — stosunkiem jaki przyjmujemy wobec rzeczywistości życiowej, wobec fragmentów życia, które są modelami naszej rzeczywistości i powieściowej. Nawet zwykły, epicki zwyczaj powtórzeń i nawrotów, o ile wynika szczerze, z jądra twórczości, znamionuje pewną, określoną postawę moralną. O tym wiedziałem dawno, ale nigdy na serio!

.....

105. Jeżeli może być równowaga w szaleństwie — osiągnąłem to chyba. Jestem zrównoważony wszędzie i zawsze. Uczę się milczeć. Jeżeli nie sypiam całe noce, leżąc po ciemku, to nie przez brak równowagi, ale dlatego tylko, że mam dużo spraw do przemyślenia. Nie odczuwam samotności, oh — przeciwnie, ludzi widuję niechętnie i mało. Jedynie Magdalenę i jeszcze parę osób widuję z pewną przyjemnością. Ani brak miłości, ani opuszczenie mnie przez większość ludzi Ruchu — nie boją

mie. O Annie myślę z obawą, że będę ją musiał w sobotę zobaczyć jednak, poza tym myślę, że nie powinno się w ogóle spotykać własnej przeszłości, szczególnie dawnych kobiet, wcielen miłości, której nie ma już dzisiaj. Interesują mnie bardzo różne szczegóły z czyichś żyć. Różne takie, czy inne opinie i poglądy. To chłonę chciwie, ponieważ powieść operująca w planie setką chyba ludzi, musi ssać ze mnie co dzień całe morza takiego właśnie, zwyczajnie ludzkiego życia.

Wczoraj napisałem sobie plan różnych spraw, które chciałbym poruszyć na odprawie kierownictwa nr 3, rozwiązując definitywnie, albo jakoś inaczej kończąc, tę ponurą egzystencję Ruchu Kulturowego. Ruch jest to ów wspomniany na wstępie motyw szaleństwa. Tak w każdym razie będą o tym myśleli niektórzy z ludzi. Dla mnie jest to tylko forma szaleństwa może — rdzeń jest zupełnie oczywisty, naturalny, zdrowy. Przeciwnie: niereagowanie na aktualny stan byłoby maniactwem optymizmu i spokoju. Muszę zareagować jednorazowo, ale wystarczająco. Obmyślałem to właśnie. Pisanie powieści obdarza mnie niesłychaną pogodą wewnętrzną. Życie artysty jest niemożliwe oczywiście, ale piękne — piękne...

Uczę się oszczędności. W ciągu ostatnich czterech dni wydałem nie więcej niż pięćdziesiąt zł. Jeszcze miesiąc temu nie wystarczyło mi to na jeden dzień. Cieszy mnie to. Świadczy to bowiem przede wszystkim o pewnym finansowym charakterze. Przecież i przed miesiącem brak mi było pieniędzy!... Do końca miesiąca mam jeszcze 12 dni, ale i dochodów żadnych chyba.

106. Spotkanie z Anną w tramwaju. Niebieski kapelusz i palto i około twarzy puszysta, szlachetna aura szarości — srebrny lis. Umówiliśmy się pod pomnikiem Sapera. To oczekiwanie na nią w tej — obecnej — sytuacji, było czymś najbardziej romantycznym, co mogłem sobie wyobrazić. Było słoneczne południe. Pomnik Sapera okładano gipsem, czy czymś podobnym, aby przed zniszczeniem go, wziąć i przechować kształty do rekonstrukcji. Anna nie nadchodziła. Wyjąłem kawałek papieru i robiłem notatki do powieści. To romantyczne oczekiwanie na nią, niebieskie stworzenie w puszystej, szlachetnej aurze szarości. Czego chcieliśmy od siebie? Rozmowy? Po dwu tygodniach milczenia. Zdałem sobie nagłe sprawę, że jestem niesłychanie młody jeszcze, mogę być czymś podobnym do Wawrzyńca z własnej mojej powieści. Czymś najbardziej świeżym w świecie. Nadeszła w końcu Anna...

W ciągu nocy powstał nowy artykuł. Dalszy ciąg „Polski fantastyczny” — „w klimacie kultury imperialnej. Trzy kolumny, przypuszczam. Podzielony na cztery części: 1. „demagogia przemocy” — 2. „klimat rozkwitającego mitu”. 3 „Mit kultury, a jej realizm” 4. „konieczność ruchu kulturalnego w Polsce”. Oczywiście, całość musi być jeszcze gruntownie przepracowana, przy dyktowaniu Annie na maszynie.

107. Czy „Nowy, wspaniały świat” Huxley’a jest rzeczywiście parodią czegokolwiek, satyrą, czy groteską? Wydaje mi się, że stoję o krok od stwierdzenia, że można by z równym powodzeniem mówić o zupełnym braku — w tym wszystkim — parodii. Parodystycznie zachowują się, być może, czytelnicy. Dlaczego?...

108. Niespokojny czas. Akcja i reakcja. 20-osobowe egzekucje na ulicach miasta. Nic o niej nie wiadomo.

Piszę trochę powieść. Bywam znowu u Anny... Być może niesłusznie. Kocham, bądź-co-bądź, tę kobietę i myślę, że postępowanie — w takiej sytuacji — słuszne nie zawsze można by nazwać słusznym. Jestem pozbawiony pieriędzy. Odcięty w ogóle od normalnego życia. Straciłem nadzicie na jakiegokolwiek mieszkanie. Mimo to czuję się w dobrej atmosferze, to nie jest nastrój, jesiennego opadania... lęk!

Gdyby nie ten niepokój, jaki przeżywam o Magdalę, Annę i jeszcze parę osób — byłby to najspokojniejszy okres tego roku — chyba...

Brak mi czasu zresztą na pisanie tu. Piszę — dalej swoją powieść.

Dn. 23.10.43.

109. Przez trzy, czy cztery dni bywałem u Anny. Ostatnią noc spędziłem nawet u Niej. Odbudowuje się od nowa przekreślony już „problem” Anny. Być może, kocham ją i nie należy się tego wypierać — ale swoją drogą, nie powinniśmy się widywać zbyt często. Pisarz, artysta musi mieć dużo samotności, aby tworzyć. Samotności, albo chłodu. Ciepło zabija twórcę w człowieku, ostry kontur świata rozmazuje się w zrenicach.

Andrzej TRZEBIŃSKI

Awangarda i Rewolucja

Paryż zapowiada na maj wielką wystawę współczesnego malarstwa sowieckiego. Ironicznym zrzędzeniem losu, ma się ona odbyć w salach Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Nie zamierzam oczywiście powtarzać tutaj znanych banałów o wartości socrealizmu w malarstwie. Wolę zwrócić uwagę na pewien paradoks: nowoczesny, abstrakcyjny Zachód zbyt łatwo zapomina jak stosunkowo późno uznał malarstwo bezprzedmiotowe. W Związku Sowieckim było ono sztuką oficjalną kiedy Mondrian uchodził w Paryżu za biednego wariata. Nie mówmy o Ameryce, gdzie abstrakcja była przed ostatnią wojną przedmiotem egzotycznego importu. Dlaczego symbioza między Awangardą i Rewolucją trwała tak krótko? A wydawała się tak oczywista...

Teren był przygotowany. W r. 1913, Diagilew tak opisywał życie artystyczne Moskwy: „W ciągu miesiąca rodzi się dwadzieścia szkół. Futuryzm, kubizm, to już prehistoria. Wystarczy trzech dni, aby wyjść na konserwatystę. Motoryzm zwycięża automatyzm, który ulega trepidyzmowi i wibryzmowi, te zaś z kolei ustępują miejsca planizmowi, serenizmowi, omniizmowi i neizmowi. Wystawy urządza się w pałacach i na poddaszach. Księżne zachwycają się, na strychach przy trzech świeczkach, obrazami mistrzów neoeryzmu. Wielcy właściciele ziemi biorą prywatne lekcje metachronizmu”.

W pięć lat później, kolumna Aleksandra w Petrogradzie pokryta jest olbrzymimi plakatami, w różnobarwne kwadraty i kręgi, nad miastem góruje symbioza kubizmu i fauwizmu. W dali, fabryki wykonują słynną „symfonię syren”, każdy komin staje się fletem, obojem, klarnetem. Majakowski może dumnie głosić, że „ulice są naszymi pędzlami, a naszą paletą placel!” To już nie księżne, ani „wielcy właściciele”, to już nie podniecenie społeczeństwa, które w ciągu pokolenia z feudalizmu skacze w kosmopolityzm. To identyfikacja Awangardy z Rewolucją. „Historia Rosyjskiej Sztuki”, wydana w Moskwie

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P. K. O. - WOLNE od CŁA
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 200 popularnych paczek
 oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
 na żądanie.

CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD

21 Earls Court Rd, London S. W. 5



w r. 1955, nie bez trudności rozprawia się w swym dwunastym tomie z tym okresem. Lata 1917-1924 skondensowane są tam na dwudziestu paru stronach, proroczo, od pierwszej chwili przejrane czarne zamiary „lewicy”: „obiektywna reakcja” mogła przecie knować zamach przeciw sowieckiej sztuce, jeśli Trocki, Bucharin i inni niemal nie obalili państwa.

Losy sztuki sowieckiej zasługują jednak na uważniejsze spojrzenie. Dla jakich przyczyn państwo wyrosłe z utopijnej ideologii rozeszło się ze sztuką stworzoną na swój własny obraz? Jeśli grały tu względy oczywiste — skoro przysły nadzieje na rychłą przemianę ludzkiej natury, trzeba było sprowadzić sztukę do poziomu społeczeństwa — dlaczego Związek Sowiecki nie potrafił wskrzesić klasycyzmu na swoją miarę, dlaczego nie wydał swego Davida, jeśli nie swego Praksytelesa?

Zacznijmy od anegdoty. Nazajutrz po Październiku, komisarz od spraw kulturalnych, Łunaczarski, biwakuje w ogolonych salach Zimowego Pałacu. Młodzutki malarz Mansurow zjawia się u niego z propozycją przymierza między Rewolucją i Sztuką. Ten epizod, z upodobaniem opisany w wielkiej „Historii Rewolucji” jest barwną sztancą głębszego prądu. Utożsamienie artystów rosyjskiej Awangardy z Rewolucją miało zapewne miejsce na różnych płaszczyznach. Jerzy Anenkov dawał mi ostatnio interpretację najbardziej sceptyczną, mówiąc: „Byliśmy rewolucjonistami w sztuce. Odrzuceni przez oficjalną krytykę, burżuazyjną publiczność. Kiedy przyszła rewolucja, wydało się nam oczywiste, że otworzy ona nam wszystkie drzwi”. Kiwając głową dodał: „Na tym polegało nieporozumienie. Ten termin rewolucji zawrócił nam w głowie. Byliśmy rewolucyjni w sztuce, ale tylko w sztuce”.

Wydaje mi się jednak, że istniał głębszy związek pomiędzy Rewolucją Październikową i sztuką awangardy. Komunizm ma teleologiczną wizję świata. Chodzi mu o koniec historii, o złoty wiek, który przemieni stosunki między ludźmi.

*„Byście obejrzeć mogli tamten świat,
opowieść z jakich słów i barw mam utkać?
Tam jak dziewica każda prostytutka,
jak matka czuły, nawet kat!”*

woła sowiecki poeta. Nie bez znaczenia jest, że dwa wielkie kierunki rosyjskiej awangardy związanej z rewolucją — suprematyzm i konstruktywizm — wynikają z abstrakcji geometrycznej. Wszystkie wyrażone przez człowieka utopijne wizje, mające związek z tym ostatecznym złotym wiekiem, królestwem Bożym na ziemi, którym miało być urzeczywistnienie komunizmu, mają wspólną podejrzliwą niechęć nie tylko do sztuki „figuratywnej”, jak mógł przypuszczać Platon, ale do wszystkiego co łączy sztukę z życiem organicznym. Raj Dantego jest mechanizmem sfer, przeszytych promieniami czystego koloru. A Platon pozwoiłby w swojej Republice na rozkwit tych

„figur”, których piękno opiewa w Dialogach: „Linia prosta, koło, figury kształtowane na linii i kole za pomocą cyrkli, linijek, ekierek”. Idealisci, bezwiedni platonisci, natury pionowo religijne i purytańskie odczuwają pociąg do abstrakcji geometrycznej. Jakże często powtarza się przymiotnik „mistyczny” w pismach poświęconych Mondrianowi czy Malewiczowi. Wiemy skądinąd, że te same natury skłaniają się nieraz ku komunizmowi, przerzucając na płaszczyznę polityczną swój instynkt religijny. „Świat, który wyobrażamy jest bardziej materialny i odpowiadający ludzkim potrzebom niż chrześcijański raj” — powiedział pisarz sowiecki Leonid Leonow. Ale czujemy, że słowo „raj” więcej waży w tym zdaniu od słowa „materialny”. Prostokąty, trójkąty, promienie, obeliski, piramidy, cóż bardziej odpowiedniego jako dekoracja świata nareszcie odkupionego, królestwa Bożego na ziemi, w którym brak Boga, ale nie jego praw. Odczuli to wszyscy pisarze, którzy rzutowali komunizm (czy współczesny kolektywizm) w zarazem utopijną i koszmarną przyszłość. Książki Huxleya, Zamiatina, Orwella rozgrywają się na tle abstrakcji zimnej, geometrycznej.

Wyrażę się może jaśniej zestawiając geometryczną awangardę z jedynym innym wielkim ruchem artystycznym, który w piętnaście lat później i dla różnych względów utożsamiał się z Rewolucją: mam na myśli nadrealizm. Przystąpienie nadrealistów do komunizmu było konsekwencją protestu przeciw murrom wartości ograniczającym wolność człowieka. Powołali się oni na Marxa, który zburzył świat wartości, tak jak na Freuda, który starł konwencjonalne pojęcie człowieka o samym sobie. W ich mitologii na ojcowski uśmiech Lenina padał czarny cień Sade'a. Nadrealizm jest jedynym ruchem intelektualnym, który wziął rewolucję na serio nie mając przy tym złudzeń co do ludzkiej natury. Dla nadrealistów hasło „Wolność” oznaczało naprawdę wolność, nie zaś nową formę porządku. I nic dziwnego, że buntownicza sztuka nadrealistów, godząca w sedno wewnętrznych skrupowań człowieka, była dla komunistów nie do przyjęcia, podobnie jak nie do przyjęcia jest abstrakcyjny wyraz późniejszych nadrealistów, zawsze liryczny i organiczny.

Zaden styl natomiast nie wydawałby się na pozór bliższy idealistycznej i mechanicznej koncepcji człowieka niż abstrakcja geometryczna, w której nie istnieje tajemnica życia organicznego — labirynt w którym człowiek może starać się odszukać samego siebie. Zaden styl nie jest bliższy komunizmowi według formuły Lenina „Sowiety plus elektryfikacja”. Przyczyny niepowodzenia tej symbiozy są złożone, wchodzi tu w grę samo pojęcie sztuki. Znana jest rywalizacja między Malewiczem i Tatlinem w latach powolucyjnych, ale nie zastanowiono się dotychczas nad zasadniczymi sprzecznościami między suprematyzmem Malewicza i konstruktywizmem Tatlina. Malewicz wyłożył swoje teorie w r. 1915, w książce „Die gegenstandlose Welt”. Widać tam zaraz co go w dwa lata później

zbliży do rewolucji: „Wartości stały się jarzmem muzealnym, naszyjnikiem na szyi trupa” — pisze Malewicz. Co mu pozwoli powiedzieć w r. 1919, że kubizm, futuryzm, suprematyzm „były formami rewolucyjnymi w sztuce, które zapowiedziały rewolucję w życiu politycznym i gospodarczym z r. 1917”. Ale Malewicz pisał również w tej samej książce (i widzimy tu co go od Rewolucji oddali): „Suprematyzm jest, zarówno w malarstwie jak w architekturze, pozbawiony jakiegokolwiek intencji społecznej czy materialistycznej. Każda idea społeczna, jakkolwiek wielka i pełna znaczenia, jest córką głodu i potrzeby; każde dzieło sztuki, jakkolwiek mierne i pozbawione znaczenia, wynika z odczucia plastycznego. Byłyby czas uznać narreszcie, że problemy sztuki i problemy żołądka są bardzo od siebie oddalone”. Suprematyzm świadczy, jak widać, o wiecznym charakterze sztuki. Konstruktivism, dla którego „życie nie zna piękna jako estetycznej miary przedmiotów: ostatecznym pięknem jest rzeczywistość” (1), wydaje się temu przeczyć. Problem nie jest dla komunistów bez znaczenia. Jeśli sztuka należy do nadbudowy, jakich interesów może być ona wyrazem w świecie, w którym usunięte będą wszelkie konflikty? Skądinąd, jeśli sztuka jest tylko szczytem, którym posługuje się człowiek wyobcowany, czy będzie on jej potrzebował poza alienację? Dla wyrażenia splendoru świata komunistycznego Lenin uciekał się, żartem, do „klozetów ze szczerego złota”, ograniczając się, aż do absurdu, do uszlachetnienia dziedziny utylitarnej. Jerzy Anenkov opowiadał mi, że Lenin, pozując mu do portretu, porównywał sztukę do przypadkowej narośli człowieka, która odpadnie sama z chwilą nastania komunizmu. Nie należy z góry przywiązywać do tej postawy niechęci czy nieufności do sztuki barbarzyńskich zamiarów. Czyż można było przewidzieć jaki będzie rytm ludzkiego życia w tym przemienionym świecie, w którego nadejście wierzone? Czyż nie można było przypuszczać, że sam ów rytm nabędzie cech dzieła sztuki?

Suprematyzm i konstruktivism wywodzą się oczywiście z tych samych źródeł. Krzyk Marinettiego: *Evviva Futurista!*... pędzący samochód jest piękniejszy od Nike Samotrackiej!” rozległ się w Moskwie z tą samą siłą co w Mediolanie. Dla Malewicza, jak i dla Tatlina, rewolucja komunistyczna jest obietnicą przemiany świata na obraz idealnej maszyny. Twierdząc, że sztuka stanowi odrębną i wieczną sferę ludzkiego wyrazu, Malewicz chciałby jednocześnie powierzyć jej dzieło przemiany świata: „Według starej estetyki — pisze on w r. 1919 — sztuka nie miała żadnego udziału w budowie współczesnego świata... Ale sztuka musi rosnąć wraz z łądą organizmu, musi mu nadawać kształt, musi uczestniczyć w jego ruchu... Chcemy opanować świat, wyrwać go z rąk przyrody i zbudować świat nowy, który będzie wreszcie należał do nas!” Są

(1) Pewsner i Gabo: „Manifest Realistyczny”, Moskwa 1920.

oczywiście marksistowskie echa w tym tekście, ale Malewicz przewiduje w nim dla artysty miejsce podobne do tego, które w Republice Platona zajmować mieli filozofowie. „Wszystko — ciągnie Malewicz — winno przybrać kształt suprematystyczny: tkaniny, tapety, naczynia, meble, znaki drogowe, wszystko winno być wykonane według nowych form harmonii”. Malewicz próbował nawet urzeczywistnić część swoich projektów, ale filizanka pokazana na jego wielkiej retrospektywnej wystawie zeszlórocznej w londyńskiej Whitechapel Gallery, przedstawia raczej „suprematystyczne pojęcie o filizance”, niż funkcjonalny, praktyczny kształt. Nic w tym zresztą dziwnego. Dla suprematystów, przedmiot codziennego użytku miał być odbiciem ich platońskich marzeń o kwadratach i wektorach. Światło łaski miało ostatecznie spłynąć na świat z obrazu, z dzieła sztuki. Postawa konstruktivistów (etymologia sama wydaje się zresztą w obu wypadkach potwierdzać moją hipotezę) była odwrotna. „Mobile” Tatlina, kapryśnym i tajemniczym ruchem wyprzedzające Caldera o dwadzieścia lat, przedstawiały dla współczesnego krytyka Umańskiego „Samoloty? Dynamomaszyny? *Dreadnoughty?*... Te na pół mechaniczne, na pół dekoracyjne konstrukcje... bliskie są tajemnicy nowoczesnej maszyny”. Zaś rzeźby Pewsnera i Gabo przypominają turbiny, elektryczne szpulki, kolektory. Widać, że konstruktystywiści, w przeciwieństwie do suprematystów, „konstruują” dzieło sztuki zaczynając od maszyny. Nic zatem dziwnego, że w r. 1921 Tatlin, Popowa, Rodzenko i Stepanowa (czołowi konstruktystywiści) uznają „swą twórczość artystyczną za bezcelową” i opuszczają Instytut Sztuk Pięknych w Moskwie, aby się poświęcić owemu plastycznemu udoskonaleniu przedmiotu (w ich oczach zresztą jednoznaczny z jego udoskonaleniem użytkowym), które paradoksalnie będzie nadal nazywane „sztuką stosowaną”. Wydaje mi się bardzo ważne, że awangarda rewolucyjna nie zadowolili się marzeniem o świecie na obraz i podobieństwo swej utopijnej sztuki, ale że niektórzy jej przedstawiciele przyjęli najskańniej logiczną konsekwencję komunizmu, w myśl której na „czystą sztukę” nie ma ani miejsca ani usprawiedliwienia w świecie przekształconym i pogodzonym z samym sobą.

Niestety, nie na tym poziomie należy szukać przyczyn kryzysu abstrakcji i „formalizmu” w ZSSR. Od 1917 do 1922 r. suprematysty, konstruktystywiści i futurysty (tak zresztą określała szersza publiczność całą awangardę) byli artystami „oficjalnymi” młodego Związku Sowieckiego. Malarze realisti, mniej lub bardziej związani z oficjalnymi instytucjami carskiej Rosji, byli skompromitowani jako „reakcja”. Identyfikacja komunizmu z awangardą szła tak daleko, że utworzono, nazajutrz po rewolucji „Międzynarodowe Biuro Sztuk”, rodzaj artystycznego Kominternu. Malewicz, Kandynski i Tatlin przygotowują tam, wraz z Łunaczarskim, „Pierwszy Międzynarodowy Kongres Sztuk”, do którego zresztą nie doszło. Radę

Sztuk Pięknych przy Komisariacie Kultury tworzą Kandynski, Brick i Sterenberg. Kandynski organizuje poza tym Sowiecką Akademię Sztuk i Nauk i zasiada, wraz z naszym Strzebińskim, w Biurze Wystaw Związku Sowieckiego. W miejsce tradycyjnych akademii powstają „Wchutemy”, nowe szkoły techniki artystycznej, które nawiązują zaraz kontakt z fabrykami. Tatlin i Mansurow zakładają laboratorium technicznej produkcji w petrogradzkiej fabryce metalurgicznej „Nowy Lesner”. Sąsiad Tatlina w Wchutemie, Anenkov wykonuje wprost w fabrykach elementy swej konstruktywistycznej scenografii. Wszystkie inne nazwiska wielkiej sowieckiej awangardy odnaleźć można w spisach profesorów Instytutu Sztuk Pięknych Akademii, „Wchutem”: Popowa, Rodzenko, Stepanowa, Punin, El Lisiecki, Matuszyn, Jakułow... W latach 1918-1921 powstaje w Związku Sowieckim trzydzieści nowych muzeów poświęconych sztuce nowoczesnej — jest to pierwszy kraj na świecie, w którym malarstwo abstrakcyjne osiąga — i to w tak szerokim zakresie — podobną konsekrację. Dawid Sterenberg, mianowany przez Łunaczarskiego — szefa „Narkomprosu” — przewodniczącym „Kolegii” artystów, oświadcza w r. 1918, że w ZSSR może mieć prawo bytu jedynie „sztuka przyszłości, idee kolektywizmu, bezprzedmiotowość rewolucyjna sztuki”. Oficjalny miesięcznik artystyczny „Iskustwo Komuny” redagowany jest przez Mikołaja Punina, Bricka i Altmana. Punin pisał w pierwszym numerze: „Wysadzić w powietrze, zniszczyć, zetrzeć z powierzchni ziemskiej wszelkie stare formy artystyczne! Jak o tym nie marzyć, kiedy się jest młodym artystą, nowym artystą, artystą proletariackim, nowym człowiekiem...”. Zaś Altman, w drugim numerze: „Jedynie sztuka futurystów jest dziś sztuką proletariatu!”.

Komentując ten okres, nowa „Historia Sztuki Rosyjskiej” waha się między postalinowską wyrozumiałością („niektórzy z tych artystów byli subiektywnie przekonani, że sztuka ta jest rewolucyjna”) i znanym rozumowaniem, według którego abstrakcyjniści „nie umieją malować” („często ludzie pozbawieni talentu przykrywali tymi frazesami swą niezdolność sprośniania problemem postawionym sztuce przez Rewolucję”). Z głównej trudności zdawali sobie sprawę artyści „lewi”. Przyznają oni w przedmowie do swej dziesiątej zbiorowej wystawy w Moskwie w r. 1919, że „widz sowiecki nie dojrzał jeszcze do zrozumienia sztuki bezprzedmiotowej”. „Historia Sztuki Rosyjskiej” przypisuje im nawet w cudzysłowie (ale nie podając jego źródła) zamiar „użycia władzy państwowej celem dopięcia swych celów artystycznych”. Bardziej przekonująco brzmią słowa Pewsnera komentującego, w wywiadzie udzielonym w Paryżu po trzydziestu z górą latami, „Manifest Realistyczny”, który napisał wraz ze swym bratem Gabo: „Byliśmy młodzi, rewolucyjni, komuniści. Są tam punkty które należą do utopii... Kiedyśmy to pisali, był Lenin, Trocki, byłem profesorem moskiewskiej akademii... to nie był Stalin”.

Pierwsze ostrzeżenia nie dały na siebie czekać. Łunaczarski, choć sam protektor „lewych”, pisał w r. 1920 w „Iskustwie Komuny”: „Dwa fenomeny są groźne w tym piśmie: skłonność do całkowitej negacji przeszłości i skłonność do przemawiania w imieniu władzy, kiedy się mówi tylko w imieniu pewnej grupy”. Nic w tym dziwnego: Łunaczarskiego często wzywał do siebie Lenin, który interesował się sztuką, ale wyłącznie z punktu widzenia jej zastosowania do propagandy politycznej. Uwagi Lenina o sztuce, pieczołowicie zebrane przez Klarę Zetkin, wyrażają charakterystyczny dla współczesnej inteligencji „zdrowy rozsądek”: „Jestem całkowicie niezadowolony do uważania twórców ekspresjonizmu, futurizmu, kubizmu i innych „izmów” za wyraz wyższego geniusza artystycznego. Nic z tego nie rozumiem. I nie daje mi to żadnej radości”. Lenin miał natomiast o wiele ciekawszą od Stalina koncepcję monumentalnej sztuki na służbie idei. Cytował Łunaczarskiemu utopijne dzieło Tommaso Campanelli „Gród słońca” i pragnął do swego własnego Grodu zastosować pomysły tego Włocha Renesansu — wielkich dydaktycznych fresków. „Plan Propagandy Monumentalnej Lenina” — olbrzymie napisy na murach publicznych gmachów, pomniki bohaterów Rewolucji — mogłyby być naznaczone Związkiem Sowiecki swoistym stylem (uczestniczyli w nim również artyści awangardy), gdyby nie ówczesny brak surowców. Najciekawszy styl kolektywny komunizmu wycisnął swe piętno jedynie na gipsie i teksturze — niestety, dopiero przy budowie stalinowskiej kolei podziemnej nawrócono w Rosji do carskich półszlachetnych kamieni.

Bezpośrednią przyczyną końca rozkwitu awangardy nie było jednak ani niezrozumienie publiczności, ani nieufność biurokratów, ale nastanie Nepu i rosnące znaczenie Czerwonej Armii. Częściowy nawrót do wolnego rynku, który był główną cechą Nowej Polityki Gospodarczej, zastąpił mecenat Państwa mecenatem nowej burżuazji, o wiele mniej rozwiniętej intelektualnie od burżuazji przedrewolucyjnej. „Peredwiznicy” — „ludowy” kierunek, który powstał koło r. 1870 w celu „niesienia sztuki w lud” za pomocą anegdotycznych i budujących obrazów — nabrali nowej pewności siebie. Malarstwo ich było łatwiej dostępne nowej drobnomieszczańskiej publiczności niż sztuka innych przedrewolucyjnych grup figuratywnych, jak estetyzujący „Mir Iskustwa” czy cézannowski „Walet Karowy”. Była to też jedyna, poza abstrakcjonistami, grupa która związała się, jeśli nie z komunizmem, to z ruchem postępowym, utożsamionym już wówczas z ruchem rewolucyjnym. Przewodca ich, Riepin, surowo potępił drogą „modernistom” zasadę „sztuki dla sztuki”: „Istnieje jedna tylko zasada — pisał — „sztuki dla życia”. Wszystko musi służyć życiu, służyć mu musi każde dzieło sztuki”. Riepin i „Peredwiznicy” odegrali zatem w sztuce rosyjskiej rolę podobną do roli Gorkiego w literaturze. To prawda, że nie oni, a wielcy wyznalcy abstrakcji są w naszym pojęciu związani z bohaterską

epoką Rewolucji (podobnie jak Majakowski a nie Gorkij przedstawia dla nas rewolucyjną literaturę), ale rewanz ich w sztuce będzie nie mniejszy od rewanzu Gorkiego w literaturze. Czterdziesta siódma wystawa Peredwiżników, zorganizowana w Moskwie w r. 1922, z okazji Nepu, nie stanowiła co prawda jeszcze o zwycięstwie. Ale była to pierwsza po Rewolucji manifestacja „prawicy” artystycznej, zwolenników „realizmu”. Wywołane tą wystawą polemiki prasowe pozwoliły zręczniejszym realistom wyciągnąć wnioski z wysuwanych przeciw nim zarzutów „paseizmu” i „reakcji”: utworzyli oni „Związek Malarzy Rewolucyjnej Rosji” (ACHRR). Po raz pierwszy, malarze „realiści” wystąpili zbiorowo w roli sprzymierzeńców Sowieckiego Państwa, wyrываяc ten monopol awangardzie. Program ich był prosty i widzimy w nim przedsmak „realizmu socjalistycznego”: „Odzwierciadlamy życie codzienne: życie Czerwonej Armii, robotników, chłopów, pracowników rewolucyjnych i bohaterów pracy. Nasz styl to „Bohaterski Realizm” w formie monumentalnej”. Wystarczy wyobrazić sobie sztukę, którą by popierały polityki jakiegokolwiek wojska, gdyby uzyskało wpływ na życie państwa, aby ocenić pierwsze miejsce przyznane w tym programie Czerwonej Armii. Nic dziwnego, że „Wystawa Piątej Rocznicy Czerwonej Armii” jest tryumfem ACHRR-u. Wystawa ta stanowić będzie złąkę słynnego „Muzeum Rewolucji”, które nowi realiści „rewolucyjni” zaleją w ciągu długich lat swymi „rodzajowymi” obrazami. „Lewica” stawia przeciw opór. Jej pismo „Lef” oświadcza w r. 1923, że realistyczna „prawica” podaje zawsze tę samą „zimną, stęchlą rybę”. Majakowski oświadcza na publicznym zebraniu dyskusyjnym: „Nie widziałem tegorocznej wystawy Związku Malarzy Rosji Rewolucyjnej. Ale można postawić pytanie: czy to jest w ogóle kultura? Mam na ten temat dość osobiste zdanie. Weźcie choćby znany obraz Brodzkiego „Zebranie Kominternu”, o którym tyle już pisano i zobaczcie do jakiego stopnia banału i ohydy może dojeść malarz komunisty... Wybaczcie, towarzysze, ale nie widzę żadnej różnicy między sposobem malowania członków Rady Państwa (2) i sposobem malowania przedstawicieli naszego Kominternu”. Majakowski zakończył swe przemówienie sugestią żeby portrety zastępować fotografią. W r. 1924 wspólna wystawa „lewicy” i „prawicy” pod nazwą „Wystawa Dyskusyjna” konfrontuje po raz pierwszy dzieła konstruktywistów z obrazami realistów. Nigdy konstruktywiści nie zbliżyli się bardziej do idealnych celów komunizmu: ich eksponaty stanowią tam prawdziwy projekt „przemienionego świata” z modelami przezroczystych fabryk, pierwszymi pomysłami „industrial design”, wyobraźnią graficzną (m.in. książką El Lisickiego „Opowieść suprematystyczna o dwóch kwadratach”, urocą abstrakcyjną bajką dla dzieci).

(2) Aluzja do obrazu Riepina z r. 1901.

Czy dlatego wystawa ta stanowi o ostatecznym zmięczeniu awangardy? „Aparatcziki” zachowują co prawda „Wielki Cel” w swych ideologicznych racjonalizacjach, ale każda próba jego praktycznej realizacji napelnia ich obawą. Artysty, którzy wczoraj byli „proletariacy” teraz stają się „utopistami”. „Bohaterski Realizm” ACHRR-u bardziej pochlebia biurokracji, która woli Złotą Legendę Rewolucji od rewolucyjnej sztuki. Tym niemniej, pierwsza rezolucja partyjna dotycząca polityki kulturalnej z r. 1925, zredagowana przez Bucharina, oświadcza, że Partia nie jest jeszcze w stanie ustalić jaka grupa artystyczna jest przedstawicielem Proletariatu... Ale wzrastające trudności wystaw abstrakcyjnych, zmniejszenie zamówień państwowych skłania w tych latach Pewsnera, Gabo, Chagalla, Kandynskiego, Anenkowa, Mansurowa do emigracji. Trzeba jednak podkreślić, że członkowie awangardy mogą jeszcze swobodnie podróżować, wystawiać zagranicą. Lisicki opuścił Rosję w r. 1920 i odgrywał wybitną rolę w niemieckim życiu artystycznym do chwili swego powrotu do Moskwy w r. 1928. Malewicz przyjmowany jest triumfalnie przez polską awangardę (która w nim widzi rodaka) w Warszawie w r. 1927 i w Berlinie, gdzie na „Grosse Berliner Kunstausstellung” poświęcona mu jest wielka sala. Wystawia on zresztą jeszcze swe suprematystyczne obrazy w Moskwie w r. 1930.

Zapominamy bowiem zbyt często, że stalinizm nie był od razu doskonałą i szczelną konstrukcją ostatnich lat. Stalin sam, na początku swego panowania, był bardziej od Lenina powściągliwy w sądach o literaturze i sztuce. Wysuwano przypuszczenie, że powrót Gorkiego do Rosji i jego sielskie rozmowy ze Stalinem na ogrodowej ławeczce wzmocniły zaufanie dyktatora do jego własnych upodobań artystycznych, skoro podzielał je „największy rosyjski geniusz”. Jest to zagadnienie sporne. Jerzy Anenkov na przykład, zapewniał mnie, że Gorkij był zwolennikiem abstrakcji w dziedzinie ilustracji książek. Ale bliskie Gorkiego osoby potwierdzają jego nienawiść do Kandynskiego, naturalną zresztą jeśli się zważy, że Gorkij nie cierpiał Maeterlincka i Stefana George, podczas gdy Kandynski (jest to wstydlivy i dobrze strzeżony przez współczesnych krytyków sekret) uważał się za ich odpowiednika w malarstwie. Do Tatlina, który był zresztą żonaty z porzuconą przez Gorkiego kochanką, Gorkij odczuwał najwyższą pogardę: „nierób”, „bлагіer” i „nicpoń”, a jego projekt pomnika Trzeciej Międzynarodówki: „śmiecie”. Upodobania Gorkiego są skądinąd znane. O banalnym pomniku akademickiego rzeźbiarza Szadra wyraża się wylewnie: „Stacja elektryczna Zagier ze swym pomnikiem Lenina pośrodku rzeki Kury jest przepiękna. Oto pierwsze dzieło naprawdę monumetalne przedstawiające człowieka w kurtce. Artysta świetnie uchwycił gest Iljicza, który wskazuje ręką na wsćiekły prąd rzeki”.

Najlepszą analizą stalinowskiej estetyki jest niewątpliwie wydany przez „Kulturę” esej młodego anonimowego pisarza

sowieckiego pt. „Co to jest realizm socjalistyczny?” „Czy w ogóle istnieje to irracjonalne pojęcie — czytamy tam, — ...Być może, wszystko to sen, który przywidział się wystraszonemu inteligentowi ciemną zaczarowaną nocą stalinowskiej dyktatury? Ordynarna demagogia Żdanowa, czy starcze dziwactwo Gorkiego?

Nigdy nie określony ściśle, realizm socjalistyczny narzucony został sowieckiemu życiu artystycznemu stopniowo, zanim stał się bezsprzecznym dogmatem. Opracowanie w r. 1930 „Pięcioletniego Planu Kulturalnego” daje rządowi sposobność do sformułowania oficjalnej filozofii sztuki. Jeśli supremacji i konstruktywizm już wówczas przestali odgrywać jakąkolwiek rolę, „liberalna” polityka z lat 1922-1928 pozwoliła natomiast na rozwój różnych nowych grup. „Ost” (malarze sztalugowi) składa się z artystów wychowanych w „Wchutemach”. Uczniowie konstruktywistów, zwracają się oni ku sztuce figuratywnej, pod wpływem niemieckiego ekspresjonizmu i techniki fotomontażu — są oczywiście o wiele ciekawszy od „ACHRR-u”. Epi-goni „Waleta Karowego” rozpadają się na dwie grupy: „Bui-to” i „Makowiec”. „Malarze moskiewscy” są według współczesnego sowieckiego krytyka „pełni piękna rzeczy, kolory dzikie, bez żadnej filozofii”: rodzaj rosyjskiego fauvizmu. W r. 1930, sekcja artystyczna „Narkomprosu” postanawia zjednoczyć wszystkie istniejące „dozwolone” grupy w jeden „Związek Pracowników Sztuk Pięknych”. ACHRR i parę bliskich mu odłamów zostają panami sytuacji. W r. 1932 wreszcie, rezolucja Partii „o zjednoczeniu wszystkich istniejących grup literackich i artystycznych w jeden Związek Sowieckich Artystów” ma na celu „zjednoczyć tych wszystkich, którzy popierają ustrój sowiecki i biorą czynny udział w budowie socjalizmu”.

Mglista i dwuznaczna w odniesieniu do literatury, teoria „realizmu socjalistycznego” w malarstwie sprowadza się właściwie do dwóch zasad: 1) „Problemy konstrukcji malarskiej są trochę niegodną myślącego człowieka”, oraz 2) „Zawartość treściowa wytworzy swój własny styl”. Tymczasem, malarzom sowieckim narzucono nie tylko zawartość treściową, ale przede wszystkim styl: „realistów rosyjskich XIX wieku, Riepina i Peredwiżników.

Oto zapewne dlatego ustrój sowiecki okazał się niezgodny do wykrzesania autentycznego artystycznego wyrazu, dlatego po utraceniu abstrakcji, niewygodnie związanej z utopijnym celem, nie potrafił nawet odzwierciedlić swej nieludzkiej wielkości w klasycznym lustrze. Gdyż sam fakt ucisku społecznego nie tłumaczy śmierci sztuki. Jak słusznie przypomina autor eseju o „Realizmie socjalistycznym”:

„Sztuka nie boi się dyktatury, ani surowości, ani represji, ani nawet konserwatyzmu i sztampy. Jeśli potrzeba, sztuka bywa ciasno religijna, tępo państwowa, nie indywidualna,

a mimo to wielka. Zachwycamy się sztancami starego Egiptu, rosyjskiej ikonografii, folkloru. Sztuka jest dostatecznie płynna, aby zmieścić się w każdym prokrustowym łożu, proponowanym jej przez historię. Jednego nie znosi — elektryzmu”.

Rosja stalinowska zapożyczyła swój plastyczny stereotyp z epoki, która była już sama eklektyczna: z akademizmu XIX wieku. W dodatku zmroziła go przymusem, tracąc to co było naturalne i w pewnym sensie autentyczne w naiwnej retoryce Riepina, Matejki, Meissoniera. Realizm socjalistyczny, nie istniejący jako teoria, dał jednak dość wierne odbicie społeczeństwa które, poprzez czystki, pięciolatki, obozy, dążyło ostatecznie do ideału drobnomieszczańskich obyczajów: wymiary i ohyda środków nadają temu celowi charakter paradoksalny. Znajdujemy w rosyjskich powieściach z czasów stalinizmu szereg odpowiedników obrazów tejże epoki:

„Pod białym sufitem iskrzył się paradny żyrandol, z którego, jak sople lodu, zwisały przezroczyste, kolorowe wisioriki... Wysokie, srebrzyste kolumny podpierały olśniewająco białą kopułę, przetkaną naszyjnikami elektrycznych lampek... Na scenie, przy wypolerowanym wieku fortepianu stał Rakitin — na jego pierś, opiętą szarym garniturem, błękitną strugą spływał krawat”.

Oto w latach tysiąc dziewięćset pięćdziesiątych, partyjna świetlica, w której przemawia partyjni działacz... Malarstwo „soc-realistyczne” nie jest niczym innym jak odbiciem tej banalności, tego „savoir-faire'u”, tego „comme il faut”, które wyraża obowiązująca „kulturalność”.

Dylemat ustroju po-stalinowskiego polega na tym, że wybrał drogę rozwoju pragmatycznego podczas gdy jego prawa sukcesyjne oparte są na ciągłości ideologicznej. Dla Chruszczowa problemy artystyczne nie przedstawiają trudności: „Dla artysty, który wiernie służy swemu narodowi, kwestia czy jest on wolny czy nie w swej twórczości jest bez znaczenia. Dla niego ten problem w ogóle nie istnieje: artysta taki dobrze wie jak podchodzić do rzeczywistości; nie potrzebuje ani się „dostosowywać” ani się przymuszać. Przedstawić wiernie rzeczywistość w zgodzie z jego przekonaniami komunistycznymi — to wzmóg jego duszy. Stoi on twardo na swym stanowisku, utwierdzając je w swoim dziele”. Mimo tej pewności siebie, Związek Artystów Sowieckich zmuszony był w październiku ubiegłego roku zorganizować w Moskwie konferencję na temat „Rewizjonizmu w sztuce i w krytyce sztuki”, na której podkreślono „ważkie błędy w sowieckiej krytyce sztuki”. Cytowano tam nawet herezje, o których głucho było w Rosji od trzydziestu lat: krytycy sztuki i pisma artystyczne broniły młodych malarzy „formalistów”, a nawet „wręcz abstrakcyjnych”. Wiemy dziś o istnieniu młodych abstrakcyjnych malarzy w Rosji Sowieckiej, wiemy również że szereg malarzy starszych prowadzi równoległe dwie twórczości: jedną „oficjalną”, drugą „prywatną”,

otwartą dla wszelkiego rodzaju doświadczeń. Mniej znany jest fakt, że to na pół tajne malarstwo ma swoją publiczność, swych entuzjastów, a nawet mecenasów, wśród których — pokrewieństwa nuklearne czy przywilej niezastąpionych? — szereg uczonych atomistów. Jeśli malarze abstrakcyjni nie mają oczywiście prawa do wystawiania swych dzieł, „Piąta Wystawa Młodych Malarzy Moskiewskich” w czerwcu zeszłego roku wywołała gniew starych akademików z powodu „formalistycznych” tendencji. Przewodniczący Akademii Sztuk Pięknych ZSSR, Joganson, „wzbudzony bardzo niepokojącymi obrazami na tej wystawie”, ogłosił w „Sowieckiej Kulturze” artykuł „W obronie realizmu w malarstwie”. Za czasów Stalina, podobny artykuł Jogansena czy Gerasimowa miałby moc dekretu. Tym razem jednak, „Literaturnaja Gazeta” ogłosiła odpowiedź odpierającą argumenty Prezydenta i zarzucającą mu kolejno „formalizm” z powodu jego przywiązania do plastycznego wyrazu XIX wieku. Dla nas szczególnie ważną jest pionierska rola odegrana w tej dziedzinie przez nowe malarstwo polskie. Polski pawilon na wystawie zbiorowej socjalistycznego bloku w r. 1958 wzbudził największe zainteresowanie sowieckiej młodzieży, a jego świetnie pomyślana strona dydaktyczna z góry odpierała zarzuty „bezsensu” sztuki nowoczesnej. W dziedzinie plastycznej Polska stała przez kilka lat na wysokości swej naturalnej roli w socjalistycznym bloku: z wolna przekonywała, że abstrakcyjne malarstwo nie jest koniem trojańskim kapitalizmu, a sukcesy polskiego malarstwa zagranicą w nowym świetle stawały zagadnienie „koegzystencji” w dziedzinie artystycznej. Niestety, rozwój sytuacji w ciągu ostatnich miesięcy przywrócił w Polsce przewagę drobnomieszczańskiemu Ciemnogrodowi. Tym uważniej śledzić winniśmy, tym większą nadzieję przywiązując, do ewolucji w samym Związku Sowieckim. Ewolucja ta jest niewątpliwa, zgodni są co do tego wszyscy zachodni znawcy rosyjskiej sztuki współczesnej. Dla Camilli Grey, pojawienie się na nowo elementu dekoracyjnego, zawsze dla sztuki rosyjskiej charakterystycznego, jest oznaką nowej żywotności. Zaś E. Steineberg, który w r. 1959 zorganizował we Frankfurcie świetną wystawę „Wkład Rosjan do Sztuki Nowoczesnej”, pisze w „Das Kunstwerk”: „Dzisiejsza Rosja stoi w dziedzinie sztuki pod znakiem zapytania. Widziałem tam płótna abstrakcyjne w trakcie malowania, mówiłem w Moskwie z młodymi malarzami, przejętymi najnowszymi prądami. Czy rośnie tam teraz nowe pokolenie niecierpliwych?”.

Wydaje się jednak, że problem odnowy sztuki w Rosji oderwany jest obecnie od idei rewolucyjnej. To już nie z utopijnej teleologii komunizmu, a raczej z jego desakralizacji mogłaby czerpać siły nowa sowiecka awangarda.

„Zanim przyjdzie do czego — pisze anonimowy eseista sowiecki — nasza sztuka drepce na tym samym miejscu — pomiędzy niedopełnionym realizmem i niedopełnionym klasy-

cyzmem”. Ale trudno nie podzielić jego nadziei w przebudzenie sztuki rosyjskiej, która by mogła osiągnąć na nowo uniwersalne znaczenie: „Nie wiemy dokąd iść, ale pojąwszy, że nie mamy innej rady, zaczynamy rozmyślać, przeprowadzać domysły, zakładać przypuszczenia. Być może, wymyślimy coś zadziwiającego. Ale to coś nie będzie już realizmem socjalistycznym”.

K. A. JELEŃSKI

Pomoc Paczkową

- WSZECHSTRONNĄ
- SZYBKĄ
- SPRAWNĄ

DO POLSKI LUB ROSJI

Zapewnia na całym świecie

NAJWIĘKSZY DOM WYSYŁKOWY

TAZAB OF LONDON

AUSTRALIA
MELBOURNE, C.I.
325, Collins Str.,
Tel. Melbourne 1314

W. BRYTANIA
TAZAB HOUSE
LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175.

U.S.A.
NEW YORK,
36, Third Avenue,
Tel. ALgonquin
4-4160/1

Wobec zbliżającej się 25-tej rocznicy zgonu Wielkiego Marszałka Józefa Piłsudskiego zawiązał się w Londynie komitet, złożony z Legionistów i Peowiaków, z gen. Kazimierzem Sawickim na czele. Komitet postanowił wydać książkę — życiorys Marszałka. Podstawowy fundusz wydawniczy został już utworzony w ciągu ostatnich miesięcy drogą zbiórki subskrypcyjnej wśród Legionistów i Peowiaków.

Autorem książki-zyciorysu pt.

JÓZEF PIŁSUDSKI na tle epoki 1867-1935

jest znany historyk i biograf Marszałka,
Władysław POBÓG-MALINOWSKI

Książka da pełny obraz życia Marszałka. Liczyć ma ok. 300 stron druku, na bardzo dobrym papierze, w trwałej oprawie, — i zawierać będzie kilkanaście fotografii, w części nieznanych.

Książka ukaże się w ciągu roku 1960

Cena w przedpłacie do dnia 31 sierpnia br.: £ 1.00.0, albo \$ 3, wzgl. ich równowartość. Po ukazaniu się na półkach księgarskich cena będzie o 50 % wyższa.

Spis alfabetyczny przedpłacicieli umieszczony będzie na końcu książki.

Zamówienia i wpłaty kierować na adres:

Henryk J. Picheta, 23 North End Parade, LONDON, W. 14

Komitet wykonawczy:

Plk. E. Radwan-Pfeiffer
przewodniczący

Plk. Al. Idzik
sekretarz

Plk. H.J. Pichela
skarbnik

CENTRALA WYSYŁKOWA

Paczki do Polski, U.S.S.R. i innych krajów. Powiększony katalog lekarstw — ceny konkurencyjne. Przesyłamy pieniądze do wyboru: w dolarach lub złotych — Żądajcie katalogów.

NASZA SPECJALNOŚĆ: sprawy emigracyjne, sprowadzanie krewnych, sprawy majątkowe — adoptacje dzieci, podróże. Obsługa szybka i gwarantowana.

ST. DZIAKIEWICZ AGENCY

860 So. Broad St. Trenton 10, N.J. U.S.A.

Tel. Export 4-9559

Wiersze

NA DWIE ZMIANY

Anioł zakrzyczał nade mną we śnie.
Leżałem w złocistej trawie
Cicho, jak dziecko. Po kostki.
Białe rękawy roboczej koszuli
Miałem podwinięte po łokcie.
Wokół białe lasy czereśni.
Pachniały stawy
Kilometrami niebieskiej bieli.
Nie było nieba.
Ziemi nie czułem.
Nie wiedziałem co pośpiech.
W tak wielkim szczęściu ich nie potrzeba.
Chciałem leżeć w tej słodkiej pościeli
Miętko, na jawie.
Niepopychany, nierozpoznany.
Leżeć miętko w puchu, jak drogie błahostki
Dawno zgubione:
Czerwona perła;
Szpilka do włosów z kapsłą szmaragdową
Powycieraną przez deszcze i wiatry.
Jak narzędzie do rżnięcia szkła.
Co ostrze ma z diamentu.
W diamentowej źrenicy błyszczą się czyste
Śniegi Kilimandżaro i skwar Afryki.
I iza
Wylana podczas zamętu
W kandelabrową noc
Razem z świecami

Podczas muzyki
 Na pasażerskim statku
 Do żelaznego czarnego wiadra.
 Nie zrozumiałem snu.
 Niczego nie zrozumiałem.
 Śpiący ciężko po pracy. Cegły i mosty,
 Zrudziałe wody, wrzaski dozorców,
 Zlewy pełne szkarlatu, kanały, szczury,
 Ludzie gorsi od szczurów. Krosty na stawie
 Od liści w parku zgnitych w połowie,
 W połowie żółtych.
 Każdy liść z cechą na nikłych żeberkach
 Przeźroczą i ażurową.
 Krany i schody. Drabiny, wiertła.
 Klony. Platany. Wiązy. Kasztany.
 Świdry. Koparki. Kатуże smarów. Mocz koni, rdza, glina.
 Żółta glina.
 Czerwona glina.
 Glina i piach. Glina. Glina. Glina.
 Na przykopie, z ukosa,
 Krzta czystej miedzi na włosach wrzosów.
 Nad rzeką, już dalej,
 Srebrzysta odwilż na kopcach siana.
 Gruz. Stercząca grdyka bramowego, gdy zaspany z rana.
 W kontrolnej budzie odcisk śniedzi na szyi czajnika.
 Zegar z kukułką. Tytoń do fajki.
 Na plac roboty wlała się zmiana.
 Karty dniówkowe przebite gwoździem na brudnym stole.
 W cząstki rozłamany
 Promień słoneczny igra ze stalą,
 Gdzie gwoździe jest czysty.
 Smród teru, wapna, cementu. Papa. Wióry.
 W trawersach,
 W czerwieni ponurej stropów
 Szpak zabłąkany
 O oczach szklanych.
 W okienku śpi kot o sierści jedwabnej i miękkiej,
 Jak biust barmanki. Bovril, bochenek chleba, konserwa rybna.
 Butelki z mlekiem. Inny bramowy.
 Drugi bramowy. Trzeci bramowy.
 Cała ulica sami bramowi.
 Z gardła niebiosów
 Drze się przy łóżku
 Nikłowy budzik.
 Nie mogę głowy ciężkiej oderwać od jego krtani.
 Od jego krtani.
 Od jego krtani.

JOSEPH CONRAD

Czarną ziemią czarną trumnę ojca przysypali.
 Potem prędko „Jeszcze Polska nie zginęła” zaśpiewali.
 Zapłakali w czarnych płaszczach biedni ludzie, ludzie mali.
 Wyszli z czarnych wrót cmentarza. Czarną nocą się rozstali.

Wrócił chłopiec do pustego,
 Do zimnego i obcego wrócił domu.
 Ciemny krzyż na ścianie wisiał. Po kryjomu
 Zgasił świecę. Po kryjomu wyszedł z miasta kamiennego.

Uniósł w świat cały skarb: te dwa groby;
 Matki, ojca; zawiniątko: parę koszul, czapka stara!
 Snujże złotą nić żywota, Parko prządko.
 Nie przecinaj jej dla cara.

Precz zdeptane straszne trakty do Wołogdy!
 Czarne płaszcze, prędkie pieśni, krzyże, groby.
 Niech się śmieją w koło ludzie. Niech się pali
 Sto słońc na zielonej morskiej fali.

Oceany, porty, wyspy.
 Burze, wiatry, trzepot żagli.
 Takie same, jak i ojca, troski przyszły
 Choć inaczej czas je naglił.

Wszędzie przemoc losu stanie
 Naprzeciw szlachetnemu, jak ten chór
 Z czarnych skał. Po zwycięstwie pozostanie:
 Ziemia, granit, grobu mur.

I MAJ 1959

Ile ściśnięto zielonego aksamitu w pączkach
 Drzewo tylko wie.
 Tak samo kwiat wie,
 Dzierząc w białych rączkach
 Czerwonych kielich z fiołotowym światłem na dnie.
 Ile cegieł i stali, kamienia i murów,
 Belek, cementu, dachówek, marmuru,
 Przewodów, kanałów, asfaltu, żarzenia,
 Gazu, grafitu zużyto, by powstało miasto,
 Robotnik wie.
 Wie także, kiedy rośnie elektrycznie ciasto,
 Ile srebrzystych drożdży w nim drży wilgotnie.

Nim buchnie w niebo wrzask miedzianych trąb
 Oznajmiający wschód,
 Po miastach, osadach, kopalniach, stalowniach
 Zaczynają krążyć robotnicy:
 Czerwone ciałka krwi.
 Wyspany lud
 Co odkrył ład.
 Obudził się i z niebezpieczeństw drwi.
 Strach odpadł od niego jak suchy trąd.

Lud.
 To jego ręce, ramiona, nogi, mięśnie,
 Oczy i uszy prowadzą samoloty,
 Wodociągi, gazownie, parowozy, floty,
 Radiostacje, kable podwodne.
 Czują mózg ich pracuje zbiorowo.
 Drga. Bije jak młoty.

Oni rwą rudę żelazną ze skał,
 Węgiel,
 Kuby uranu.
 Alabaster i złoty miąż
 Płuczą w bagnistych rzekach.
 Dla chleba i dla człowieka.

Ci właśnie co najwięcej mamroczą
 W ciemnych, wilgotnych izbach
 O Orle Białym, Świętym Michale i Pogoni,
 Teraz w milionach ulicami kroczą.
 Krok dzwoni.
 Iskrami pryska. Gwoździami bryzga.

Lud.
 To oni co w dzień pracują po łokcie.
 Co mają czarne, podarte paznokcie.
 Kurz w płucach, za uszami brud.
 Nocami rzygają po karczmach, traktierniach i pubach,
 Gdy brylantowe korony świecą się na śbach
 Od śpiewu drgającego po stawach zwiastujących wiosnę.
 Gdy kłęczą na rudej mokrej ziemi
 Cicha noc podaje w kryształowym kuflu
 Garstkę srebrnych gwiazd.

Wędrują z osad. Wiosek. Z miast.
 Z nor. Bunkrów. Baraków. Szop. Burdeli.
 Świtu czerwone sukno przed nimi się ścieli
 Po kostki.

Idą ci co niszczą maszyny ze złością.
 I co co je ochraniają. Budują. Kochają.

Razem idą dobrzy, uczciwi, pracowici,
 Mali, nikczemni, źli.

Ich synowie i bracia służą w wojsku
 Co źle broni kraju ale dobrze strzela do tłumów.
 Ich synowie i bracia służą w policji
 Tropiącej przywódców, pisarzy i mówców.
 Popierającej szpicli, łamaczy zbiorowych umów.
 A przecież wszyscy idą twardo. Stolica od ich marszu drży.
 Idą głośno. Odświętnie ubrani. Ogoleni czysto i umyjni.
 Tłum zdrowych i chorych, dobrych i głupców.
 Wszyscy codziennie w rękach dźwigają:
 Topór, kilof, karabin i młot!

Lud.
 Jedni drugim zazdroszczą.
 Kopią dołki pod sobą. Oszukują się. Żrą się jak psy
 O twardą suchą kość.
 O łachmany. Brudne schody. Ciemne ulice. Walące się
 [domy.]

Ale kiedy życie powiedziało dość!
 Dość tego.
 Czerwony sztandar płynie ponad trony.

Przekupywano przywódców. Wynajmowano łamistrajków.
 A jednak szły.
 Iść będą. I pójdą miliony.
 Czerwony sztandar płynie ponad trony.

Ubrano ich w żakiety. W aksamitne spodnie.
 Pobudowano szpitale, sportowe stadiony.
 Sprawiono do kościołów nowe feretrony.
 Czerwony sztandar płynie ponad trony.

Oklaskują ich już w jedwabiach przechodnie.
 Zdejmują kapelusze. Wynajmują dla nich grajków,
 Balety. Sypią na nich z okien kwiaty i festony.
 Czerwony sztandar płynie ponad trony.

Kowale, murarze, tramwajarze, autobusiarze,
 Maszyniści, kotlarze, górnicy, metalowcy, marynarze.
 Wszyscy idą. W huku odrzutowców parskają atomy.
 Nie ma siły co by życie w biegu powstrzymała.
 Nadzieja cała.
 Czerwony sztandar płynie ponad trony.

ŚLAD RYSIKIEM

Okruch myśli, okrucz czasu, okrucz nocy
 W błyskach gwiazdy nowo narodzonej,
 Co jeszcze jasno nie świeci choć z zapalu tryska.
 Z konieczności własnej mocy uczonej.
 Bez swojego toru. Płynnej. Srebrnej. Bez nazwiska.

W lesie pachnie gazonami brusznic i poziomek
 Zasypanych złotym puszkami, jak kark z bliska
 Młodej, o czerwonych włosach żony.
 Owoc za owocem wytrzeszczony z mchu, jak ciekawe oczy
 Dzieci pędzących bez celu w zielonej, olbrzymiej karocy.
 Gwiazda, choć świeża, wwierciła się w pory czerwonego
 mrowiska.

Posrebrza we śnie liczne niewolnice
 Leżące po pracy z podkurczonymi szczypcami.
 W ciasnych komorach zaścielonych sosnowymi szpilkami.
 W pobliżu potok zimne wonne wody toczy.

W nylonowym obuwii weszła miękko młoda planeta w krynicę.
 O czym myślałem? Jak długo to trwało? Chyba o północy.
 Jak po gwiazdzie ślad po nas zostanie wyryty rysikiem
 Na granatowej ścianie nocy.

MODLITWA

W szarym parowie
 Ostro krzyk czajki.
 Mokre niezapominajki:
 Posrebrzone mrowie.

Zielone mrówki
 I czerwone liście
 Patrzą przezroczyście
 Z wodnej widokówki.

Woda nikto ciecze po lesie.
 Płacz ptaka się niesie.
 Mchu pachną jedwabne zagłówek.
 Złota jesień.

Lesie! Lesie!

Marian CZUCHNOWSKI

Archiwum polityczne

Rozważania katastroficzne

Dialektyczny czy katastroficzny — to
 może niezupełnie to samo, ale prawie.

Czesław Miłosz — „Rodzinna Europa”.

Kasia, która z zapadłej wioski wylądowała w Warszawie — zobaczywszy w ogrodzie zoologicznym żyrafę uśmiechnętą się i powiedziała: „Eee... takich zwierząt nie ma na świecie!”.

Jeżeli rzeczywistość staje się zbyt fantastyczna — wzbriamy się ją uznać. Człowiek akceptuje tylko tyle ile jest w stanie psychicznie strawić. Konserwatyzm wrodzony naturze ludzkiej działa jak instrument tłumiący szok.

Dramat naszego czasu polega na tym, że w gruncie rzeczy mamy przed sobą tylko dwa rozwiązania — tak jedno jak i drugie całkowicie fantastyczne. Tymi rozwiązaniami są wojna atomowa albo rząd światowy. Oba te rozwiązania odrzucamy z tych samych przyczyn. Są tak nowe i fantastyczne, że nie możemy ich zaakceptować. W konserwatywnym ogrodzie zoologicznym naszych pojęć nie ma miejsca na takie „żyrafy”.

Konserwatyści tłumaczą cierpliwie: gdy wynaleziono łuk, nasi przaszczurowie głosili, że wynalazek ten położy kres wojnom. Obawiano się bowiem, że przy pomocy tak znakomitej broni ludzie wymordują się bez reszty. Przeżyliśmy łuk, przeżyliśmy broń sieczną, przeżyliśmy broń palną — przeżyjemy i broń atomową.

Powyższy schemat jest nieco uproszczony ale tak myślą setki tysięcy ludzi. Każdy artykuł w prasie światowej, który stara się udowodnić, że wojna atomowa skończyłaby się finałem odmalowanym przez Nevil Shute'a — wywołuje zazwyczaj serie odpowiedzi podpisanych często przez wybitnych autorów, którzy twierdzą, że mówienie o atomowym końcu świata jest absurdem pozbawionym wszelkich podstaw.

Nie brak pisarzy — i to nie tylko emigracyjnych ale i amerykańskich — którzy pacyfistyczne nastroje wywodzą z kryzysu wartości. Nie chcemy wojny atomowej bo uważamy, że nic nie jest dziś warte najwyższej ofiary. Nie chcemy umierać bo nie mamy *sa co* umierać.

Pozycja konserwatystów w tym arcyproblemie jest nie do obronienia. Przyjmijmy, że rację mają ci, którzy twierdzą, że ludzkość przetrwałaby wojnę atomową. Zginęłoby 200 a może 300 milionów ludzi, ale reszta by przetrwała. Logika tej tezy — nawet jeśli by się ją poparło rzeczowymi dowodami — ma krótki i ograniczony termin ważności. Dziś mówi się, że pociski balistyczne mają głowice atomowe od 5 megatonów wzwyż. Nie trzeba być ekspertem by przyjąć za pewnik, że za lat dziesięć dzisiejsze pociski okażą się przestarzałe. Zastąpią je rakiety o głowicach atomowych o sile niszczącej 10-cio, a może i stokrotnie większej. Jeżeli Rosja posiada obecnie 300 międzykontynentalnych pocisków balistycznych to za 10 lat będzie ich miała 3.000. To samo, oczywiście, dotyczy Stanów Zjednoczonych. Innymi słowy, wojna nuklearna gdyby wybuchła w bieżącym roku — być może — nie oznaczałaby jeszcze końca świata. Ale postęp technologiczny idzie tak szybko naprzód, że za kilka lat z całą pewnością przekroczy granicę szansy przetrwania. Każdy rok, który mija w pokoju umniejsza prawdopodobieństwo przetrwania wojny atomowej. Ci, którzy z jakichkolwiek przyczyn i pobudek twierdzą, że wojna atomowa nie oznaczałaby zagłady ludzkości — z każdym upływającym tygodniem mają mniej racji i mniej argumentów.

Możliwość zagłady ludzkości jest czymś tak fantastycznym, że nawet za 20 lat nie zbraknie ludzi, którzy odrzucą opinię ekspertów i głosić będą uparcie, że nie taki straszny diabeł, jak go malują.

Konserwatyści mają rację mówiąc o kryzysie wartości, tylko ich rozpoznanie przyczyn jest całkowicie fałszywe.

Od „Przechodniu powiedz Sparcie...” aż po Powstanie Warszawskie — mniejszość poświęcała swe życie, by większość mogła żyć. Na owej gotowości najwyższej ofiary jednostki opiera się cały nasz system wartości. Chrześcijaństwo wysublimowało ów nakaz moralny domagając się od jednostki gotowości najwyższej ofiary nie tylko w imię obrony narodu, ale w imię obrony życia jednego człowieka. Ojciec Kolbe wypełnił heroicznie to przykazanie ofiarowując w Oświęcimiu swoje życie, by ocalić towarzysza niedoli obarczonego rodziną.

Fundamentem tego systemu wartości jest realność ocalaenia. Innymi słowy konkretne, pozytywne przekonanie, że naród, że rodzaj ludzki, będzie trwał. Gdyby kataklizm wojny atomowej przeżyć miało tylko 50 milionów ludzi — to jeszcze ciągle obracamy się w ramach naszego systemu i w pasmie ludzkiej historii.

Ale to wszystko się kończy z chwilą gdy wojna atomowa zaczyna grozić ogólną zagładą. Jeżeli nie ma pewności prze-

trwania — nie ma niczego. Cały nasz system wartości traci wówczas kardynalny punkt odniesienia. Udział w takiej wojnie nie byłby ani aktem poświęcenia ani wypełnieniem obowiązku najwyższej ofiary. Byłby udziałem w zbiorowym samobójstwie ludzkiej rasy i niczym więcej.

W naszym układzie samobójstwo, choć potępiane przez kościół, może być czynem heroicznym. Ci, którzy w więzieniach Gestapo połykali truciznę by na śledztwie nie wydać towarzyszy przebywających na wolności — *de facto* ofiarowywali swe życie w obronie bliźnich. Choć przekraczali literę prawa — realizowali zakon miłości bliźniego. Ale udziału w samobójstwie rasy ludzkiej nie można odnieść do żadnej z norm etycznych, religijnych czy społecznych znanych na tej planecie.

Warto umierać tylko wówczas jeżeli istnieje szansa, że nasza śmierć chroni czyjeś życie. Od najdawniejszych czasów za wzór ludzkich wartości stawiano tych, którzy narażali lub poświęcali swe życie dla dobra ogółu. We wszystkich wielkich religiach i systemach moralno-etycznych — droga ku doskonałości i odkupieniu wiedzie poprzez osobistą ofiarę i służbę dla zbiorowości. Więc dobro zbiorowości — czy nazwiemy ją społeczeństwem, narodem czy rasą ludzką — jest tym najwyższym kryterium naszego systemu wartości. Na to jednak by zniszczenia i milionowe ofiary usprawiedliwić dobrem (rzeczywistym czy wymagowanym) zbiorowości — przetrwanie i istnienie rasy ludzkiej musi być zagwarantowane. Jeżeli nie można dać realnej gwarancji przetrwania — to trzeba tę gwarancję sfalszować, by ratować nasz system. I to się właśnie dzieje.

Prasa sowiecka odmalowując kataklizm wojny atomowej zawsze podkreśla, że totalnemu zniszczeniu uległyby kraje kapitalistyczne. Rosja — choć poniosłaby poważne straty — wyszłaby z tej operacji zwycięsko. Film przedstawiający atomową zagładę według powieści Nevil Shute'a pt. „On the Beach” — w Sowietach jest zabroniony. Film ten Moskwa oceniła jako niepożądany, ponieważ obywatel sowiecki patrząc na ów obraz mógłby dojść do przekonania, że wojna atomowa przyniesie zagładę nie tylko Ameryce ale i Rosji.

W Chinach obowiązuje teza, że choćby w kataklizmie atomowym wyginęły narody i spłonęły kontynenty — to przecież 200 do 300 milionów Chińczyków przetrwa i zapewni komunistyczne millenium naszej planecie.

W polskiej prasie emigracyjnej spotkałem tylko jeden artykuł poświęcony filmowi Nevil Shute'a i zagadnieniu którego jest tematem. Artykuł był oczywiście negatywny i krytyczny, ponieważ my jesteśmy konserwatystami i ciężko nam jest pogodzić się z myślą, że wojny się skończyły. Bo jak bez wojny zmieść z powierzchni ziemi sowiecki Babilon?

Sowieccy, chińscy, polscy konserwatyści nie są bynajmniej odosobnieni. Podobnie myśli wielu konserwatystów w Anglii, w Ameryce, we Francji czy w Niemczech. Przez konserwa-

tystów w niniejszym szkicu rozumiem ludzi, którzy skonfrontowani z fantastycznymi rozwiązaniami: katastrofa atomowa lub rząd światowy — przyjmują postawę Kasi w ogrodzie zoologicznym i odmawiają uznania faktów za fakty. Jeżeli zaprzeczy się faktom, nie ma potrzeby wybierać między rozwiązaniami i można spokojnie głosić, że nasz system funkcjonuje równie sprawnie jak przed Hiroszimą. Można się zbroić, budować bazy i zapewniać zainteresowanych, że zwycięstwo przypadnie „słusznej sprawie”. Przez „słuszną sprawę” rozumie się po tej stronie demokrację, a po tamtej stronie komunizm. Oczywiście warunkiem zwycięstwa „słusznej sprawy” (w czymkolwiek wydaniu) jest przetrwanie. Dlatego konserwatyści ze względów politycznych odrzucają możliwość totalnej katastrofy. Przyjęcie bowiem założenia, że wojna nuklearna skończyć by się musiała zagładą — redukuje ad absurdum systemy hierarchii wartości po obu stronach.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Jest oczywiste, że zbrojenia atomowe są ślepą ulicą. Jeżeli będziemy szli po tej drodze to w okresie najbliższej dekady będziemy mieli amerykańskie i sowieckie „sputniki” z pociskami wodorowymi krążące wokół ziemi. Drogą sygnału radiowego będzie można przeprowadzić nuklearne bombardowanie w dowolnym punkcie globu. Technologia atomowa jest jeszcze ciągle w powijkach. Ale idąc po tej linii za kilka lat z całą pewnością wyprodukujemy narzędzia, które umiejętnie użyte zamienią ziemię w radioaktywny cmentarz. Logicznie myślący człowiek gdy zabrnę w ślepą ulicę stara się z niej wycofać. Wycofanie z wyścigu atomowego musiałoby oznaczać w praktyce zniszczenie istniejących bomb nuklearnych i rozciągnięcie kontroli nad wszystkimi zakładami produkującymi energię atomową. Kto to ma zrobić? Oczywiście tego rodzaju zadaniu mogłaby sprostać tylko instytucja, która bez względu na swą nazwę byłaby rzeczywistym rządem światowym.

Dylemat naszej epoki polega na tym, że koncepcję rządu światowego w gruncie rzeczy odrzucamy z tych samych przyczyn, dla których odrzucamy możliwość zagłady atomowej. Albowiem rząd światowy w różnym stopniu i w innym sensie niweczy również naszą tradycyjną filozofię „słusznej sprawy”.

Przez filozofie „słusznej sprawy” rozumiem tradycyjnie pojmowane interesy narodowe, które bywają wielkiego i skromnego zasięgu. Imperializm sowiecki jest zespołem interesów pojętych bardzo szeroko. Dążenie Murzynów w Kenii do niepodległości stanowi zestaw interesów narodowych pojmowanych skromnie. Bożyszczem wszystkich nacjonalizmów jest suwerenność państwowa. Oczywiście, ustanowienie rządu światowego oznaczałoby w praktyce, że suwerennym byłby w pełni tylko jeden rząd, tj. ponad-narodowy rząd światowy.

Co stanowi istotę pojęcia suwerenności-niepodległości?

Istotę pojęcia suwerenności stanowi przekonanie, że wszyscy ludzie są równi. Stąd wniosek, że i wszystkie narody są

sobie równe i w równej mierze uprawnione do samostanowienia o swym losie. To jest ów idealny porządek ku któremu należy dążyć. Doktryna prez. Wilsona stanowiła szczytową manifestację wiary w ten tradycyjny sposób pojmowanej „słusznej sprawy”. Dziś, odmawiając sojusznikom broni atomowych Ameryka popada w sprzeczność ze swoim własnym wyznaniem wiary. Koncepcja „klubu atomowego” stanowi bowiem odstępstwo od zasady, że wszystkie narody są równe i w równym stopniu uprawnione do suwerenności. Jeżeli głosimy, że wszystkie narody są równe i uprawnione do suwerenności to należałoby oświadczyć: bomby atomowe dla wszystkich albo dla nikogo.

W gruncie rzeczy Rosja, Ameryka i Anglia są przeciwne rozpowszechnianiu broni nuklearnych. Oficjalnie motywuje się ten pogląd bezpieczeństwem. Im mniej członków „klubu atomowego” — tym mniejsza szansa wybuchu konfliktu, a natomiast tym większa szansa porozumienia. Oczywiście porozumienia ponad głowami narodów drugiej klasy, spoza klubu. W ten sposób dokonano pierwszego wyłomu w zasadzie tradycyjnej równości narodów. Życie zawsze wyprzedza teorię — wskutek tego oficjalnie jeszcze ciągle deklamuje się o równości, niepodległości itp.

Tradycyjna filozofia „słusznej sprawy” średnich narodów jak Polacy, Ukraińcy czy Węgrzy — zawisa w próżni. Stojąc na tradycyjnym gruncie nie możemy przyjąć żadnego z możliwych rozwiązań. Ryzyko kataklizmu atomowego jest zbyt wielkie byśmy mogli wołać: „o wojnę ludów prosimy Cię Panie!”. Rząd światowy — jeżeli kiedykolwiek powstanie — narodzi się w ramach „klubu atomowego”. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że narody atomowe, a więc przede wszystkim Ameryka i Sowiety — zapewnią sobie decydujący wpływ w tej instytucji. Nie ulega również wątpliwości, że głos Polaków w tej ponad-narodowej organizacji będzie więcej niż nikły. Nawet gdyby z czasem doszło do zdemokratyzowania rządu światowego — przyjąć można za pewnik, że liczne i potężne narody jak Rosjanie czy Amerykanie będą miały zawsze więcej do powiedzenia niż narody mniej liczne i mniej potężne jak Polacy, Czesi czy Węgrzy.

Więc jaka jest droga przed nami?

Część z nas ratuje się konserwatyzmem. Konserwatyści okopani za szansem tradycji powiadają: „nasza sprawa jest słuszna i nikt nas nie przekona, że jest inaczej”. Do tego punktu konserwatyści mają rację. Nasza sprawa jest bezsprzecznie i obiektywnie słuszna ale, niestety, bynajmniej z tego nie wynika, że jest realna. Błąd w rozumowaniu konserwatystów polega na tym, że stawiają znak równania pomiędzy słuszością a realizmem. Na świecie są tysiące słusznych spraw, które nie mają żadnej szansy realizacji. Słuszne sprawy upadają niepowrotnie nie dlatego, że tracą na słuszości, lecz dlatego, że tracą na realizmie. A o realizmie nie decyduje słuszość, lecz

zespół warunków. Z chwilą gdy zespół warunków ulega radykalnej zmianie — sprawa nie przestaje być słuszna, ale przestaje być realna.

Zarówno wojna nuklearna jak rząd światowy reprezentują radykalną zmianę układu historycznej sytuacji. Dlatego konserwatyści, aby ratować realizm „słusznej sprawy”, odrzucają realizm sytuacji historycznej. Innymi słowy odrzucają pogląd, że wojna nuklearna byłaby końcem wszystkiego. Odrzucają ten pogląd dziś i odrzuca go za lat dziesięć — bo widmo wojny bez zwycięstwa jest nie do pogodzenia z ideologią tradycyjnego patriotyzmu, z „czynem zbrojnym”, z powstaniem, z treścią przelazu naszej całej przeszłości.

Lecz emigracja nie składa się z samych konserwatystów. Mamy i wzniosłych antykomunistycznych humanistów. To są ludzie dyskutujący o „kryzysie wartości”, o upadku „idealizmu” — biadając nad zmaterializowaną przyziemnością współczesnego człowieka co im bynajmniej nie przeszkadza wyznawać antykomunizm pojmowany tak, jak Himmler pojmował antysemityzm. Ci panowie przeprowadzają subtelne analizy *malaise* Ameryki. Ale gardzą Ameryką, bo Ameryka nie dość nienawidzi Sowietów. Amerykanie okupiliby swe małomieszkańskie przywary, gdyby spalili Sowietów w jednym gigantycznym atomowym krematoriumnym piecu. Lecz Amerykanie do tego stopnia „humanistami” nie są.

W dyskusji jaką wywołał artykuł Barbary Toporskiej pt. „Konfrontacje” („Wiadomości”, Nr 722) — p. Marian Axel na łamach „Wiadomości” (Nr 729) — zauważył co następuje:

„Kiedy stwierdza, (Toporska, przyp. mój) że nie ma istotnych różnic między Ameryką a Rosją i że obecnym sensem istnienia obu tych krajów jest ślepa siła i bezkierunkowy dynamizm, kiedy przychodzi do wniosku, że amerykańska demokracja jest takim samym fałszem i hipokryzją jak rosyjski komunizm i że obie te niedojrzałe a pyskate ćwierć-cywilizacje hodują jedynie „człowieka biologicznego” i stanowią wspólnie najgorszy przykład zaniku wartości humanistycznych — możemy jej tylko przyklasnąć”.

Ale cóż nasi subtelni humaniści przeciwstawiają tym „pyskatym ćwierć-cywilizacjom”?

Posłuchajmy końcowego wniosku p. Mariana Axela:

„Ale na dłuższą metę bardzo jest prawdopodobne że w interesie ludzkości leży, by się te dwa imperializmy wzajemnie wytlukły i zniszczyły. Im wcześniej to nastąpi i im dokładniejsze będzie wytlępienie „człowieka biologicznego”, tym prędzej nastąpi zwycięstwo *species cogitans* i jego podgatunków. Zwycięstwo drogie zarówno sercu

Barbary Toporskiej jak memu. Czy będzie ono kiedykolwiek całkowite, mam wątpliwości. Zawsze się znajdują tacy co będą woleli befsztyk od Prousta a wyborową od „Wiadomości”.

Co za delikatność uczuć — Proust na śniadanie, Eliot na obiad, a „Wiadomości” na kolację. Ale mimo tej eterycznej diety to nawet nie jest „ćwierć-cywilizacja”. To jest tylko smutna emigracyjna newroza i maniacki chaos. A z tego chaosu wynurza się jak góra lodowa z odmetu — pomniejszycielka wszystkich emigracji — jałowa nienawiść.

Czytelnik może zauważy w tym miejscu, że nie ma powodu zajmować się wystąpieniami p. Axela. Nie wiem kim jest p. Axel, ale Barbara Toporska jest pisarką, a „Wiadomości”, na których łamach toczyła się omawiana dyskusja są jednym z czołowych pism emigracji polskiej. Poza tym p. Axel bynajmniej nie jest odosobniony w swoich humanistycznych wnioskach. Mamy wśród nas wielu dystygowanych panów, którym uwielbienie dla Prousta nie mąci marzeń o wielkiej rzezi sowieckich, biologicznych podludzi. Stosunkowo niedawno pewni przedstawiciele narodu „poetów i myślicieli” w mundurach SS i nas uważali za ćwierć-cywilizowanych podludzi — ale jakoś zdolałiśmy już o tym zapomnieć.

Na łamach tychże „Wiadomości” Pandora zauważyła niedawno w jednym z swych artykułów, że w Rosji nie ma ludzi oświeconych. Oczywiście — skądże by się tam wzięli? Wielcy sowieccy matematycy i fizycy — to tylko wyspecjalizowani ćwierć-inteligenci. A Pasternak to mimo wszystko płaski kolaborant.

Gdyby barbarzyńcy wzajemnie się wyrzneli — od nas zaczęłyby się renesans. Jest rzeczą zdumiewającą, że warunkiem wstępnym każdego polskiego renesansu musi być jakaś generalna rzeźnia. W dawnych dobrych czasach wystarczała nam do szczęścia wizja rzezi rosyjsko-niemieckiej. Ale nasze wymagania w tej dziedzinie rosą niepokojąco. Obecnie do pełnego rozwinięcia skrzydeł potrzebna nam jest światowa masakra amerykańsko-sowiecka. Ludzkość winna w końcu zrozumieć, że nawet najwyższą cenę warto zapłacić, by nasi „humanisci” mogli dojść do głosu.

Przed żyrafą nie ma ucieczki. Trzeba ją uznać za fakt, jeżeli chce się być w zgodzie z logiką i zdrowym rozsądkiem. Arsenał atomowy Rosji i Ameryki rośnie z każdym miesiącem i nawet jeżeli jeszcze nie minęliśmy punktu potencjalnej całkowitej zagłady — to minimy ten punkt w najbliższym czasie. To jest ślepa ulica z której należy się wycofać. Wycofać się oznaczać musi w tym wypadku zlikwidowanie instrumentów apokalipsy. Rozbrojenie atomowe i kontrola zakładów atomo-

wych są możliwe tylko poprzez ustanowienie agencji ponadnarodowej.

Idea rządu światowego nie jest bynajmniej świeżej daty. Po pierwszej wojnie światowej ukazała się cała seria książek na ten temat. Nawet Polska nie stanowiła wyjątku od tej reguły, gdyż p. Kuncewicz obdarzył ludzką pracą pt. „Republika Globu”. Bezpośrednio po drugiej wojnie światowej, w r. 1945, ukazała się znakomita praca Emery Reves'a pt. „The Anatomy of Peace”. Studium Reves'a omówiłem w „Kulturze” w r. 1948.

Lecz do niedawna idea rządu światowego była tylko szlachetną utopią. Historia poucza nas, że ludzie nie realizują słusznych koncepcji tylko dlatego, że są słuszne i szlachetne. Realizuje się tylko to co jest konieczne. Jeżeli w bieżącym stuleciu zostanie powołana do życia ponad-narodowa agencja o atrybutach rządu światowego — będzie to wynikiem konieczności i konsekwencją naporu warunków.

W tym kontekście termin „rząd” jest mylący, gdyż instytucja o której mówimy z całą pewnością nie będzie w niczym przypominała rządowi brytyjskiego, francuskiego czy amerykańskiego. Rząd światowy będzie ponad-narodową Izbą Kontroli spraw atomowych. Czy ta Izba Kontroli przekształci się kiedyś w rząd światowy w dosłownym tych słów znaczeniu, trudno dziś przewidzieć.

Najciężej pogodzić się z nową sytuacją przychodzi małym i średnim narodom. Powołanie ponad-narodowej agencji atomowej nie zmieni zasadniczo statusu ani Ameryki ani Sowietów. Zniknie widmo wojny atomowej ale nie znikną ani Sowiety ani Stany Zjednoczone. I rząd światowy będzie w znacznie większym stopniu „ich” rządem niż naszym.

Lecz mimo to nie jest ani humanizmem, ani antypacyfizmem, ani antykomunizmem, ani patriotyzmem — twierdzić, że wojna atomowa byłaby jeszcze jedną wojną tylko trochę inną niż poprzednie. Patriotyzm, jeśli popada w sprzeczność ze zdrowym rozsądkiem, jest głupotą. Jeżeli popada w sprzeczność nie tylko ze zdrowym rozsądkiem, ale i z elementarnym poczuciem ludzkości — jest zbrodnią.

Przed wszystkim musimy przestać się okłamywać. Słuszna sprawa którą w pełni zrealizować można tylko poprzez atomowy pożar świata — nie jest słuszną sprawą. Nie jest słuszną sprawą bez względu na to czy jej na imię „polskie interesy narodowe”, „zwycięstwo nad komunizmem” czy „obrona cywilizacji zachodniej”.

Poza tym dla tych, którzy trzeźwo patrzą jest rzeczą oczywistą, że szansa przetrwania (jeżeli w danej sytuacji wchodziłaby jeszcze w rachubę) — byłaby proporcjonalna do liczebności narodu. Najmniejszą szansę przetrwania miałyby narody średnie i małe, zamieszkujące centrum Europy. W razie wojny atomowej Polska znalazłaby się w najgorszej sytuacji jaką sobie można wyobrazić. Rosja byłaby bombardowana przez Amerykę a Niemcy byłyby bombardowane przez Rosję. Bylibyśmy w sa-

mym centrum najintensywniejszego opadu radioaktywnego skażeni na wymieranie i degenerację.

Wojna atomowa nie leży w naszym interesie. O ile jednak Chińczycy mogą jeszcze dziś podtrzymywać tezę, że z ich olbrzymiego kontynentu zamieszkałego przez 600 milionów ludzi — jakaś enklawa ostałaby się przy życiu — o tyle my, czy Czesi, nie mamy żadnych podstaw do optymizmu czy nadziei.

Z Hiroszimą zamknął się pewien rozdział Historii i byłoby głupotą okłamywać siebie i innych, że nic się nie zmieniło. Wszystko się zmieniło z wyjątkiem nas i naszej narodowej filozofii. Jesteśmy emigrantami nie tylko z Polski, ale i z epoki, która skończyła przed nami.

Polacy, Czesi, Węgrzy — wszyscy mówimy o niepodległości i suwerenności w świecie rządzonym przez coraz mniej liczny, a coraz potężniejszy koncert super-mocarstw. Indywidualna suwerenność państw tych wymiarów co Polska czy Czechosłowacja jest mrzonką. Pewien stopień niepodległości możemy osiągnąć tylko zbiorowo dla scalonego, sfederalizowanego obszaru. Jeżeli się nie połączymy to z satelictwa nie wydobyjemy się nigdy — bez względu na to czy komunizm w Rosji upadnie czy nie upadnie. Bo między potęgami przemysłowymi Rosji i Niemiec nie ma i nie będzie miejsca na niepodległe państwa kalibru Czechosłowacji, Węgier, Polski czy Ukrainy. Jeżeli słowo niepodległość, które nam z warg nie schodzi, ma zawierać w sobie cień realizmu musi oznaczać niepodległość zrzeszoną. Ale my nie możemy się połączyć, bo dzieli nas trup wczorajszego dnia balsamowany pieczołowicie przez wodzów naszych emigracji.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

TYGRYS

Ostatnia książka Orwella była jego książką najlepszą. „Rok 1984” przydał blasku wszystkim poprzednim jego dziełom. W londyńskich bibliotekach publicznych półka Orwella świeci pustkami. Ludzie chcą czytać autoa „R. 1984”. Na każdą jego książkę trzeba czekać w kolejce tygodniami.

Sytuacja Koestlera jest zupełnie inna. „Darkness at Noon” była jego pierwszą książką, którą napisał po angielsku. Pierwszą i najlepszą. W porównaniu z „Darkness at Noon” jego następne książki są blade. Koestler

nie ruszył się z miejsca — jest ciągle autorem „Darkness at Noon” ale i niczym więcej.

Każdą nową książkę Miłosza biorę do ręki z pośpiechem. Tak jakbym na coś czekał.

Miłoszów jest kilku. Jest Miłosz poeta — Miłosz tłumacz — Miłosz powieściopisarz — Miłosz esseista. Jego warsztat literacki jest bardzo różnorodny. W moim przekonaniu Miłosz jest z urodzenia i z budowy prozaikiem. W „Dolinie Issy” zawarł więcej poezji niż we wszystkich swoich wierszach. Nie znaczy to bym wierszy Miłosza nie cenil czy nie lubil. Cenię je wysoko a niektóre z nich bardzo lubię. Ale nazwisko: Miłosz kojarzy mi się z prozą.

Miłosz z całą pewnością uważa się przede wszystkim za poetę — tak jak Gombrowicz uważa się za prozaika. A w gruncie rzeczy Gombrowicz jest typową organizacją poetycką. „Transatlantyk” czy „Ślub” to nie są ani dramaty ani powieści tylko poematy i tylko w tej gamie odbioru utwory te są do odcyfrowania.

Ale to są wszystko uwagi nieistotne i na marginesie. Problem Miłosza — a w każdym razie mój problem Miłosza — sprowadza się do pytania: czy „Zniewolony Umysł” pozostanie jego najlepszą książką. Innymi słowy, czy napisze jeszcze kiedyś książkę od „Zniewolonego Umysłu”.

„Rodzinna Europa” jest doskonałą książką. Pewne jej rozdziały, a zwłaszcza rozdział końcowy pt. „Tygrys” stanowią jakby dopełnienie „Zniewolonego Umysłu”. Poglębiają naszą znajomość dżungli. Ale niemiłoby to jest ciągle podróż przez dżunglę. I w tym sensie „Rodzinna Europa” nie stanowi kroku naprzód.

Niezłomni po obu stronach płotu nie mają ani wątpliwości ani zmarwień. System „biało-czarny” uwalnia od komplikacji. Z drugiej jednak strony należy stwierdzić, że intelektualiści, którzy maczali palce w tyglu — mają skłonność do komplikowania sytuacji.

Pozycja Koestlera czy Orwella była zupełnie inna. Maczali palce w tyglu ale obcy, nie swoim własnym. Koestler występując z niemieckiej partii komunistycznej mógł sobie powiedzieć: „nie jestem Niemcem i ani Niemcy ani ich partia komunistyczna nic mnie nie obchodzą. Anglik występujący z brytyjskiej partii komunistycznej może również swój dramat rozegrać na płaszczyźnie czysto ideologicznej. Ani los jego kraju, ani jego los osobisty nie wchodzi w grę. Dlatego w Anglii możliwe są „clear cut” rozwiązania. Można po prostu trzasnąć drzwiami i wyjść.

Intelektualista polski, który maczał palce w tyglu — nie ma przed sobą prostych rozwiązań. Komunizm dla niego to nie tylko ideologia. To polityczno-społeczna rzeczywistość jego kraju — los osobisty — praca — kariera i jeszcze coś więcej. Klimat przemian do którego trzeba się w pewnej mierze przystosować. A to wymaga — przynajmniej na pewnych odcinkach — akceptacji. Wieloletni pobyt w Afryce przekonał mnie, że aklimatyzują się tylko ci, którzy tolerują tropiki, którzy je w pewnej mierze „akceptują”. Intelektualiści, którzy w kraju żyją i pracują — w różnym stopniu akceptują pewne fragmenty nowej rzeczywistości. Zaakceptowany fragment stanowi bazę osobistego stosunku i osobistego zaangażowania. Inaczej życie byłoby absurdem nie do zniesienia.

Emigranci na ogół tego nie rozumieją, bo dla nich komunizm jest sprawą teorii, którą — mieszkając w Londynie czy w Paryżu, można

albo przyjąć albo odrzucić i żyć spokojnie dalej. Ale w Warszawie czy w Krakowie nie można odrzucić w całości klimatu Polski Ludowej jeżeli się chce organizować własne życie.

Nie należy przeceniać nośności ludzkiego oportunizmu i cynizmu. Samą negacją nie można żyć. Strzęp słuszności, kawałek twardego gruntu wiary są równie absolutnie niezbędne jak pokarm i powietrze.

Pamiętam przed kilku laty wieczór autorski Stefana Kisielewskiego w Londynie. Wszyscy zebrani wiedzieli, że Kisiel nie jest ani komunistą ani nawet socjalistą i pisuje w prasie katolickiej — tej prawdziwej, nie paxowskiej. Kisielewski swój wieczór zaczął od oświadczenia, że jest przekonany zwolennikiem sojuszu polsko-sowieckiego. Po wieczorze — skąd inąd inteligentni ludzie zapytywali po co to Kisiel powiedział skoro tu, w Londynie, nie musiał tego mówić. Nikomu nie przyszło do głowy, że Kisiel to powiedział w zgodzie ze swoim szczerym przekonaniem. To jest ów kawałek twardego gruntu na którym stoi. Akceptując jedno z istotnych założeń rzeczywistości krajowej — może być tym kim jest — zaangażowanym pisarzem — opozycyjnym felietonistą — aktywnym posłem na Sejm.

Choć nie zawsze i nie we wszystkim z nim się zgadzam szanuję Kisielewskiego. Błaznując wśród swoich „gwoździ w mózgu” — ma w sobie coś z mędrca pielgrzymującego niefrasobliwie przez polską dżunglę. Kisiel nie robił żadnych cudowności i łamańców. Nie brał legitymacji — nie odsyłał legitymacji. Po Październiku nie zdejmował maski — nie uprawiał kermanu i zachował swą „integritę” z uśmiechem i pozornie bez żadnego wysiłku. Nie usiłował przechytrzyć swego czasu i pozostał nienaruszenie sobą. Kisiel jest mądry.

Na przeciwnym biegunie umieściłbym panów, którzy uprawiają ketman à rebours. Pisarze ci kiedyś wychwalali to, w co sami nie wierzyli. Dziś, by zachować legitymizm swoich dzieł, nie mają innej drogi tylko zdezawuować własny ketman. Upadająca operacja. Czy warto bronić Stalina i porównywać go do Napoleona by obronić kilka swoich wierszy? Co się dzieje w mózgowicy takiego pana.

Ale to wszystko nie wyczerpuje tematu. Mógłbym ułożyć spis nazwisk polskich intelektualistów i wykaz wydarzeń całkowicie dla mnie niezrozumiałych. Czym — powiedzmy dla przykładu — kierował się wybitny uczony, który potępił swoją najlepszą książkę napisaną przed wojną tylko po to — by w kilka lat później otwarcie potępić tych, dla których zaparł się własnej książki. Inni znowu w jednym wcieleniu zdumiewają oportunizmem a w drugim wcieleniu zaskakują odwagą. Ten sam autor w jednym roku ogłasza „wzorową pracę marksistowską” a w kilkanaście miesięcy później drukuje fascynujący esej, który jest zakwalifikowany jako „całkowicie odstępstwo od marksizmu”.

Ani oportunizm, ani teoria ketmanu, ani cynizm ani poczucie humoru historycznego tego wszystkiego nie wyjaśniają. Intelektualiści w Polsce Ludowej żyją w innym wymiarze historycznym niż my i dlatego mechanika ich reakcji rządzi się innymi prawami.

Gdy się czyta Terca można sobie powiedzieć: „Ach — jakie to rosyjskie!”. Niczego to wprawdzie nie wyjaśnia ale usprawiedliwia naszą ignorancję. Oryginalność Rosjan polega na tym, że są bardzo rosyjscy a obco-krajowiec pod „rosyjskość” podkłada to co w danym momencie wydaje

mu się najtrafniejsze. Nigdy nie byłem w Rosji — literaturę rosyjską znam wyłącznie z przekładów (przeważnie angielskich) i byłoby śmieszne gdybym zgłaszał pretensje do znawstwa „duszy rosyjskiej”. Nic o niej nie wiem i bynajmniej mnie to nie martwi.

Ale trudno tę samą metodę stosować do przejawów „duszy polskiej”. W jakiejś „duszy” trzeba się czuć u siebie w domu. Emigrantom „dusza rosyjska” i w tej sprawie oddaje pewne usługi. Wszystko to wydaje się nam egzotyczne w świadomości krajowej skłonni jesteśmy tłumaczyć wpływami komunistycznymi i wschodnimi. Kryterium to stosujemy również w ocenie postępowania ilekroć scenariusz akcji nie wydaje się nam całkowicie jasny.

Czytając literacki portret Tygrysa w „Rodzinnej Europie” nie mogłem również uwolnić się od tego szablonu. Tygrys wydał mi się przeraźliwie wschodni. Wykluczam niemal by mógł znaleźć wspólny język z wybitnym zachodnim marksistą — powiedzmy — z Izaakiem Deutscherem.

Ponieważ praktycznie biorąc nic nie wiem ani o psychice rosyjskiej ani o psychice wschodniej — przez „wschodniość” rozumiem sumę różnic oddziałających „Tygrysa” od przeciętnego człowieka Zachodu. Owa suma różnic jest tak wielka, że buduje taflę obcości trudną do przełamania. Myślę, że z Chińczykiem wychowanym i wykształconym w Anglii łatwiej bym się porozumiał niż z Tygrysem, rdzennym Polakiem. Życie, które polega na tym, że się jest i nie jest — jest nużąco nieuchwytnie. Tygrys jest marksistą i nie jest marksistą — jest materialistą i równocześnie uważa za idiotów tych, którzy nie wierzą w życie pozagrobowe. Jest w gruncie rzeczy poza językiem i poza jakimkolwiek systemem, gdyż jego droga biegnie wąwozem między ścianami przeciwstawnych pojęć. Dlatego każde jego określenie może być fizyką i metafizyką równocześnie, ale w sumie nie jest ani jednym ani drugim.

Prof. Erich Heller w jednym ze swych artykułów poświęconym Wittgensteinowi cytuje następującą wypowiedź pewnego starożytnego chińskiego mędrca, która — jego zdaniem — mogłaby służyć za motto do „Tractatus Logico-Philosophicus”:

„Jeżeli język nie jest użyty właściwie — wówczas mówimy nie to co powinno być powiedziane. Jeżeli powiedziane jest nie to co powinno być powiedziane — to co powinno być dokonane pozostanie niedokonane. Jeżeli to co powinno być dokonane nie jest dokonane — upada sztuka i moralność. Jeżeli upada sztuka i moralność — upaść musi i sprawiedliwość a wówczas ludzkość pogrąży się w chaosie”.

Wydaje się, że to właśnie już się stało. Ale w tej całej sprawie chodzi mi o metodę. W okresach kryzysu potrzebna jest przede wszystkim logika i precyzyjna, jasna analiza. Jest różnica pomiędzy prostackim redukowaniem wszystkiego do schematu biało-czarne, a wiernością logicznej zasadzie, że dwa plus dwa jest cztery. Orwellowski Winston Smith odplynął od nas dopiero w chwili gdy zaakceptował tezę O'Briana, że dwa plus dwa nie zawsze równa się cztery.

Chciałbym jeden punkt podkreślić wyraźnie. Nie kwestionuję autentyczności postaci Tygrysa. Na przestrzeni ostatnich czterech lat rozmawiałem z wielu intelektualistami krajowymi i niejednokrotnie zaobserwowałem formacje psychiczne znacznie bliższe Tygrysovi niż Londyńczykowi. Ale nielogiczności wyjaśnić można tylko logiką. Nie ma innej drogi. Ostatecznie

cała psychologia nie jest niczym innym jak próbą logicznego wyjaśnienia oceanu nielogiczności jakemu na imię jest człowiek. Zrozumieć neurozę można tylko poprzez odkrycie jej ukrytego sensu tj. jej własnego logicznego systemu. Cały Freud sprowadza się do tego punktu.

Jeżeli przeczytamy świetny literacko opis przebiegu szkarlatyny będziemy wiedzieli dokładnie jak szkarlatyna wygląda, jakie powoduje zmiany i jak wpływa na psychikę pacjenta, jakie wywołuje reakcje i jakie pozostawia ślady. Ale przeczytawszy to wszystko o istocie choroby nie będziemy wiedzieli nic. Bo podstawą każdej analizy jest pytanie: dlaczego? Choroba nie jest rozpoznana jeżeli nie można odpowiedzieć dlaczego pacjent zachowuje się tak a nie inaczej. „Historyczna szkarlatyna”, której opisowi w Polsce poświęcony jest „Zniewolony Umysł” i partie „Rodzinnej Europy” nie jest dostatecznie zbadana i przeanalizowana i dlatego czytelnik nie umie sobie odpowiedzieć na pytanie dlaczego Tygrys zachowywał się tak jak się zachowywał.

Ludzie, którzy przeszli przez ową „szkarlatynę” lub patrzyli na nią z bliska — niecierpliwą się kiedy im zadawać tego rodzaju pytanie. Ale choć pytanie: dlaczego? — wtajemniczonym wydawać się może bezbrzeżnie naiwne jest barierą dzielącą Wschód od Zachodu i przeskoczyć się nie da. Wierzę, że kiedyś z pogłębionej perspektywy lat Miłosz na to pytanie odpowie. I to będzie owa książka na którą niecierpliwie czekamy.

KARIERY MOICH BLIŹNICH

Wertuję „Rocznik Polityczny i Gospodarczy 1959”. Niemal 1300 stron drobnego druku.

Z moich przedwojennych kolegów czy znajomych dziennikarzy najwyższy wyskoczył Józef Winiewicz — „Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych”.

W sierpniu 1939 na kilka tygodni przed wybuchem wojny — poświęciłem w IKC całą stronę omówieniu doskonałej książki Winiewicza pt. „Mobilizacja Sił Niemieckich w Polsce”, która ukazała się nakładem „Polityki” redagowanej przez J. Giedroycia. Książka ta, która pod wieloma względami była rewelacyjna — ukazała się za późno. Winiewicz wykazał między innymi, że ruchy przesiedleniowe mniejszości niemieckiej w Polsce w ostatnich trzech latach poprzedzających wojnę dyktowane były względami strategicznymi.

Po raz ostatni zetknąłem się z Winiewiczem w Stambule w roku 1940. Nasze miejsca przeznaczenia były różne. On wyładował w Londynie a ja w Latrun — gdzie rozbił swe namioty Ośrodek Zapasowy SBSK.

Kiedyś — czasu wojny — jechałem z śp. Dr. Rublem z Bagdadu do Jerozolimy. Podróżowaliśmy zmotoryzowaną karawaną. W prostej linii opętanych 530 mil. Pustynia, że oko wykol. Oczywiście godzinami mówiliśmy o IKC'u. O czym mieliśmy mówić — o Klimkowskim? W pewnym momencie zapytałem Rubla kto jego zdaniem był w IKC na żołdzie niemieckim? Uważaliśmy bowiem obaj za wysoce prawdopodobne, że Niemcy jakiegoś obserwatora w IKC mieli. Rubel wymienił nazwisko pana N. jako

najprawdopodobniejszego kandydata. N. był istotnie nieciekawą figurą. W „Tempie Dnia” popularnej popołudniowej szmatce wydawanej przez IKC — N. drukował niesamowitego tasiemca pt. „Czerwony Szatan nad Europą”. Ilustrował to arcydzieło w każdym numerze młody malarz, który dziś jest członkiem zespołu redakcyjnego jednego z poważnych pism krajowych. „Szatan” był w całości oparty na niemieckich materiałach antybolszewickich. IKC był nieubłagane antyhitlerowski i równie nieubłagane antybolszewicki. Wówczas — między Bagdadem a Jerozolimą przypominałem Rublowi — że byłem przeciwnikiem „Czerwonego Szatana”. Uważałem bowiem, że drukowanie niemieckiej „Greuelpropagandy” było w gruncie rzeczy wodą na młyn komunistów. Zdobywali oni w ten sposób argument dla swej tezy, że IKC jest faszystowski a antykomunizm jest wymysłem hitlerowców. Ale wówczas nikt się nie przejmował ani „Czerwonym Szatanem” ani kolegą N. No, a dziś kolega N. jest dość znaczną figurą w aparacie partyjnym. Widziałem jego fotografię w prasie krajowej w okresie III Zjazdu PZPR w marcu ubiegłego roku.

Jest dla mnie oczywiste, że N. nigdy nie był żadną niemiecką wtyczką. Natomiast skłonny jestem przypuszczać, że już przed wojną musiał być związany z partią komunistyczną.

W jednym z licznych tygodników IKC — pracował bardzo kulturalny młody człowiek z solidnej ziemiańskiej rodziny. Z polityką nie miał absolutnie nic wspólnego. Późną jesienią 1939 roku w Bukareszcie otrzymałem od niego kartkę. Pisał mi, że bardzo żałuje, że ze mną nie wyjechał — co mu proponowałem bo miałem wolne miejsce w samochodzie. Po latach ów pan przemawiał do nas, żołnierzy 2 Korpusu we Włoszech, przez mikrofony niemieckiej stacji propagandowej „Wanda”. Wiadomo, że Wanda nie chciała Niemca. Dlaczego hitlerowcy nazwali swoją radiową gadzinówkę „Wandą” nigdy nie mogłem pojąć.

W Chyrowie u O.O. Jezuitów uczeń wzorowy i celujący mógł się ubiegać o złoty medal. Można było być wzorowym nie będąc celującym i odwrotnie. Wzorowy musiał mieć „bardzo dobrze” z obyczajów, z pilności, z uwagi i z porządku. Tylko jeden uczeń w klasie mógł otrzymać medal. Gdy było dwóch kandydatów o przyznaniu medalu decydowało tajne głosowanie kolegów.

W czwartej klasie mieliśmy dwóch kandydatów na medal: Kowarzyka i Radziszowskiego. Radziszowski był grubokościstym kanciastym kujonem — Hugon Kowarzyk natomiast przypominał przeraźliwie chudego kogutka. Szanse kandydatów były bardzo wyrównane i szale przeważać mógł jeden głos. Drobnym czupurny Kowarzyk lepiej mi się podobał i na niego oddałem kreskę. Postawiłem dobrze bo nie tylko dostał medal ale wyrósł na człowieka. Odnalazłem jego nazwisko w spisie profesorów wydziału medycyny Uniwersytetu Wrocławskiego. Pozdrawiam go serdecznie z łamów „Kultury”.

LONDYŃCZYK

Sąsiedzi

Walka o „trzecie rozwiązanie”

Było to latem 1956 roku krótko po powstaniu poznańskim, na kilka miesięcy przed śmiercią Bertolda Brechta. W niewielkim gronie przyjaciół Brecht dyskutował o prądach politycznych i ideologicznych w krajach Europy wschodniej. Narastał tam ogólny niepokój, ale Brecht nie upatrywał w tym żadnego niebezpieczeństwa dla socjalizmu. Uważał, że następuje pożądane i od dawna już konieczne wyzwolenie z dogmatycznego skostnienia, które w krajach tych od lat deformowało i wynaturzało życie polityczne, umysłowe i artystyczne. Brecht twierdził, że należy bardzo dokładnie śledzić i jak najszerszej kolportować wszystko, co się mówi i czyni w krajach socjalistycznych. Jego zdaniem ma się do czynienia z procesem samooczyszczania się marksizmu.

Brecht interesował się bardzo ostatnimi pracami pisarzy polskich i węgierskich. Był pod wielkim wrażeniem poezji Adama Ważyka i pracował właśnie nad tłumaczeniem jego „Poematu dla dorosłych”. Twierdził, że mocna i porywająca wymowa tego poematu ma w sobie coś z ducha rewolucji październikowej. Wiązał wielkie nadzieje z dalszym rozwojem wypadków. Z lekką ironią mówił, że może nadejście wreszcie czas, kiedy będzie mógł opublikować wiersze napisane po rewolucji 17 czerwca. Uważał za rzecz oczywistą, że również w NRD nadchodzi koniec rządów stalinisty Ulbrichta.

Taka była atmosfera letnich miesięcy roku 1956 nie tylko wśród intelektualistów, ale i w szerokich kołach ludności NRD. Uważnie śledzono wszystkie wydarzenia w demokracjach ludowych. Stosując utarte metody, reżym Ulbrichta próbował przeciąć wszelkie źródła informacji. Z rąk do rąk krążyły jednak potajemnie tłumaczone artykuły z prasy węgierskiej i polskiej i przyczyniały się do popularności takich pism, jak „Nowa Kultura” czy „Po Prostu”. Opublikowane w tygodniku „Sonntag” opowiadanie Kazimierza Brandysa „Obrona Granady” wywołało wielkie wrażenie wśród intelektualistów. Jeszcze

większe wrażenie, tym razem już w szerokich kołach ludności spowodował artykuł Eddy Werfel, zaczynający się od słów: „Widmo krąży po Europie wschodniej — widmo socjalizmu humanistycznego” i straszy nie tylko kapitalistów, lecz również stalinistów. Określenie: „humanistyczny socjalizm” stało się później, i pozostało do dziś, sloganem opozycji w NRD.

Całe to poruszenie staje się zrozumiałe jeśli się zna sytuację w jakiej znalazło się wielu intelektualistów i członków partii komunistycznej (SED) po 17 czerwca 1953. Większość z nich odniosła się z sympatią do powstania robotników. Pod wpływem oficjalnej wersji, jakoby sprawcami powstania byli agenci wroga, w większym jeszcze stopniu pod wpływem wpojonego aksjomatu że strajki i powstania, wymierzone przeciw rządowi „socjalistycznemu”, sprzeczne są z zasadami marksizmu — niektórzy wątpili czy ich uczucia i przekonania są słuszne. Powstanie robotników poznańskich oraz zdecydowany ton prasy polskiej w okresie rozrachunku ze stalinizmem przydały im nowych argumentów wobec zajmowanego stanowiska.

Opozycja w NRD i XX zjazd KPZS

17 czerwca 1953 ujawnił wyraźnie wielu członkom i funkcjonariuszom SED niepopularność reżymu. Żywione po powstaniu nadzieje, że kierownictwo partii zmieni swą politykę i przystosuje ją do sytuacji w NRD szybko się rozwiały. W tej atmosferze rozczarowania zaczęły tworzyć się koła i grupy opozycyjne. Kierownictwo partii nie potrafiło w następnych latach opanować rozpowszechnionego niezadowolonia, przeciwnie, po wydarzeniach roku 1956 wzrosło ono gwałtownie.

Po XX zjeździe KPZS i rewelacjach Chruszczowa na temat zbrodni popełnionych w okresie stalinizmu panowało powszechne przekonanie że dymisja Ulbrichta i innych stalinistów jest nieunikniona. Przeważało zdanie, że powinien nastąpić zasadniczy zwrot w polityce SED, w sensie prowadzenia polityki odpowiadającej potrzebom narodowym, znoszącej poniżającą zależność SED od KPZS i ustalającej ich przyszłe stosunki na zasadzie niezależności narodowej i wzajemnym poszanowaniu. Prowadnią myślą opozycjonistów było wprowadzenie w NRD stosunków, umożliwiających w pierwszym etapie związek konfederacyjny między obu częściami Niemiec, później zaś ich zjednoczenie.

Krytyka polityki gospodarczej Ulbrichta

Ze wszystkich stron poddawano krytykę politykę kierownictwa partii. Autorytety naukowe w sprawach gospodarczych, jak prof. dr Behrens i dr Arne Benary, wypowiadały się za twórczym zastosowaniem marksizmu w gospodarce okresu prze-

chodzenia od kapitalizmu do socjalizmu. Wysuwali oni w swych publicystycznych opracowaniach tezę, że panujący w gospodarce NRD system rygorystycznego centralnego planowania i kierownictwa uniemożliwia twórczą aktywność i inicjatywę mas, stanowiące niezbędny warunek budowy socjalizmu. Profesor Behrens stwierdził w artykule „O problemie zastosowania praw ekonomicznych w okresie przejściowym” sprzeczność między istotą demokracji proletariackiej a polityką gospodarczą aparatu państwowego w systemie dyktatury proletariatu, między objęciem kierownictwa gospodarczego przez państwo a umacnianiem się systemem gospodarki socjalistycznej. Wysunął on żądanie decentralizacji gospodarczej i gospodarczej samodzielności poszczególnych przedsiębiorstw. Socjalizm oznacza konieczność wprowadzenia samorządu robotniczego w gospodarce, ponieważ — jak pisał on dosłownie — „uspołecznienie środków produkcji wymaga uzupełnienia w formie uspołecznienia administracji”.

Mimo, albo raczej właśnie na skutek gwałtownej polemiki kierownictwa partii z tego rodzaju poglądami, żądania te rozpowszechniały się szybko i są jeszcze do dziś popularne. Podczas gdy opozycja inteligencji, wolnej na ogół od trosk materialnych, zajmuje się głównie sprawą teoretycznych sprzeczności systemu — nastawienie opozycyjne klasy robotniczej wynika w pierwszym rzędzie z przesłanek gospodarczych. Większość robotników wysuwa żądanie prawa do współdecydowania o przedsiębiorstwie poprzez rady robotnicze, udziału w zyskach i decentralizacji aparatu gospodarczego.

Nieustający kryzys rolnictwa wschodnio-niemieckiego uwiadacza się w trwających od lat trudnościach na odcinku zaopatrzenia w żywność. Premier Grotewohl oświadczył przed kilku miesiącami, po raz któryś tam z rzędu, że produkcja rolnictwa musi rosnać szybciej niż przewidziano w planie. Główną przyczyną kryzysu jest zmuszanie chłopów do kolektywizacji. Rolnicze spółdzielnie produkcyjne pracują nierentownie, a na półtora miliona osób zatrudnionych w rolnictwie uciekło w ostatnich dziesięciu latach ponad 140 tysięcy do Niemiec zachodnich.

Pośród specjalistów od spraw agrarnych istnieje — podobnie jak to ma miejsce na odcinku polityki przemysłowej — opozycja ideologiczna wyrażająca postulaty mas. Jej przedstawiciele wypowiadają się przeciw przymusowej kolektywizacji i za zdrową konkurencją gospodarstw spółdzielczych z prywatnymi, w której upatrują zasadniczy warunek zwiększenia produkcji rolnictwa.

Żądania intelektualistów

W kołach inteligencji partyjnej i absolwentów szkół wyższych żąda się oczyszczenia marksizmu-leninizmu od wszelkich

zafalszowań stalinowskich oraz wszechstronnej konkretyzacji światopoglądu marksistowskiego w różnych dyscyplinach naukowych, likwidacji dominującej roli dialektycznego materializmu w dziedzinie nauk ścisłych i przywrócenia zasad obiektywizmu w nauce, prawa do swobodnej i twórczej dyskusji nie pociągającej za sobą represji. I wreszcie: przywrócenia roli prawdy w badaniach naukowych, których rezultaty nie mogą być ustalane z góry przez aparat partyjny.

Ludzie tworzący wartości kulturalne tęsknią za wyzwoleniem z gorsetu doktryn ideologicznych. Postulowany przez SED schemat „realizmu socjalistycznego” doprowadził do zupełnego wyjałowienia twórczości artystycznej. Artyści przyznają, że wolność twórcza w reżymie ulbrichtowskim musi posiadać swoje nieprzekraczalne granice i gotowi są wobec tego zadowolić się jedynie prawem swobodnego wyboru formy artystycznej zachowując lojalność w treści. Do ożywienia dyskusji na te tematy w kołach artystów wschodnio-niemieckich, przyczyniła się w dużym stopniu zorganizowana w roku 1956 w Berlinie wystawa młodego malarstwa polskiego. Obserwowano tam całą szeroką skalę form twórczych — od realistycznie figuratywnych do malarstwa abstrakcyjnego. W pracach młodych pisarzy uwidocznił się wyraźnie wpływ autorów polskich. W niektórych utworach poetyckich dawano wyraz nędzy życia powszedniego i tragedii sztuki w reżymie ulbrichtowskim. Poeta Gerhard Zwerenz, który w międzyczasie opuścił NRD, pisał wówczas:

*Pada deszcz,
ale nie wolno o tym mówić.
Ktoś czyni to jednak
i zostaje zesłany.
Przelatuje błyskawica,
ale nie wolno tego zauważyć.
Ktoś wdrygnął się
i zostaje zesłany.*

*Płacze ziemia,
ale wspomnieć o tym nie wolno.
Ktoś pragnie ją pocieszyć
i zostaje zesłany.
Gdy już nikogo nie będzie można zesłać,
bo już w ogóle nikogo nie będzie —
nastąpi zwycięstwo Idei.*

Opozycja partyjna i „grupa Haricha”

Krytyka wielu opozycyjnie nastawionych funkcjonariuszy partyjnych oraz zbliżonych do partii intelektualistów zwracała się do roku 1956 przeciw poszczególnym posunięciom lub instytucjom, które traktowano jako wyraz fałszywej taktyki politycz-

nej oraz przejściowych błędów. Rewelacje na temat zbrodni Stalina spowodowały znaczne rozszerzenie krytyki, która zaczęła już kwestionować podstawy marksizmu-leninizmu i całego systemu. Coraz częściej słyszało się zdanie, że wypaczenia, traktowane dotychczas jako zjawiska przejściowe i możliwe do naprawienia błędy, są z reżymem nierozłącznie związane i że trzeba szukać socjalistycznej alternatywy do stalinizmu.

Wydarzenia w Polsce i na Węgrzech sprawiły wreszcie, że rozpoczęto rozważać sprawę, będącą dotychczas dla przeskolonych w duchu marksistowskim opozycjonistów zupełnym tabu: czy w pewnych okolicznościach powstanie przeciw „socjalistycznemu rządowi” może być dopuszczalne i konieczne.

Szczególną aktywność rozwinął docent uniwersytetu im. Humbolta w Berlinie wschodnim — dr Wolfgang Harich. Jako uczestnik jakiejś delegacji spędził on w maju 1956 dziesięć dni w Polsce i zetknął się tam z rewizjonistami. Harich powrócił z Polski pełen nowych idei i entuzjazmu. W kole przyjaciół, którzy bez wyjątku, jak on sam, należeli do SED, opracował program, który zamykał w sobie żądania opozycji w NRD. Najważniejszymi żądaniami były: przekształcenie *Volksammer* (Izba Ludowa) w suwerenny i demokratyczny parlament, przywrócenie praworządności i likwidacja policji bezpieczeństwa, decentralizacja gospodarki i samorząd rad robotniczych w przedsiębiorstwach, rozwiązanie wszystkich nierentownych rolniczych spółdzielni produkcyjnych i spółdzielni rzemieślniczych, oraz przyjęcie zasady, że przy tworzeniu nowych spółdzielni przestrzegana będzie ściśle zasada dobrowolności. Na odcinku kulturalnym program ten zawierał żądanie wolności prasy, wolności twórczej dla artystów i wolności badań naukowych. Likwidacji ulec miała także zależność tak zwanych organizacji społecznych, jak związki zawodowe czy organizacje młodzieży, od partii.

Program ten miał być poddany publicznym dyskusjom. Gdy pośród ludności dojrzywały nastroje sprzyjające otwartym wystąpieniom opozycji, nastąpiło nagłe zahamowanie tego rozwoju ostrymi zarządzeniami reżymu Ulbrichta wywołane wydarzeniami węgierskimi. Kierownictwo partii użyło straszaka „grożącej krwawej kontrrewolucji”, zaostrzono zarządzenia bezpieczeństwa, zaś bojówki policyjne w przebraniu robotniczym napadały i biły studentów i artystów, którzy w czymkolwiek narazili się w owym czasie reżymowi. W kilka tygodni po stłumieniu przez wojska sowieckie powstania na Węgrzech Ulbricht uderzył w opozycję i nakazał aresztowanie funkcjonariuszy SED skupionych wokół osoby dr. Haricha.

Przeciwnicy Ulbrichta w Komitecie Centralnym

Pokazowy proces grupy Haricha stanowił przykład odstraszający dla opozycyjnych intelektualistów i członków

SED. Dla samych oskarżonych stało się jasne, że Ulbricht wiązał z procesem tym jeszcze inne, dalej idące zamiary. W obliczu ujawniających się, szczególnie na Węgrzech i w Polsce, tendencji odśrodkowych Ulbricht chciał zamaniestrować wobec Kremła swą nieugiętą wierność. Już w pierwszej fazie śledztwa organy bezpieczeństwa starały się o wykazanie powiązań grupy Haricha z Polską i Węgrami. W październiku 1956 Harich i kilku jego przyjaciół odwiedzili ambasadę polską w Berlinie. W protokołach śledztwa fakt ten określony został jako nawiązanie zdradzieckich i antysowieckich stosunków. Wszelkie inne sformułowania protokołu związane z tą kwestią były w ten sposób ujęte, że można było je uznać za próbę wrogiej ingerencji Polski i Węgier w sprawy NRD. Materiał ten skonstruowany w pierwszej fazie śledztwa nie został ani razu wzmiankowany w procesie. Nie może jednak ulegać najmniejszej wątpliwości, że przy innym rozwoju wypadków w Polsce i na Węgrzech zamierzano w ten sposób wykazać wrogą działalność rządów obu krajów, wymierzoną przeciwko Sowietom i demokracjom ludowym.

Głównym celem procesu grupy Haricha było przygotowanie do rozgrywki z przeciwnikami Ulbrichta w Komitecie Centralnym. Odnosiło się to przede wszystkim do frakcji Schirdewana. Zasadnicze orzeczenie Sądu Najwyższego w NRD, że wszelka działalność frakcyjna w SED zagraża podstawom państwa, z góry stawiała wszystkich przeciwników Ulbrichta w pozycji przegranej. Było ono ostrzeżeniem dla frakcji Schirdewana, przeciw któremu Ulbricht nie śmiał jeszcze wystąpić otwarcie. Dopiero po 35 plenum KC, wiosną roku 1958, wykluczono przynależnych do tej frakcji z kierownictwa partii. Były szef kadr i sekretarz KC, Karl Schirdewan, stanął pod zarzutem tworzenia wrogiej partii grupy frakcyjnej. W związku z tym wymieniono nazwiska było sekretarza KC, Gerharda Zillera i byłego ideologa partyjnego — Freda Oelssnera, jak również byłego ministra bezpieczeństwa, Ernsta Wollwebera i byłego wicepremiera — Fritza Selbmann. Ziller popełnił samobójstwo. Reszcie pozostawiono legitymacje partyjne, mimo iż w toku gwałtownej kampanii określano ich jako „wrogów partii”. W wiele miesięcy później, dopiero latem 1959 roku, kierownictwo partii opublikowało ich „akt skrucy”.

Jeśli w tej tzw. samokrytyce oddzielić istotną część od wymuszonych deklaracji lojalności wobec Ulbrichta — otrzymamy zasadniczą koncepcję frakcji Schirdewana pokrywającą się z poglądami opozycji i głównymi myślami programu Haricha. Schirdewan oświadczył:

„Wypowiadałem się za mechanicznym stosowaniem uchwał XX zjazdu KPZS na naszym terenie i zajmowałem oportunistyczne stanowisko w kwestii dalszego umacniania demokracji socjalistycznej i władzy robotniczo-ludowej w państwie”.

Selbmann określił jako „główny błąd” grupy Schirdewana, że próbowała „w polityce naszej partii stosować praktycznie

uchwały XX zjazdu w kwestii polityki koegzystancji pokojowej” w rezultacie czego uznano, „że nie należy przyspieszać tempa budowy socjalizmu w NRD w interesie politycznego odprężenia w świecie i w interesie przywrócenia jedności Niemiec...”. Selbmann obwinił się wreszcie, że nie docenił „szczególnej roli i znaczenia czołowych towarzyszy”. Bez obsłonek wyjaśnił o co tu chodzi Wollweber: „Zamiarem tej grupy frakcyjnej... była próba zmiany generalnej linii i kierownictwa partii”.

Nadzieje na „trzecie rozwiązanie”

Schirdewan, jako szef kadr któremu podlegał także wydział informacji partii, był lepiej od wielu innych zorientowany w prawdziwym położeniu NRD i SED. Dlatego traktował poważnie tezy XX zjazdu KPZS oraz wydarzenia w Polsce i na Węgrzech. Podobnie jak Gomułka chciał on prowadzić politykę stosowania wentyli bezpieczeństwa i dopuścić do destalinizacji także w NRD.

Schirdewana należy, mimo jego upadku, jeszcze i dzisiaj uważać za głowę wewnętrznej opozycji partyjnej. Bez wątpienia jest to najbardziej niebezpieczny przeciwnik Ulbrichta. Ma on bogate doświadczenie polityczne i ściśle powiązania z dółami aparatu partyjnego. Tam też przede wszystkim ma zwolenników. Różne znaki wskazują też na to, że frakcja Schirdewana mogła liczyć na przychyłność pewnych kół w kierownictwie sowieckim, które przynajmniej do momentu rewolucji na Węgrzech wypowiadały się za modyfikację sowieckiej polityki w Niemczech. Znamienny jest też fakt, że Ulbricht traktował i nadal traktuje przedstawicieli tej frakcji ze względami, które stoją w zupełnej sprzeczności z powagą zarzutów i oskarżeń, jakie przeciw nim wytaczano. Można przypuszczać, że Sowiety chronią frakcję Schirdewana, traktując ją jako rodzaj „gabinetu cieni”. Doświadczenia roku 1956 — szczególnie zaś przykład Gomułki — mogły przekonać Kreml, że jest rzeczą niezwyczajnie pożyteczną mieć w krajach demokracji ludowych niezwyty garnitur przywódców, aby móc skutecznie hamować nieuchronny rozwój wewnętrzno-polityczny.

Od czerwcowego powstania roku 1953 rozszerza się i umacnia coraz bardziej opozycja przeciw stalinizmowi. Staje się ona coraz bardziej programowa i podminowuje coraz skuteczniej podstawę systemu — aparat partyjny. Z procesów przeciw nielegalnym kółkom studentów i intelektualistów z Lipska, Halle, Weimaru i Drezna, przeprowadzonych w ostatnich latach, wynika, że mimo zaostrego terroru opozycja nie zrezygnowała, że podnoszą się podobne lub takie same żądania, jakie zawiera program Haricha. Prasa NRD zmuszona jest rozprawić się nieustannie z opozycyjnymi tendencjami pośród ludności, która wypowiada się za „trzecim rozwiązaniem”, od-

miennym od stalinizmu i kapitalizmu, stojącym pośrodku. Koncepcja tego „trzeciego rozwiązania”, przeciwko któremu SED agituje w kursach szkoleniowych, referatach i polemikach prasowych, zwraca się przeciwko kontynuowaniu stalinizmu w NRD i wypowiada za zjednoczeniem obu państw niemieckich, tak bardzo różniących się systemem gospodarczym i społecznym w wolnym i praworządym państwie, w którym część wschodnio-niemiecka zachowałaby prawdziwe osiągnięcia społeczne.

Heinz ZOEGER

Epilog afery Oberlaendera

W chwili kiedy opinia publiczna była przygotowana do wielkiej debaty parlamentarnej w sprawie Oberlaendera, w Bonn rozeszła się wiadomość, że 8 kwietnia doszło do porozumienia pomiędzy urzędową partią CDU i opozycyjnym stronnictwem SPD. Podstawą tego porozumienia (które społeczeństwu niemieckiemu przedstawiono jako odroczenie debaty parlamentarnej do 5 maja), stało się w gruncie rzeczy zobowiązanie chrześcijańskich demokratów, a głównie samego Adenauera, że Oberlaender nie wróci już, po zapoczątkowanym obecnie normalnym urlopie służbowym, na stanowisko ministra. Porozumienie to miało pozostać w tajemnicy, ale ktoś z lewicowych kół socjaldemokracji postarał się o to, aby poufna umowa stała się tajemnicą bońskiego poliszyneła. Miało to swoje dość dramatyczne kulisy, bo mówią, że jakoby rzecznik SPD, który z ramienia socjaldemokratów pertraktował z czynnikami rządowymi, a mianowicie dr Erler, na wiadomość o świadomie popełnionej niedyskrecji dostał ataku serca...

Socjaldemokraci pragnęli początkowo przekazać całokształt afery specjalnej komisji parlamentarnej, której powołanie do życia zgodnie z przepisami konstytucji zachodnio-niemieckiej nie było rzeczą trudną. Cóż się jednak stało, że socjaldemokraci tak łatwo poszli na kompromis? Złożyło się na to wiele przyczyn. Bodajże najważniejszą z nich była obawa, że analizowanie działalności Oberlaendera, nie tylko w okresie wojny ale i sprzed roku 1939, może się stać precedensem do rewizji całego systemu denazyfikacji, przeprowadzonej przez aliantów, czego sobie nie życzy również i opozycja, tak ze względów psychologicznych jak i czysto formalnych. Odegrały przy tym pewną rolę względy taktyczne, związane z przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. Żadna z obu wielkich partii nie chce sobie zrażać wielomilionowej rzeszy uchodźców i przesiedleńców niemieckich, którzy choć co prawda w 90 procentach wrosli już w grunt zachodnio-niemiecki, ale mimo to, w sensie wyborczym, tworzą wciąż jeszcze płynną masę, o której względy ubiegają się wszyscy. Ze zaś Oberlaender wśród rzeszy przesiedleńczej cieszył się, jeśli nie nadmiernym to jednak poważnym autorytetem, powstała niewątpliwie w kołach

menażerów politycznych, myślących już o przyszłych relacjach sił w Bundestagu, tendencja do jak najszybszego zatuszowania afery. Socjaldemokraci mieli po temu jeszcze inne względy. Oto obóz rządowy zaczął się odgrażać, że na debacie o Oberlaenderze sprawa wcale się nie skończy i że następne publiczne pranie brudnej bielizny będzie poświęcone osobie i że następne przewodniczącym socjaldemokratów Herberta Wehnera, który, jak wiadomo, dawniej należał do kierownictwa partii komunistycznej i jeszcze w okresie drugiej wojny światowej pracował w aparacie Kominternu. Oprócz tego chrześcijańscy demokraci szykowali się do wyciągnięcia na światło dzienne mało znanego faktu, że to właśnie socjaldemokraci otwarli drogę do powojennej kariery Oberlaendera, powołując go na stanowisko ministra w rządzie bawarskim, który w pierwszych latach powojennych formowali przedstawiciele SPD.

Można by tu wymienić również obiekcje, które parlamentarzystom zachodnio-niemieckim nasunęły się w przeddzień debaty w związku z sytuacją międzynarodową, a zwłaszcza polityką sowiecką względem Niemiec. Już od dłuższego czasu daje się zauważyć w obydwu partiach dążenie do wytworzenia wspólnej płaszczyzny w dziedzinie polityki zagranicznej, a to pod wpływem konsekwentnych akcji Chruszczowa, których celem jest nie tylko wykluczenie wszelkich koncesji na rzecz postulatów niemieckich ale nawet jak najdalej idące wyeliminowanie głosu Republiki Federalnej z koncertu wielkich mocarstw.

A więc z dużej chmury mały deszcz. Reakcja niemieckiej opinii publicznej jest bardzo rozmaita. Na ogół przeważa „katzenjammer”. Markotni komentatorzy oświadcniają, że pozbycie się Oberlaendera nastąpiło zbyt późno, że zostało ono wymuszone przez skoncentrowaną akcję bloku wschodniego, że nie wzmacnia ale osłabia pozycję rządu Adenauera. Nie wchodząc w arkana wewnętrznej polityki niemieckiej a patrząc na całą tę sprawę z punktu widzenia bezstronnego obserwatora, który w odróżnieniu od naszych kolegów z Warszawy, Kijowa i Moskwy, a również i... Bonn, może sobie pozwolić na luksus całej a nie tylko połowy prawdy, trzeba powiedzieć otwarcie, że tego rodzaju rozwiązanie jest ucieczką od rzeczywistości i moralną kapitulacją Niemców i daje Moskwie pretekst do kontynuowania swej, jakże niebezpiecznej, ofensywy, która rykoszetem godzi w interesy polsko-ukraińskie.

Byłoby o wiele lepiej, gdyby sprawę Oberlaendera wyświełtleno gruntownie i gdyby naprawdę jakieś reprezentatywne gremium międzynarodowe wydało obiektywny werdykt moralny.

Z satysfakcją można stwierdzić tylko jedno, że dzięki rewelacjom „Kultury”, które zostały przywitane na wschodzie stękiem obelg i insynuacji, ale nie zostały odparte żadnym argumentem, można zawdzięczać fakt, iż na konferencji prasowej, urządzonej w Moskwie 5 kwietnia i poświęconej w całości wojennym wyczynom Oberlaendera, zupełnie zaniedbano obarczania winą Ukraińców z batalionu „Nachtigall” za masowe mordy w więzieniach lwowskich. A więc słowo obiektywnej prawdy, nawet w dzisiejszej epoce powszechnego kłamstwa, zachowało siłę i moc z którymi mistrzowie propagandy w pewnych konkretnych sytuacjach, chcąc nie chcąc, muszą się liczyć. Odnotowujemy ten fakt na marginesie tragikomicznego zakończenia afery Oberlaendera nie tylko z zadowoleniem, ale i ze świadomością, że obraliśmy słuszną drogę szukania prawdy choćby to było niepopularne nie tylko dla bloku wschodniego, ale także i dla nietolerancyjnych elementów na emigracyjnym i niemigracyjnym Zachodzie.

BERLIŃCZYK

Dokąd idą Niemcy ?

Przedwieśnie 1960 roku. Mija 15 lat od ostatniego rozdziału drugiej wojny światowej. Wówczas to parły ze wschodu na Berlin armie Żukowa, Koniewa i Rokossowskiego. Z Zachodu szły wojska alianckie Eisenhowera i Montgomery'ego. Stolica Niemiec hitlerowskich świeciła posępnie oczodołami wypalonych domów. Wiatr huczał w ruinach martwej Wilhelmstrasse i zdzierał plakaty, nawołujące Niemców do obrony ostatniej piędzi ziemi. Gestapo szalało w wynajdowaniu wrogów „ludu”. Żandarmeria wojskowa z ciężkimi blachami na piersiach legitymowała mężczyzn w kawiarniach na Kurfuerstendammie szukając dezertersów. Naloty bombowców amerykańskich i brytyjskich smagały niedobitą stolicę potężnymi ciosami w dzień i w nocy. Zbliżało się infernum Berlina.

Pamięć ludzka zapomina szybko okrutności wojny i terroru. Dobrobyt i dostatek stają się groblą, zza której niechętnie spoziera się na minione dni. Sklepy są nabite jadłem i wszelkim luksusem, ludzie chodzą wypasieni i dostatnio ubrani. Teatry są pełne, w kawiarniach szumi pogwar i pachnie kawa, w restauracjach podają olbrzymie porcje „Eisbein” — tłustej wieprzowiny z kapustą i grochem — a dla wytrawniejszych podniebień pstrągi, rosyjski kawior i rozmaite inne smakołyki. W hotelach, samolotach, pociągach i w nocnych lokalach w Berlinie i w Duesseldorfie, w Kolonii i w Monachium słychać rozmowy o intratnych transakcjach, o podróżach do Włoch, Hiszpanii, a nawet do Afryki. Biura podróży zachęcają do polowań na grubego zwierzka afrykańskiego a w ruinach Agadiru spoczywają trupy turystów niemieckich. Dobrobyt kwitnie, miejsc do parkowania aut jest coraz mniej, a Szwajcaria broni się jak może przed germanizacją Tessinu, gdzie wille niemieckie wyrastają z dnia na dzień jak grzyby po deszczu.

A jednak propaganda sowiecka twierdzi, że Niemcy adenauerowskie przygotowują nowy pochód na Wschód. Komuniści Ulbrichta lamentują, że zachodnio-niemiecka Bundeswehra szykuje się do „Blitzkrieg'u” przeciwko NRD. Bonn wyłamuje się rzekomo spod kontroli NATO. Angielscy labou-rzyści zalecają maksimum ostrożności w stosunku do nowych Niemiec. Proadenauerowski, do niedawna, „New York Times” ogłasza polityczne niedyskrecje, które wywołują w Bonn niepo-hamowane odruchy wściekłości. Niedługo zbierze się konferencja wielkiej czwórki, aby radzić o Berlinie i Niemczech. Konrad Adenauer udał się za ocean aby nakłonić Eisenhowera i Hertera do twardej polityki wobec Chruszczowa. Rozgoryczony

„Rheinischer Merkur”, sztandarowy organ integracji Niemiec z Europą Zachodnią pisze, że wrogowie Niemiec zdjęli wreszcie maski z rzekomo przyjaznych dotychczas twarzy i że NATO znajduje się w stadium śmiertelnej schizofrenii. Hans Zehrer biadoli w hamburskiej „Die Welt”, że Niemcy stały się co prawda potęgą materialną ale, że „duchowe i moralne odrodzenie” narodu niemieckiego nie poszło w parze z cudem gospodarczym. Rok 1945 ciąży wciąż jeszcze nad nim, jak pot-worne widmo.

Odpowiedź na postawione pytania jest niezmiernie trudna jeśli ma być możliwie najbardziej obiektywną. Tematy nie-mieckie są najeżone tysiącem bolesnych trudności nawet wtedy jeśli się nie jest ani germanofilem ani germanofobem, a tylko rzetelnym obserwatorem z pewną dozą znajomości rzeczy i odpo-wiednim dystansem. Analizy sytuacji politycznych i duchowych danego narodu nie są monopolem ani dla dziennikarzy obser-wujących od wielu lat ten czy inny naród, ani też dla przelot-nych obserwatorów, którym często udaje się dostrzec cieka-wostki i anomalie zapoznawane przez ludzi siedzących od daw-na w danym społeczeństwie. Mimo to wydaje mi się, że dla rzeczowej dyskusji bardziej potrzebna jest gruntowna znajo-mość problemu i długotrwałe obcowanie ze społeczeństwem danego narodu aniżeli niejednokrotnie złudny obraz reporter-skich obserwacji.

Problem niemiecki jest ponadto tym trudniejszym do zgłę-bienia dla Europejczyka aniżeli sprawy takich krajów jak Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone że jest związany z poważnym ładunkiem elementów uczuciowych i niebezpiecz-nymi sztancami, które z góry sugerują pewne aksjomaty i tezy. Do tego należy nie zapominać że sytuacja Niemiec powojen-nych ulega nieustannym zmianom. Trzeba więc uwzględnić tu wszystkie te fluktuacje, jakie zaistniały na skutek pogrzebania polityki „liberation”; śmierci Dullesa, zakończenia okresu zi-mnej wojny i niesłychanej dynamiki, którą wniósł Nikita Chruszczow do statycznego charakteru okresu stalinowskiego i pierwszych lat panowania jego spadkobierców. Kto patrzy trzeźwo i słucha pilnie jak kształtuje się sytuacja w Niem-czech, tego uwadze nie mogło ująć już w czasie letniej konfe-rencji w Genewie, zwłaszcza w okresie ostatnich miesięcy, że w Niemczech Zachodnich dochodzą do głosu nowe prądy i kiel-kując nowe idee, powiedzmy sobie otwarcie, dla Zachodu i dla Wschodu niewygodne i w ostatecznym rozrachunku niepotrzebne. Nie znaczy to, że propaganda komunistyczna ma rację, albo, że prawda jest po stronie zawodowych optym-iistów na Zachodzie. Trzeba zadać sobie wiele trudu, żeby dojść wreszcie do szeregu wniosków, które się w obecnej sytuacji zarysowują.

Wspomnijmy mimochodem, że podział Niemiec różni się w sposób zasadniczy od rozbioru Polski sprzed roku 1918, gdyż

abstrahując od zaborczego charakteru ówczesnych systemów okupacyjnych, państwa sprawujące władzę suwerenną nad podzielonymi członami dawnego organizmu państwowego Polski, pomimo poważnych odchyień, jakie istniały pomiędzy autokratyczną monarchią carską a konstytucyjnym cesarstwem austro-węgierskim reprezentowały w zasadniczym sensie podobny ustrój i wspólną ideologię. Podzielone Niemcy, które uzyskały i na wschodzie i na zachodzie własną państwowość, znajdując się w zupełnie odmiennej sytuacji ze względu na diametralnie przeciwstawne systemy kapitalizmu i komunizmu i na zwalczające się wzajemnie ideologie, a mianowicie monoistyczną totalitarną na wschodzie i pluralistyczną, bowiem złożoną z pierwiastków liberalizmu, demokratycznego socjalizmu, idei konserwatywnych i obydwu prądów chrześcijańskich czyli katolicyzmu i protestantyzmu na Zachodzie. Są to niewątpliwie truizmy, ale i o nich nie zawadzi od czasu do czasu przypomnieć gwoli jasności obrazu. Tyle wstępnych uwag i ogólnych stwierdzeń. Teraz pora na obserwacje.

„Sprzedają nas”

Zacznijmy od spaceru po Berlinie. Na Breitenbachplatz późnym wieczorem przy końcu lutego dzwoni urządzenie alarmowe przywołujące samochód policyjny, których pewna ilość krąży stale po ulicach miasta. (Jest to pozostałość z okresu największego nasilenia zimnej wojny w Berlinie, kiedy to MWD i jej wschodnio-niemiecka bliźniacza organizacja bezpieczeństwa, SSD specjalizowały się w porywaniu ludzi z zachodniego Berlina. Wtedy to poustawiano tego rodzaju słupy, aby w razie wypadku można było zaalarmować natychmiast policję). Znajoma sprzedawczyni gazet i papierosów, która z pobliskiego kiosku obserwowała niecodzienną scenę sama rozpoczęła monolog! Po kiego diabła taki porządny człowiek jak „Herr Richter” robi hałas w nocy i woła policję? Do niedawna był burmistrzem naszej dzielnicy i w ogóle taki cichy i spokojny człowiek! A „Herr Richter” niepokoił się jak najwyraźniej, stukał laską o bruk, poprawiał nerwowo czarny beret i biegał dookoła słupa alarmowego. A słup dzwonił i dzwonił. Jacyś chuligani kpili sobie z policji, której wciąż widać nie było. Po 20 minutach zjawily się aż trzy wozy policyjne. Cóż się okazało? W pobliskiej knajpie ktoś ubliżył panu Richterowi. Sprawca zalany w pestkę siedział jeszcze w zadymionej piwiarni; z wyglądu robociarz, choć mógł być i urzędnikiem (Niemców po wyborze coraz trudniej odróżnić tak zresztą jak i Amerykanów; względnie trafnym kryterium podziałów klasowych są typy posiadanych samochodów. Jak Mercedes to właścicielem jest „kapitalista”, a więc przemyslowiec albo właściciel dobrze prosperującego sklepu, albo lekarz lub modny

adwokat; jak „Volkswagen” to urzędnik, gorzej prosperujący sklepikarz, robotnik, lub dziennikarz, ale czasami i bezrobotny, jak niektórzy artyści pobierający zasiłki w zachodnim Berlinie i „dorabiający” występami na prowincji w Niemczech Wschodnich). Pijany wcale nie ukrywał swoich poglądów przed majestatem władzy. Obrzucił policjantów z miejsca kilkoma ordynarnymi przezwiskami, których lepiej nie będą powtarzał i pałał mowę o przyczynie sporu. Chodziło mu nie tyle o b. burmistrza dzielnicowego p. Richtera, jak raczej w ogóle o system nowej władzy w Niemczech, a szczególnie w Berlinie zachodnim. „Kto nami rządzi, pytam was służusy obcej władzy, którzy udają że noszą mundury niemieckie”, rznął słowa prosto w osłupiałych policjantów. „Komu służycie, wy świntuchy, Brandtowi, temu zdrajcy narodu niemieckiego, który nas już raz sprzedał wrogom, skąd, pytam się was, zjawił się u nas „Herr Oberbuergemeister Brandt?”. — Służył Norwegom czy nie służył? — Sprzedał nas czy nas nie sprzedał? — Socjaldemokrata niemiecki, patriota, a w norweskim mundurze do Berlina przyjechał! Jakbyśmy go byli złapali w czasie wojny to by z niego siekanina na kotlety została. Całe jego szczęście że się nie dostał w ręce żołnierzy niemieckich. I to ma być *deutscher Mann*? — Chodzi mi o to, że nas sprzedają. Ale w narodzie już się budzi święty gniew. Ci na górze nie wiedzą co naród myśli, ale przyjdzie czas obrachunku, bo tak dalek być nie może. Wiecie wy kto był największym niemieckim człowiekiem? *Der groesste deutscher Mann war Adolf Hitler!* A jak wymawiam nazwisko tego wielkiego Niemca to wy chłystki na baczność stańcie...”. Policjanci nie dali mu dokończyć przemówienia. Wypchnęli go z knajpy i odwieźli do komisariatu. Wśród obecnych w piwiarni zapadło najpierw grobowe milczenie. Wydawało mi się, że większość była tylko przeciwko końcowym akcentom pijanego credo politycznego, ale z niektórych oczu można było wyczytać, że gloryfikacja Hitlera i wymyślanie demokracji niemieckiej odpowiadało ich skrytym poglądom. Milczenie przerwali trzej studenci pijący na stojaka piwo. „Dopóki nie wmiszał Hitlera do tej całej gadaniny to jeszcze można mu było przebaczyć” — odezwał się jeden. „Słusznie — wtrącił drugi — ostatecznie gadał po pijanemu, ale z Hitlerem to naprawdę było za dużo i po co tak gadać? Teraz, po tych ekscesach antysemitycznych, będzie siedział w ciu-pie!”. Tylko trzeci zareplikował mocniej: „No wiecie, w ten sposób traktować tego rodzaju nazistowskie powiedzonka, nie, przyjaciele, mnie aż ręka świerzbila żeby podejść do gościa i rąbnąć go w pysk. Tylko, że pijany no i zresztą policja była, ale takich trzeba pchać do więzienia, inaczej podniosą głowę i będzie źle”.

Wschód — Zachód

Pewnego wieczoru przy telewizorze. W programie telewizyjnym zachodnio-niemieckiej (w Berlinie można oglądać dwa programy, zachodni i wschodni) była dyskusja grupy młodzieżowej w Kolonii o pojęciu „Vaterland”. Kierownik dyskusji, który zresztą nie umiał wyłuszczyć ani abstrakcyjnej definicji ojczyzny ani zmienności tego pojęcia przy rozmaitych ustrojach i w różnych epokach historycznych, zwrócił się do swoich partnerów, dwóch chłopców i dwóch dziewcząt ze średnich klas gimnazjum co rozumieją pod pojęciem niemieckiej ojczyzny. Odpowiedzi były zaskakujące. Wszyscy oświadczyli mniej lub bardziej wyraźnie, że dla nich pojęcie „Vaterland” to republika federalna w granicach pomiędzy Francją, Szwajcarią, Austrią, Czechosłowacją, Niemcami Wschodnimi (w tym wypadku użyto rozmaitych określeń „strefa sowiecka”, „sowiecka zona okupacyjna”, „Niemcy Wschodnie” i „Niemiecka Republika Demokratyczna”) i Morzem Północnym. Kierujący dyskusją nie był zadowolony z takiego postawienia sprawy i zaczął natarczywie pytać: „no dobrze, a np. Drezno, czy Weimar, to wam nic nie mówi? — „Nie” padała odpowiedź jedna za drugą — „myśmy tam nigdy nie byli, to jest inny kraj, co prawda uczymy się o tym w szkole, ale z pojęciem ojczyzny tego nie łączymy”. W dalszym ciągu dyskusji pod wpływem nalegań kierownika, jedna dziewczyna i jeden chłopiec zrewidowali nieco swoje pojęcia; uczennica próbowała nawet jeździć palcem po mapie na wschód od Odry i Nysy wykazując przy tym w objaśnieniach kompletną nieznaną politycznej geografii tych ziem.

Poczekalnia drugiej klasy na dworcu w Duesseldorfie. Przy wysokim stoliku przeznaczonym do konsumpcji na stojąco piją piwo trzy osoby. Starszy mężczyzna, jakaś kobieta i w podeszłym wieku i kronikarz niniejszych uwag. Najpierw zaczyna rozmowę starszy mężczyzna. „Za godzinę odchodzi stąd pociąg międzystrefowy do Lipska. Wyjeżdżam. Dostałem tam dobrą pracę”. Jestem majstrem malarskim — informował dosyć poufale. Ho, ho, tam się teraz dużo buduje. U nas tutaj konkurencja, a tam proszą się o to aby przyjechać. Co mnie tam polityka. Gdzie robota tam dobrze. Zarobić zarobię tam więcej, mieszkanie mi obiecali i urlop lepszy. No, co pani na to? Może źle robię?” — Ostatnie słowa wypowiedział takim tonem, że widać było że się nie czuje zbyt pewnie. Coś go jątrzyło wewnątrz. Pił zresztą jedną wódkę za drugą pod dortmundzkie piwo. Kobieta pomilczała trochę i odezwała się w nieskazitelnym narzeczu saksońskim. „No cóż pojedzie pan, popracuje, zobaczy, a potem, bo ja wiem, może pan jest komunistą i musi pan stąd wiać, może się pan tylko tak z głupia

frant pyta. Ja panu powiem szczerą prawdę, ja jestem z Drezna, dwa lata temu uciekłam. Patrz pan — pokazała spracowane ręce — nie burżujka, nie kapitalistka, robotnica z dziada pradziada. Syn mój też uciekł choć mu początkowo dobrze było. Do „Volkspolizei” go wzięli, przydzwiewek miał, mieszkanie i jedzenia w bród. Z dziewczętami mógł hulać, ale przyszedł za mną. Życie nie dają, spokoju nie ma, zresztą jedź pan, co ja tu będę panu opowiadała, to, panie, trzeba na własne oczy obejrzeć. Jak pana zaczął ciągnąć to na zebranie, to na to, to na owo, to na jakieś tam pogadanki, a później mówią, no to powiedzcie co myślicie o Adenauerze, o Ameryce, o Rosji... I to stanie w ogonkach, a to nie ma masła, a to marchwi brakło, a jak się ma dzieci to i owoców nie ma. Nie, obrzydnie. Ale jedź pan, ja — uśmiechnęła się na wspaniałą myśl, która jej przyszła do głowy — ja to bym wszystkim stąd posłała, co to się tak wymądrzają jak pan. Bogatych i biednych, tam do Drezna. Czego człowiek nie przeżył i na oczy nie widział, w to nigdy nie uwierzy. Tu mi się nie przelewa, ale jak zarobię to spokój mam i mi nie patrzają co ja z tym pieniądzem robię. I tak mnie do tej polityki nie ciągnie. A co? Ja głupia baba, chcę żyć spokojnie i moje dzieci na porządnym ludzi wychować, a nie na zbójców, tych co to w „Volkspolizei” ludzi obszukują jak złodziei. Dlatego mój syn też uciekł, nie podobała mu się taka robota”. Jej chropawe wywody przerwał głos z megafonu, że taki to a taki pociąg odchodzi z peronu Nr 7. Kobieta się poderwała: „Ja tu z panem gadu, gadu a mój pociąg zaraz odchodzi. Do syna jadę, on tu niedaleko kumplem jest na kopalni. No to *Hals und Beinbruch in Leipzig. Gruessen sie mir meine Heimat und vielleicht sehen wir uns hier wiedermal*. Zapłaciła i podreptała do pociągu. Starszy mężczyzna zamówił jeszcze jedną wódkę i zamyślił się.

W Kolonii w styczniu 1960 r. Dyskusja ze słuchaczami w Ost-Kolleg. Jest to na pół oficjalna instytucja, która od kilku lat organizuje kilkudniowe kursy o sprawach Europy Wschodniej, marksizmie-leninizmie, zagadnieniach państw satelickich, historii Rosji i jej polityki zagranicznej. (Jakoś niedawno gościł tam korespondent moskiewskiego „Nowoje Wremja” Bezmienski; zebrał kupę rzeczowych informacji i napisał typowo stalinowski artykuł demaskujący rzekomą jacejkę planów odwetowych. W istocie rzeczy sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, gdyż w Ost-Kolleg wykładają w 90% fachowcy z Niemiec. Wielkiej Brytanii i Szwajcarii, wybitni profesorowie uniwersyteccy i przedstawiciele najrozmaitszych kierunków politycznych, od konserwatystów do socjaldemokratów niemieckich). Dyskusja toczyła się dookoła żelaznego repertuaru wszelkich rozmów politycznych w Niemczech, czyli zagadnienia w jaki sposób można otrzymać zjednoczenie podzielonych Niemiec. Uczestnicy kursu to, jak zwykle, przedstawiciele najrozmaitszych środowisk społecznych, nauczyciele szkół średnich, prze-

mysłowcy, działacze związków zawodowych, duchowni obydwu wyznań czyli katolicy i ewangelicy, oficerowie armii niemieckiej, sędziowie, studenci i dziennikarze. Po kilkugodzinnych sporach dobra czterdziestka uczestników dyskusji podzieliła się na dwa obozy.

Zapalczywa mniejszość stała na stanowisku, że sprawa zjednoczenia Niemiec jest tego rodzaju absolutem narodowym, że należy jej podporządkować wszelkie inne interesy. Z każdej nieomal wypowiedzi zwolenników tej koncepcji można było wyczuć głęboki uraz, że ani Zachód nie chce połączenia Niemiec ani rząd Adenauera nie dokłada odpowiednich starań, aby postulaty Niemców z obydwu stron Łaby ruszyć z martwego punktu. Nikt nie miał jednak odwagi powiedzieć bez ogródek, że zjednoczenie jest ważniejsze niż sojusz z mocarstwami zachodnimi i że należałoby się dogadać z Rosją w tej sprawie kosztem wielkich ustępstw nawet w rzeczach zasadniczych. Ale atmosfera kapitulacji, okupionej mitem zjednoczeniowym, unosiła się jak najwyraźniej nad wywodami zwolenników fuzji narodowej.

Drugi obóz, będący w poważnej większości, był zgodny w zupełnie odmiennej ocenie sytuacji. Mít zjednoczeniowy, dowodzili rzecznicy ich koncepcji, jest nowoczesnym niebezpiecznym mitem społeczeństwa, które zawsze było skłonne ulegać ideom politycznego irracjonalizmu. A tymczasem podział Niemiec jest przeciw funkcją wielkiej rozgrywki międzynarodowej i Niemcy zachodnie nie mogą się wyłamać z ogólnych prawideł gry, jeśli nie chcą przypłacić takiego kroku utratą swobód politycznych i gospodarczych. Trzeba więc spojrzeć prawdziwie w oczy i skończyć wreszcie z niebezpieczną i frywolną szermierką propagandowymi hasłami zjednoczeniowymi, które w obecnej sytuacji, a może jeszcze na bardzo, bardzo długi okres czasu są po prostu niebezpieczne. Konsekwencje takiego postawienia sprawy będą niewątpliwie twarde i gorzkie, szczególnie dla 17 milionów Niemców w Niemieckiej Republice Demokratycznej, ale zachowanie swobód demokratycznych dla 48 milionów Niemców żyjących w Republice Federalnej jest, realnie patrząc, sprawą ważniejszą niż zjednoczenie na warunkach Moskwy.

Jedno musi być jednak zachowane, a mianowicie postulat Republiki Federalnej, że to ona reprezentuje wolę narodu niemieckiego i że państwo wschodnio-niemieckie nie jest tworem suwerennym a tylko kolonią i okupacją Rosji Sowieckiej. Ale i tu wyczuwało się pewne niedopowiedzenia i obawy czy Zachód, czy sojusznicy Bonn w Waszyngtonie, Londynie i Paryżu będą nadal trwali przy swych dawnych założeniach i wraz z rządem zachodnio-niemieckim żądali wolnych wyborów, swobodnych plebiscytów i samostanowienia. Wydawało się jakby ten i ów zwolennik zachodniej koncepcji nie był pewien czy dawne maksymy polityki mocarstw zachodnich nie zachwieją się i czy nie zostaną poświęcone na ołtarzu „pokojowej koegzystencji”.

Byłem świadkiem wielu podobnych dyskusji w Kolonii i szczególnie utkwił mi w pamięci fakt, że prawie nigdy nie słyszałem jakichkolwiek wystąpień szowinistycznych w sensie nowego pochodzenia na Wschód, wystąpień polakożerczych, czy w ogóle hasel antysłowiańskich. Przeważała raczej stale wielka doza rezygnacji, a ostatnio postępującej z wolna dezorientacji co do celów i środków dyplomacji zachodniej.

Prowincja

Późną jesienią 1959 roku wypadło mi przejechać od Fuldy, siedziby episkopatu katolickiego Niemiec, do stolicy Bawarii — Monachium. Droga wiodła poprzez zapadłe miasteczka i wsie. Po kilku latach zetknąłem się z prawdziwą prowincją zachodnio-niemiecką. Wstępowaliśmy do szynków, winiarni, a że jeden z przygodnych towarzyszy podróży, tytułem rozległych koneksji handlowych, ziolkowskich (należał do niedawna do partii wysiedleńców BHE, z której zresztą wystąpił, rozczarowany tromtadracją rewizjonistyczną) i rodzinnych, miał wszędzie coś do załatwienia, przeto podróż przeciągnęła się o wiele dłużej niż planowałem. Ale cóż za skala przeróżnych typów, rozmów i obserwacji!

Prowincja niemiecka różni się obecnie od tej którą widziałem przed pięć laty w sposób uderzający. Nastąpiła zupełna stabilizacja w sensie politycznym i psychologicznym. Chłop, rzemieślnik, kupiec, a nawet Niemiec z Sudetów, Śląska, czy Prus Wschodnich, wrósł w grunt miejscowy i nie odczuwa w żadnym stopniu dawnego prowizorium Republiki Federalnej. W jakimś maleńkim miasteczku, kilku znajomków naszego przewodnika podróży wyłuszczyło nam swój punkt widzenia. Rozmowa toczyła się w miejscowej „Weinstube”. Był tam chłop bawarski, właściciel szynku, radny miejski i jakiś sklepikarz. Sprawy polityki światowej były dla nich nieistotne. Chodziło raczej o ceny i zarobki, działalność miejscowych władz samorządowych. Rozmówcy identyfikowali się co prawda, według sympatii politycznych, z tymi czy owymi pociągnięciami kół rządowych CDU lub czynników opozycyjnych SPD, ale traktowali te sprawy w zasięgu własnych interesów na szczeblu miasteczka, co najwyższej powiatu. Co mnie jednak najbardziej uderzyło to zmiana nastrojów w stosunku do własnej władzy, aliantów i do armii niemieckiej. Przed pięć laty ze wszystkich tych trzech spraw kpiono sobie powszechnie lub wyrażano się w niezbyt pozytywnym tonie. Dziś władza jest władzą, może nie zawsze dobrą, ale zasługującą na szacunek, bo jest własną władzą. W stosunku do Amerykanów, jeśli padają jakieś uszczypliwe uwagi, to chyba tylko dlatego, że przy częstych manewrach powstają jakieś szkody dla rolnictwa. Poza tym stosunek jest obojętny. Wyraża się on w krótkim zdaniu: „To

nasi sojusznicy, jesteśmy z nimi związani umowami i trzeba się z tym pogodzić. Zresztą niedaleko stąd stoją armie sowieckie, a nasze wojsko jest jeszcze zbyt słabe". Najistotniejszą zmianą jest niewątpliwie nie tylko pogodzenie się z faktem, że istnieje nowa armia niemiecka, ale wzrastająca świadomość, że jest to ważny czynnik w życiu państwowym Niemiec Zachodnich. Jeszcze do niedawna można było spotkać się z jak najbardziej negatywną opinią prowincji niemieckiej na ten temat kpiąco o nowych mundurów, wyśmiewano rekrutów. A teraz? — Wszystko minęło i każdy z naszych rozmówców w zapadłej dziurze bawarskiej mówił o Bundeswehrze jeśli nie z dumą, to co najmniej z wielkim szacunkiem. Mało tego, prowincja niemiecka jest przeświadczona o tym, że Republika Federalna stała się potężnym państwem europejskim i że jest równym partnerem mocarstw zachodnich. „Panie, teraz to i Amerykanie muszą się z nami liczyć — perorował chłopiec bawarski — „Anglikom to się nie bardzo podoba, ale co oni zrobią bez nas. Francuzi wojują w Afryce, czyli Europę zachodnią bronią przed Rosjanami tylko Niemcy". Jakoś pod koniec rozmowy ktoś rzucił zdanie o zjednoczeniu Niemiec. Przy stole zapanowało milczenie. Niechętnie zaczęły się rozwiązywać języki, a ze słów rozmówców można było wydedukować, że sprawa, która jątrzy umysły i serca elity politycznej Niemiec zachodnich, kół inteligentnych, środowisk dziennikarskich i studenckich, w dołach społeczeństwa na głuchej prowincji jest, jak mi się wydaje, zagadnieniem drugoplanowym, nieistotnym i nierealnym. Kiedyśmy wyjechali z miasteczka, nasz cicerone powiedział na pół żartem, na pół serio: „co do tego zjednoczenia, to oni się go boją cholernie, bo myślą, że trzeba będzie tym biedakom ze wschodu oddać część dochodów, ubrać ich, nakarmić. Chłop, tak samo jak wszędzie, tak i w Niemczech, nie lubi się dzielić tym co ma i co by jeszcze chciał mieć. Woli żeby zostało tak jak jest".

Krytyczny impas

Są w Niemczech politycy, którzy nie tylko przeczuwają ale widzą, że rola Republiki Federalnej w konercie wielkich mocarstw maleje. Zdaje się, że i Adenauer dostrzegł to niebezpieczeństwo. Zresztą Chruszczow nie ukrywał swych planów polegających na wyeliminowaniu Niemiec Zachodnich z ich dotychczasowego stanowiska równorzędnego partnera Anglosasów i Francji. Co Niemców najbardziej niepokoi, to polityka Wielkiej Brytanii. Podejrzewają oni, że Londyn jest skłonny do pójścia na wielką grę z Rosją, oczywiście kosztem pozycji Niemieckiej Republiki Federalnej. Obserwując rozwój stosunków brytyjsko-niemieckich z Bonn czy z Berlina nie można zresztą Niemcom odmówić podstaw do tego rodzaju

obaw. Korespondenci akredytowani w Londynie skarżą się od miesięcy na zdecydowanie negatywny, a nawet wrogi stosunek brytyjskiej opinii publicznej do polityki Adenauera. W dyskusjach politycznych partnerzy niemieccy wysuwają zazwyczaj dwa argumenty, które zdaniem ich przesądzą o zwrocie w polityce Wielkiej Brytanii w odniesieniu do Niemiec. Argument pierwszy to ostra konkurencja na rynkach światowych i wypieranie pozycji brytyjskich. Drugi — to rzekoma gotowość Anglii do pójścia na koncesje w sensie zadeklarowania Rosji status quo w Europie Środkowej włącznie z podziałem Niemiec. Rządziej słyszy się opinię, że Brytyjczycy rewanżują się Niemcom za to, że na skutek drugiej wojny światowej i propagandy hitlerowskiej, która rozkiełznała antykolonialne ruchy wyzwolenicze, Imperium Brytyjskie rozleciało się co najmniej o 50 lat wcześniej, niżby to było nastąpiło drogą normalnej ewolucji, bez wstrząsów drugiej wojny światowej.

Ale i w klimacie stosunków niemiecko-amerykańskich wiele się zmieniło od śmierci Dullesa. Niemcy obserwują z niepokojem jak społeczeństwo amerykańskie przerzuca się z zimnej wojny na pozycje pokojowej koegzystencji i jaką siłą atrakcyjną przedstawia Rosja w oczach Ameryki. Team Eisenhower-Herter jest w Niemczech powszechnie traktowany jako najslabszy od czasu nawiązania bliskiej współpracy między Bonn i Waszyngtonem.

Jedyna ostoja Adenauera to Francja de gaullovska. Ale to zaufanie w stosunku do dzisiejszych rządów Francji paraliżuje niemiecką inicjatywę w krajach słabo rozwiniętych ekonomicznie, szczególnie w Afryce, gdzie obiektywnie Niemcy Zachodnie mają duże szanse, ale możliwość dyplomatycznego manewru jest na skutek sojuszu z Paryżem bardzo ograniczona. Nawiasem mówiąc dobre stosunki republiki bońskiej z Izraelem, o które dyplomacja zachodnio-niemiecka szczególnie pieczołowicie dba od czasu ostatnich ekscesów antysemitycznych, są też kulą u nogi, jeśli chodzi o równie niezłe szanse w krajach arabskich. W jednym i w drugim wypadku korzysta z tego Niemiecka Republika Demokratyczna, która bez najmniejszych obiekcji, wdziera się na coraz to nowe tereny na Bliskim Wschodzie i w czarnej Afryce.

Wewnętrzny układ sił

W kraju między Łabą a Renem utrzymuje się nadal stary układ sił czyli z grubsza biorąc dwupodział na rząd chrześcijańsko-demokratyczny i opozycję socjaldemokratyczną. Ale pod gładką na pozór powierzchnią tej tradycyjnej gry sił odbywają się mało uchwytnie, jak dotąd, przemiany, które z biegiem czasu mogą nabrać rumieńców życia. Widząc szczytliny w sojuszu z Zachodem i oczywiste niepowodzenia polityki

Adenauera, społeczeństwo, zwłaszcza koła wrażliwsze na wszelkie wahania koniunktury politycznej, zaczynają wykazywać zniecierpliwienie, a co za tym idzie, niezadowolenie. Najbardziej można to wyczuć wśród młodej generacji, chociaż i wśród niektórych odłamów starszego społeczeństwa zarysowują się te same symptomy. Główny element niepokoju, to obawa przed „zdradą” Zachodu. Do tego dochodzą konsekwencje umacniania się autorytetu Niemiec Wschodnich i brak wszelkich widoków na pozytywne rozwiązanie kwestii zjednoczenia Niemiec i sprawy Berlina. Wielu ludzi myślących kategoriami politycznymi niepokoi fakt, że sprawa sukcesji władzy Adenauera zawisła całkowicie w próżni. Tego rodzaju poglądy nie są bezpodstawne jeśli się zważy, że kanclerz Niemiec znajduje się w bardziej niż podeszłym wieku i że zajmuje od lat w polityce niemieckiej tak dominującą pozycję, iż myśl o nagłym jego odejściu od steru rządów napawa ludzi strachem przed tym co nastąpi. Patrząc z tego punktu widzenia na życie polityczne współczesnych Niemiec ma się wrażenie, że sytuacja ta ma wiele podobieństwa z układem sił w Polsce przedwojennej, w końcowej fazie władzy Piłsudskiego.

Na tym tle zaczyna mieć szanse prawica niemiecka, czego zarówno obóz rządowy jak i opozycyjni socjaldemokraci boją się panicznie. Stąd też zapewne ani rząd w Bonn ani opozycja nie są skłonne uczynić jakiegokolwiek zdecydowanego kroku w kierunku ofensywnej polityki w odniesieniu do krajów wschodnio-europejskich, ofensywnej w rozumieniu inicjatywy do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Warszawą, Pragą i innymi stolicami państw satelickich. Stan ten nie zmieni się prawdopodobnie do wyborów parlamentarnych w przyszłym roku. Nikt nie ośmiela się ruszyć z miejsca takiej sprawy, jak kwestia uznania granicy na Odrze i Nysie, gdyż zarówno po stronie rządowej jak i w miarodajnych kołach opozycji panuje powszechnie opinia, że naruszenie tego tabu mogłoby w konsekwencji doprowadzić do powstania poważnej irredenty, a może nawet jakiegoś stronnictwa nacjonalistycznego, które by stało się niewygodnym języczkiem u wagi w przyszłym parlamencie w Bonn.

Partie rządowe, a właściwie wszechmocna Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna chciałyby na wszelki wypadek, myśląc o ewentualnych kataklizmach wewnątrz-politycznych po erze Adenauera, przeforsować ustawę o stanie wyjątkowym. Twórcy obowiązującej konstytucji zachodnio-niemieckiej nie stworzyli bowiem tego rodzaju środków zaradczych. Opozycja przeciwstawia się jak najostrzej próbom rewizji postanowień konstytucji i zdaje się że ma w zanadru koncepcję polityki wielkiej koalicji po przyszłych wyborach, licząc, że jej główny kandydat, z którym pójdzie do wyborów, czterdziestokilkuletni burmistrz zachodniego Berlina Willi Brandt, byłby tą postacią, która mogłaby zjednoczyć przeciwstawne siły.

Nowe prądy

Rozglądając się w topografii politycznej dzisiejszych Niemiec należy przede wszystkim skupić uwagę na prądach, które zaczynają sobie żłobić nowe koryta w Republice Federalnej. Są to nowe konfiguracje, które nie przyjęły jeszcze ostatecznych kształtów organizacyjnych, lecz znajdują się w stadium krystalizacji. W związku z tym warto się zająć tezą propagandy komunistycznej, która bije na alarm, iż rzekomo w Niemczech Zachodnich następuje proces refaszyzacji. Wydaje mi się, że jest to teza grubo przesadzona i że u jej podłoża tkwią raczej cele taktyczne, związane jak najściślej z dążeniem Rosji Sowieckiej do wspomnianego już izolowania Niemiec w wielkiej polityce międzynarodowej. Istnieją oczywiście, pewne powiązania organizacyjne b. nazistów, ale nic nie wskazuje na to, iż stąd mogłaby wynikać nowa groźba zarówno dla demokracji niemieckiej jak też dla sąsiadów Niemiec. Grupy b. nazistów nie mają bowiem żadnej szerszej bazy społecznej. Ich wpływ w świecie robotniczym są, w odróżnieniu do czasów weimarskich, niemal że żadne. Tak samo ma się rzecz z koneksjami b. hitlerowców z młodą generacją Niemiec. Szerzony na Wschodzie mit o niebezpieczeństwie ruchu neohitlerowskiego jest jak dotąd bzdurą. Zresztą historia nie zna wypadków, aby idee i organizacje danych społeczeństw, które poniosły tak kapitalną klęskę polityczną, militarną i ideologiczną jak ruch hitlerowski, mogły się regenerować nawet przy najlepszych warunkach. A do tego brakuje nawet i tych warunków.

Nie znaczy to, że w Niemczech wykluczone jest powstanie potężnej siły prawicowej z pewnymi zadatkami rządów autorytatywnych a nawet dyktatorskich. Jeśli polityka Adenauera załama się, to znaczy jeżeli spotka ją fiasko ze strony jej dotychczasowych sojuszników na Zachodzie, wówczas działające w odosobnieniu rozmaite grupy i grupki mogą się zjednoczyć i znaleźć podatny grunt w społeczeństwie niemieckim, głównie na bazie rosnących wówczas przypuszczalnie nurtów antyangielskich i antyamerykańskich. Przy takim rozwoju sytuacji nie byłoby wykluczone, iż głównymi czynnikami nowej prawicy stałyby się armia i biurokracja zachodnio-niemiecka. Nie są to jeszcze siły samoistne ale można sobie wyobrazić, że działający obecnie w Niemczech, William Schlamm, autor zjadliwego pamfletu przeciwko polityce słabości Zachodu, mogłby się stać ideologiem owej prawicy zdecydowanie antybolszewickiej, militarystycznej, choć w początkowej fazie na pewno nie totalitarnej jednak bardzo autorytatywnej.

Jednocześnie zarysowuje się rozłam w kołach — które jak np. środowisko skupione dookoła redakcji wpływowego dziennika „Die Welt” szukały jakiejś nowej koncepcji dla

Niemiec, pomostu między Wschodem a Zachodem, a nawet samodzielnej polityki Bonn w stosunku do Rosji. Koła te popierane przez poważny odłam burżuazji niemieckiej, części przemysłu, głównie lekkiego, który najbardziej zainteresowany jest rynkami zbytu w Europie wschodniej, gdyż własny kraj nasycony jest wszelkiego rodzaju lodówkami, telewizorami i pralkami elektrycznymi, wywodziły się z grupy „Die Tat”. Mamy na myśli tych intelektualistów, polityków i publicystów, którzy przed dojściem Hitlera do władzy głosili rewolucję narodową w czasopiśmie „Die Tat”, sympatyzowali z hitleryzmem a nawet mu pomogli w dojściu do władzy. Później zostali usunięci od wszelkich aktywnych wpływów na politykę hitlerowską. Dopiero po drugiej wojnie światowej stworzyli coś w rodzaju koterii, usiłując kształtować opinię publiczną. Trzeba jednak stwierdzić, że wspomniane środowisko pretendujące nie wątpliwie do roli raczej mafii niż partii politycznej nie reprezentowało konsekwentnej linii i lawirowało między różnymi i często zmiennymi koncepcjami. Raz nawracało do idei sojuszu niemiecko-rosyjskiego na gruncie Rapallo, to znowu szukało dróg do Polski gomułkowskiej pragnąc odgrzewać w nowym wydaniu stare idee „Mittel” — czy też „Zwischen Europa” lub przywiązywało pewne nadzieje do planu Rapackiego. Pod wrażeniem zawodu, którego — jak się wydaje — doznał czołowy prekursor tych poszukiwań, naczelny redaktor gazety „Die Welt” — Hans Zehrer po rozmowie z Chruszczowem i pod wpływem aktualnej polityki Moskwy w odniesieniu do kwestii niemieckiej — zarysował się rozłam. Część koterii ze wspomnianym Zehrerem na czele zweeksłowała jak najwyraźniej na kurs polityki Adenauera. Natomiast inna część — mówi się w związku z tym o znanym publicyście Paul Sethe — usiłuje stworzyć nowe podstawy dla odrodzenia tendencji o nasileniu opozycyjnym i, jak twierdzą poinformowani, o obliczu rapallowsko-antyzachodnim. Wydaje się, że za kulisami odbywają się już rozmowy szeregu wpływowych dziennikarzy i publicystów, niektórych przemysłowców oraz rzeczników neutralistycznego odłamu wśród duchowieństwa ewangelickiego, których celem miałoby być scalenie kilkukcyjnych inicjatyw i powstanie nowego ośrodka którego główną orientacją byłoby szukanie dróg do porozumienia z Rosją Sowiecką.

Bohdan OSADCZUK

Najnowsza historia Polski

Skoro nie szablą, to piórem

Mam w rocznicowym szkicu pokazać, jak mi się rysowała postać, raczej, jak mi się rysowały fragmenty postaci Józefa Piłsudskiego, zrazu w wyjątkowo bliskim obcowaniu z Jego pismami, później w długotrwałych badaniach historycznych nad kolejnymi etapami jego życia. Przy takim założeniu i celu niesposób uniknąć zwierzeń osobistych.

Urodziłem się za późno w stosunku do wydarzeń; zresztą nie tylko mój wiek utrudniał wzięcie w nich udziału; dzieciństwo moje bowiem i najwcześniejsza młodość upłynęły mi z dala od ognisk ruchu strzeleckiego i szlaku bojowego Pierwszej Brygady. Wzrastałem jednak w uczuciowym pędzie do tego, co było — poznanym dopiero później — ideowym podłożem tego ruchu i jego wielobarwną treścią. I gdy z tym poczuciem więzi — później — wchodziłem, pchnięty przez los, w okres gromadzenia Jego dorobku pisarskiego i badań nad kolejnymi fragmentami Jego życiowej drogi, miałem nadzieję, że jeśli kiedyś nie mogłem szablą, to za to teraz właśnie piórem w tej „służbie dla Komendanta” wywalczę sobie prawo do miejsca w gronie tych, których On nazywał „kochanymi kolegami” i „towarzyszami broni”...

Możliwość takiej „służby piórem” otworzyła się przede mną w warunkach, które uznać muszę za nieoczekiwany i szczęśliwy przypadek. Do Polski przyjechałem na wiosnę r. 1919; po udziale w wojnie z Rosją, zostałem zawodowym oficerem artylerii. Służyłem w kilku garnizonach. Koledzy w pułkach pochodzili przeważnie z armii austriackiej, w pewnej części — z rosyjskiej; legionieści wśród nich należeli do nielicznych wyjątków i na szczeblach nie wyższych od dowództwa baterii; jedynym moim dowódcą pułku, legionistą z pochodzenia, był płk. Karol Nowak; jako dowódcę dywizji miałem we wcześ-

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

niejszym, krakowskim okresie, gen. Andrzeja Galicę. Tak tedy te osiem lat zawodowej służby „w linii” upływały mi z dala od głównych ognisk „obozu piłsudczyków”, bez zewnętrznych nawet z nimi związków i bez żadnego do nich dostępu. Osobiście — nie znałem nikogo spośród nich.

Po kilku latach służby uznałem wybór kariery wojskowej za życiową pomyłkę. Pociągał mnie ku sobie świat zgoła inny. Gromadziłem, co tylko zdobyć mogłem, z literatury historycznej i pamiętnikarskiej o powstaniu styczniowym; pracowałem nad życiem i twórczością Stefana Żeromskiego, tłumaczyłem Lwa Tołstoja i Dostojewskiego, próbowałem swoich sił w nowelistyce i pisałem powieść z tak dobrze mi znanego życia oficerskiego w małym garnizonie. Na przełomie lat 1928-1929 miałem już w swoim „dorobku” sporo artykułów, ogłoszonych w prasie, miałem też kilka pozycji książkowych, wśród nich książeczkę o Marszałku Piłsudskim, wydaną dwukrotnie w ciągu roku. Gdybym miał ją w ręku dziś — po wielu latach pracy i studiów, po wydarciu zakurzonym archiwom i pozólkłym drukom niejednej tajemnicy — patrzyłbym na tę książeczkę z mieszaniną zażenowania i wyrozumiałości.

W tym stanie rzeczy — jako jedyny „literat” w garnizonie — otrzymałem rozkaz opracowania historii wojennej pułku; po paru miesiącach grzebania się w archiwum pułkowym i dywizyjnym — wysłany zostałem do Warszawy „na dwa tygodnie”, by w Biurze Historycznym poszukać brakujących mi elementów. Zgłaszając się do Biura w kwietniu r. 1929 — z dość licznego grona pracujących w nim oficerów znałem tylko, jeszcze z Petersburga, majora Ottona Laskowskiego; był on w Biurze szefem wydziału wojen dawnych i autorem kilku poważnych prac, m.in. o bitwie grunwaldzkiej i o młodości wojskowej Sobieskiego. Wiedząc o moim zainteresowaniu epoką r. 1863 — zaproponował mi już w pierwszej rozmowie objęcie nieobsadzonego w jego wydziale „referatu powstania styczniowego”. Zgodziłem się bez namysłu. Nazajutrz zameldowaliśmy się z tym projektem u szefa Biura, generała Juliana Stachewicza.

Spotykałem się z nim po raz pierwszy w życiu; znałem oczywiście książkę jego o działaniach naszej 3-ej armii na Ukrainie w r. 1920; z książek i broszur Marszałka wiedziałem, że był oficerem sztabu w Pierwszej Brygadzie, że w r. 1919 z rozkazu Marszałka „przygotowywał na papierze” plan kwietniowej, zwycięskiej ofensywy na Wilno, że w roku 1920, w okresie decydującego manewru znad Wieprza, pracował przy boku Marszałka, jako szef Jego „sztabu polowego”; wiedziałem, że należy do nielicznej gromadki osobistych przyjaciół Marszałka; z jakichś wspomnień, legionowych czy peowiackich, pamiętałem, iż w r. 1918 był jednym z twórców planu uwolnienia Komendanta z więzienia magdeburgskiego i że w związku z tym, przebrany za „leutemanta” niemieckiego, jeździł do Berlina i w głąb Niemiec; pamiętałem, że w okresie

kryzysu przysięgowego w r. 1917 widziano go, jako młodego kapitana, rzucającego rycerską szablę pod nogi zwolennika przysięgi, płk. Januszajtisa. Już tych szczegółów wystarczało, bym patrzył nań z uczuciem o szczególnym zabarwieniu — był w moich oczach żywą częścią bohaterskiej legendy!... W chwili, gdy meldowałem się u niego z Laskowskim, był młodym jeszcze człowiekiem — zbliżał się do czterdziestki zaledwie; od kilku lat borykający się z gruźlicą, widoczne ślady tej straszliwej wtedy choroby nosił na szczupłej, bladej twarzy.

Do przedstawionej mu prośby o moje służbowe przeniesienie z pułku do Biura Historycznego ustosunkował się życzliwie; poartował z Laskowskim na temat hierarchii i pilności potrzeb w różnych wydziałach, po czym — najniespodziewaniej — zwrócił się do mnie, wypowiadając parę dodatkich uwag o mojej książeczce o Marszałku; gdy — zaskoczony — dziękując, podnosiłem błędy i braki książeczki, tłumacząc je warunkami pracy w „głuchym garnizonie”, Generał — powiedział życzliwie, że istotnie są w broszurze i błędy, i braki, ale jesteśmy przecież w początkowej fazie badań naukowych, któż zresztą nie popełnia błędów w swojej pierwszej książce? W sprawie mego przeniesienia Generał decyzji nie ujawnił, rezerwując sobie czas do namysłu. W ciągu następnych dni jednak albo sam zaglądał do pracowni archiwalnej, gdzie szukałem materiałów do historii pułkowej, albo — spotkawszy mnie w korytarzach — zatrzymywał się, by pogawędzić ze mną. Wyglądało to na egzamin mojej inteligencji; któregoś wieczoru, bodaj w przeddzień powrotu do pułku, spotkałem się z Generałem przypadkowo w teatrze; zaprosił mnie na kolację i dopiero tutaj ujawnił swoje wobec mnie zamiary: o ile chcę, to zostaną przeniesiony do Biura Historycznego, ale nie do wydziału Laskowskiego, Generał bowiem sądzi, iż z większym pożytkiem pracować mógłbym w innej dziedzinie. Dowiadywałem się więc o zamierzonej przez Generała rozbudowie i ożywieniu działalności Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski. Placówka ta stworzona została przed kilku laty; wydała dwa szczupłutkie tomiki „Wspomnień legionowych”, po długiej zaś przerwie ponowną edycję „Roku 1920” Marszałka; potem przyszedł okres całkowitego zastoju. Instytut nie posiadał ani naukowego warsztatu, ani nawet własnego lokalu; złożony był z ludzi przypadkowo dobranych, owianych niewątpliwie najlepszymi chęciami, tkwiących jednak przede wszystkim głęboko w bieżącym życiu politycznym i stojących z dala od świata nauki i jego spraw. Generał zamierzał podtrzymać tę zamierającą placówkę — rozwinąć ją w poważny warsztat naukowy, poświęcony badaniu polskiej myśli politycznej i społecznej oraz polskich walk wyzwoleniczych w półwiekowym okresie, od upadku powstania styczniowego do listopada r. 1918; gromadzi się już dokumenty, tworzy się zespoły archiwalne, zaprojektowano już wydawanie kwartalnika „Niepodległość”, planuje się szeroko pomyślaną akcję wydawniczą. Instytut w początko-

w tej fazie odrodzenia oparty byłby o lokal i naukowy warsztat Wojskowego Biura Historycznego; w doborze i na początku nielicznym gronie współpracowników Instytutu — Generał chciałby widzieć mnie; jeżeli tę propozycję przyjmuje — to Generał, bezpośrednio po powrocie z Jugosławii, gdzie się wybiera na odpoczynek, przystąpi do rozmów z Biurem Personalnym Ministerstwa Spraw Wojskowych w sprawie mego służbowego przeniesienia do Warszawy.

Po powrocie do pułku, w zrozumiałym napięciu przeżywałem tydzień za tygodniem. Dopiero w końcu sierpnia nadeszło telegraficzne wezwanie, bym jak najszybciej zameldował się u Generała. Okazało się, że Biuro Personalne „trochę formalizuje” — byłem porucznikiem w tzw. turze na kapitana; przeniesienie z „linii” do Biura Historycznego może zahamować mój awans; Generał zażądał ode mnie odpowiedzi, czy godzę się na przeniesienie, ryzykując zwłokę z otrzymaniem trzeciej gwiazdki. Bez wahania odpowiedziałem zgodą. I teraz dopiero rozstrzygnięta się sprawa całej mojej przyszłości. Generał bowiem oświadczył mi, że pierwszym wysiłkiem obudzonego ze snu Instytutu Badania Najnowszej Historii będzie zbiorowe wydanie pism Marszałka; utworzony już został „komitet redakcyjny”; mnie proponował Generał stanowisko sekretarza. Nie kryję, że propozycja ta zrobiła na mnie duże wrażenie. Podziękowałem w paru słowach. Generał w mojej obecności zatelefonował do Biura Personalnego. W ciągu paru minut sprawę załatwiono. Miałem wrócić do pułku, by przekazać jednemu z kolegów moje funkcje służbowe, zlikwidować mieszkanie, i przenieść do Warszawy rodzinę wraz z niewielkim dobytkiem.

Komitet redakcyjny, utworzony dla wydania „Pism Mów-Rozkazów” Marszałka składać się miał z trzech osób: gen. Juliana Stachiewicza, który jako szef Biura Historycznego był jednocześnie reprezentantem praw autorskich Marszałka, ministra Michała Sokolnickiego, związanego ściśle z polityczną stroną działań Marszałka od czasów rewolucji r. 1905 do początku niepodległości, będącego w tym czasie naczelnikiem wydziału historyczno-naukowego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, oraz ministra Leona Wasilewskiego, który pracował w tymże Ministerstwie, jako prezes komisji, ustalającej w terenie linię granicy polsko-rosyjskiej i polskorumuńskiej, z Marszałkiem zaś związany był przez ściśle współdziałanie w konspiracji niepodległościowej od r. 1897. Obejmowałem stanowisko sekretarza w tym Komitecie w chwili, gdy prace jego pozostawały jeszcze w fazie rozważań i pierwszych kroków w kierunku zgromadzenia materiałów. Leon Wasilewski już od kilku tygodni przeglądał bogate zbiory własne pism tajnych, odezw, broszur z okresu konspiracji; Sokolnicki przeglądał swoje archiwum; gen. Stachiewicz miał w prywatnym księgozbiórze oprócz kompletu książkowych i broszurowych prac Marszałka egzemplarze czasopism i dzien-

ników z odczytami, artykułami i wywiadami, głównie z okresu Sulejówka. Stanowić to mogło w sumie nie więcej, niż trzecią część zamierzonego wydawnictwa. Zadanie odszukania i zgromadzenia brakującej, wielkiej, reszty spadało na moje sekretarskie barki. Zadanie nie było łatwe — nie było wtedy jeszcze ani na naukowych podstawach opartego życiorysu Marszałka, ani ułamkowej bodaj bibliografii Jego prac i druków o Nim. Wkraczałem więc w tę nietkniętą jeszcze dziedzinę uzbrojony jedynie w mój entuzjazm i w oparciu o zasadnicze wskazówki członków „Komitetu Redakcyjnego”.



W tym okresie Marszałek pracował i mieszkał — prawie stale — w środkowym gmachu Generalnego Inspektoratu Armii; Jego pokój sypialny był od strony Al. Ujazdowskich, okna gabinetu wychodziły na duży, cichy dziedziniec Inspektoratu; pod oknami duży, długi balkon, zawsze — z wyjątkiem miesięcy zimowych — pełen kwiatów. Z okien pokoju, w którym pracowałem w Biurze Historycznym, widziałem Marszałka na tym balkonie często, w pewnych okresach nawet codziennie. Od czasu do czasu pokazywały się tu — wówczas jeszcze małe — Jego córeczki; w takich wypadkach Marszałek siedział w wyniesionym na balkon fotelu klubowym, obitym czerwona skórą. Zawsze była przy nim szklanka mocnej herbaty. Najczęściej jednak był na balkonie sam. Swoim zwyczajem długo, godzinami, chodził tam i z powrotem, z nieodłącznym papierosem w ręku, pochmurny, z widocznymi śladami ciężkich przemyśleń i trosk na czole.

W okresie, gdyśmy zaczęli naszą pracę nad wydaniem pism, Marszałek — przejściowo — interesował się żywiej swoją przeszłością. Wnet po rocznicowym „Wspomnieniu o Grzybowie” napisał, za pobytu na Maderze, „Poprawki Historyczne”. Od Generała wiedziałem, że Marszałek, mając już za sobą książkowe opracowanie swego słynnego marszu poprzez Ulicę Małą i „Roku 1920” — zamierzał opracować osobiście swoją wyprawę bezdańską. Od Generała również wiedziałem, że Marszałek nosił się z zamiarem napisania własnej autobiografii i wydania jej pod jakimś pseudonimem lub pod nazwiskiem jednego ze swoich najbliższych przyjaciół (zdaje się, że miał na myśli Generała), który dopiero po zgonie Marszałka miałby odsłonić tę tajemnicę. W tymże okresie — na jesieni r. 1931 — Marszałek wezwał Artura Sliwińskiego i polecił mu napisanie monografii. Ale ten żywszy stosunek do własnej przeszłości trwał krótko. Z pisania książki o Bezdańskich Marszałek zrezygnował i akta bezdańskie zwrócił Generałowi. Ze Sliwińskim — po pięciu czy sześciu rozmowach — kontakt zerwał, „machnął ręką” i wolno było wyciągnąć wnioski, iż zniechęcił się do Sliwińskiego; miał przy tym wyrazić się o nim: „To delikatniś” — który „nie obejmie

wzrokiem — myślą szlaków drapieżnego orła o wielkiej woli czynu (1)”. Sądzę też, iż Marszałek, pochłonięty sprawami państwa i może nawet przytłoczony ich ogromem, po prostu nie miał czasu na takie lub podobne „kwestie uboczne”. Toteż i do podjętego przez nas wydania pism ustosunkował się raczej zupełnie obojętnie; może przejawilo się tu duże — myślę, że nawet bezgraniczne — zaufanie do Generała — „kochanego Wicza”. Marszałek mógł mieć całkowitą pewność, że Generał pracę podjętą wykona w istniejących warunkach jak najlepiej. Meldunek Generała o przygotowywanym wydaniu „Pism-Mów-Rozkazów” przyjął z niemal milczącą aprobatą; w milczeniu wysłuchał uzasadnienia potrzeby takiego wydania; nie żądał dodatkowych szczegółów co do planu wydawnictwa, zawartej już umowy z wydawcą i ustalonej w niej wysokości honorarium autorskiego; dał wyraz zadowoleniu, że w skład komitetu redakcyjnego wchodzi Michał Sokolnicki, parę cieplejszych słów z tejże racji wypowiedział o Leonie Wasilewskim. Na pytanie końcowe: jakie miałby życzenia? — odpowiedział zrazu, że „nie ma żadnych”, po chwili jednak dodał, iż nie lubi książek w większym formacie i przez to „cienkich” — nie podobala mu się pod tym względem pierwsza edycja „Moich pierwszych bojów”. Woli książki mniejsze w wymiarach i przez to „grubsze”. To zdecydowało, rzecz jasna, o zewnętrznym kształcie „Pism-Mów-Rozkazów”, z 33 tylko wierszami na stronie (2).

Drugi wypadek naszego kontaktu z Marszałkiem w tych sprawach wiązał się z zawartością drugiego tomu pism. W archiwum P.P.S., przechowywanym wtedy jeszcze w mieszkaniu Zofii Praussowej, przy al. 3-go Maja w Warszawie, trafiłem na trzy numery „Walki” — tajnego pisemka z lat 1902-1903. Podtytuł mówił że był to „organ P.P.S. na Litwie”. Winieta tytułowa miała z prawej strony widok wileńskiej Góry Zamkowej, z lewej — na tle zalesionych pagórków i zaoranego pola — postać chłopca, w lokalnym stroju, z rozwiniętym sztandarem i napisem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”... Nie ulegało wątpliwości, iż był to odpo-

(1) Artur Słowiński, w parę lat po śmierci Marszałka, ogłosił swoje rozmowy z Nim pt. „Marszałek Piłsudski o sobie” w warszawskiej „Niepodległości” w r. 1937 i 1938 (tom XVI, str. 367-373 tom XVII, str. 23-33 i 342-353, tom XVIII, str. 195-204). Wiem, że Słowiński niektóre fragmenty rozmów uzupełnił szczegółami, uzyskanymi od innych osób, a nie bezpośrednio od Marszałka.

(2) Później, w miarę ukazywania się tomów, oprawialiśmy każdy z nich dla Marszałka w dziesięciu egzemplarzach w półskórek wiśniowy, zielony i granatowy; tak oprawione tomy zanosilem do Inspektoratu, wręczałem je adiutantowi. Nie wiem, ale być może, iż Marszałek przeglądał te tomy, może je nawet czytał, nigdy jednak, od nikogo nie słyszałem potwierdzenia dla tych przypuszczeń. Gdy kiedyś, w czasie nieobecności Marszałka, zajrzałem do Jego gabinetu, w szafie z książkami ani jednego egzemplarza pism Jego nie dostrzegłem.

wiednik tajnego „Robotnika”, redagowanego przez „towarzysza Wiktora” — Piłsudskiego w latach 1894-1900, i że tak samo, jak „Robotnik”, musiał być stworzony i wydawany przez Komendanta. Wszystkie jednak artykuły w nim były bezimienne. Oczywiście — zaalarmowałem natychmiast Leona Wasilewskiego, redaktora 2-go tomu. Razem z nim przestudiowaliśmy w mieszkaniu pani Praussowej zawartość tych trzech numerów „Walki”. Znany nam, uczuciowy, stosunek Marszałka do Wilna i ziem W. X. Litewskiego, jego, jako przywódcy P.P.S., polityczny program w stosunku do tych ziem, tematyka artykułów, styl pisarski — wszystko przekonywało nas, że mamy przed sobą gruntownie zapomniany fragment życia Marszałka i Jego pracy w podziemiu. Ale poza tym naszym przekonaniem nie mieliśmy żadnego konkretnego dowodu. Leon Wasilewski, obdarzony wyjątkową pamięcią, w tym wypadku rozkładał ręce: żadnego szczegółu przypomnieć sobie nie mógł, i tę swoją niewiedzę tłumaczył datami: pierwszy numer „Walki” wydrukowany został nielegalnie w Krakowie, w czasie, gdy przebywał on jeszcze w Londynie, numery zaś 2-gi i 3-ci wydano w partyjnej drukarni w Londynie, gdy przeniósł się już, wraz z redakcją „Przedświtu”, do Krakowa. Przedstawiłem sprawę Generałowi; zapowiedział, iż spróbuje wyjaśnić to w najbliższej rozmowie z Komendantem... Gdzieś w tymże czasie wyszedł z druku tom pierwszy „Pism-Mów-Rozkazów”. Generał uznał, iż trzeba pierwszy egzemplarz wręczyć Komendantowi osobiście. Miałem nieśmiałą nadzieję, że może uda mi się uzyskać jeśli już nie parę słów, to bodaj podpis Marszałka na egzemplarzu dla mnie. Generał nie odbierał mi tej nadziei, obiecał poprosić o to Komendanta. W wyznaczonym dniu polecił mi wziąć egzemplarze tomu i te trzy numery „Walki” — mieliśmy iść razem do Inspektoratu, choć Generał zapowiadał, że wcale nie jest pewny, czy uda mu się wprowadzić mnie do gabinetu Marszałka.

Trafiiliśmy najniefortunniej. W rozkładzie dnia Marszałka zaszła jakaś nagła zmiana. Adiutant, chyba kpt. Lepecki, zapomniał czy nie zdążył zawiadomić o tym Generała. Marszałek już wychodził — był nie w kurtce legionowej, lecz w pełnym mundurze, z orderami. Wręczony mu egzemplarz pierwszego tomu pism obejrzał, do środka nie zajrzał, podziękował krótko i położył książkę na biurku. Było jasne, iż w takich warunkach nie należy przedstawiać skomplikowanej bądź co bądź sprawy artykułów z „Walki”. Ale Marszałek zatrzymał się wzrokiem na egzemplarzach pisemka w ręku Generała, jakby pytając: „No, co tam jeszcze?”... Generał, z zastrzeżeniem że melduje się nie w porę, stwierdził, że chodziłoby o rozstrzygnięcie naszych wątpliwości. Marszałek wyciągnął rękę, obejrzał pierwsze strony każdego z trzech numerów, potem rzekł jakby w wahaniu: „Być może... Nie wiem”... i nagle, z gestem hamowanego zniecierpliwienia, rzucił egzemplarze pisemka na biurko: „To głupstwa jakieś... drobiazgi... Ja nie mam na to czasu!”...

Oczywiście, po tak niefortunnej próbie znalezienia oparcia w opinii samego Marszałka, musieliśmy zrezygnować z wprowadzenia do drugiego tomu artykułów z „Walki”. Dopiero w kilka dobrych miesięcy potem, gdy już dokładnie przejrzałem wszystkie listy Komendanta z okresu konspiracji socjalistyczno-niepodległościowej, stwierdzić mogłem, iż niejednokrotnie, w r. 1902 i 1903, informował towarzyszy z ośrodka londyńskiego o tej „Walce”; nazywał ją „Robotnikami w miniaturze”, zapowiadał też, iż „wypisze” w niej „całe swoje litewskie serce i uczucia”, a w listach późniejszych wymieniał tytuły swoich artykułów w „Walce”, nawet streszczał je, zapowiadając przysłanie ich do druku. Na takiej podstawie nie trudno już było nieomylnie rozstrzygnąć kwestię autorstwa artykułów; niestety — tom 2-gi, skupiający dorobek z lat 1903-1910, już był wydany, toteż artykuły z „Walki” opublikować mogłem dopiero w tomie „Suplementów”, wydanym w r. 1936; zajęły one w tym tomie 60 stron druku.

Wypadek trzeci wychodzi, ściśle rzecz biorąc, poza ramy spraw, związanych z wydawnictwem „Pism-Mów-Rozkazów”. W końcu grudnia r. 1930, gdy po całodziennej pracy w jakiejś bibliotece, zająłem do Biura Historycznego w ostatnim kwadransie godzin urzędowych, powiadomiono mnie, że dr Woyczyński, raczej sekretarz osobisty, niż lekarz przyboczny Marszałka, „rozbija się” telefonicznie o potrzebne Marszałkowi pamiętniki Daszyńskiego i Bilińskiego. Generał czuł się w tym okresie źle, zapewne był w Otwocku, przed zadecydowanym już wyjazdem na kuracyjny odpoczynek do Włoch. Powiedział mi więc, że mam te książki przygotować i czekać w domu na telefon dr. Woyczyńskiego. Zadzwoił późno, dobrze po północy, żądając, bym zgłosił się z książkami „natychmiast”. Pomknąłem więc taksówką do Inspektoratu. Woyczyński, odbierając ode mnie te cztery tomy, prosił, bym w pokoju dyżurnego adiutanta „począł mały kwadransik, na wszelki wypadek”, po kilku zaś minutach wrócił, oświadczając, że Marszałek każe mi wejść do Jego gabinetu. Wprowadzony przez Woyczyńskiego — zameldowałem się przepisowo. Marszałek w rozpiętej kurtce strzeleckiej siedział w fotelu przy stole, przyniesione przeze mnie książki leżały przed Nim. Wtem słyszę: „A co jeszcze napisał o mnie ten... ten Daszyński?”... Wymieniłem broszurę o „Wielkim Człowieku w Polsce”, starając się jak najwięcej określić charakter i treść tego szkicu „psychologiczno-politycznego”... Marszałek lekceważąco machnął ręką. Po chwili: „A co on jeszcze o mnie napisał?”... Wymieniłem dwie inne broszury Daszyńskiego, podkreślając, że są raczej tylko komentarzem do sytuacji politycznej kraju w okresie przed i po wypadkach majowych r. 1926. Chwila ciszy... Potem słyszę: „No, to dziękuję wam, moje dziecko”... Wyprężam się na baczność jeszcze bardziej, i w tej chwili Marszałek wstaje i powoli odchodzi do swego pokoju sypialnego... Nie

pamiętam, ale chyba nazajutrz dowiedziałem się z prasy, iż Marszałek wyjechał na dłuższy odpoczynek na Maderę.

Wrócił po trzech miesiącach, w końcu marca. I chyba nazajutrz po tym powrocie dzwonił do Biura Historycznego dr Woyczyński, wzywając Generała do zameldowania się u Marszałka. Ale Generał był we Włoszech. Woyczyński przyjął tę wiadomość jak przykrą niespodziankę, nie mogliśmy się jednak domyślić, o co mu chodzi. Sprawa wyjaśniła się niemiłowem, bo chyba nazajutrz przyszedł do mnie — do Biura — Tadeusz Hołówko, ówczesny wiceprezes Bloku Bezpartyjnego w Sejmie. Znaliśmy się osobiście z przypadkowych wprowadzeń i przelotnych, ale dość częstych spotkań u płk. Sławka, w jego ówczesnym mieszkaniu przy ul. Szopena. Hołówko, zamknąwszy się ze mną w moim pokoju, z zastrzeżeniem jak największej tajemnicy oświadczył, iż wezwany do Komendanta otrzymał spory maszynopis — rzecz napisaną przez Marszałka w czasie pobytu na Maderze. Marszałek kazał wydać to „jak najprędzej”, „natychmiast”... Były to „Poprawki Historyczne”... Dlaczego powierzał to Hołowce? Dlatego, że Stachiewiczca nie ma, Hołówko zaś, w okresie Sulejówka, pracował w „Ignisie” i tam wydawał wtedy odczyty i broszury Komendanta. Hołówko, mówiąc mi o tym, wzdychał: „Wielki to dla mnie zaszczyt, ale i zmartwienie ciężkie!”... Maszynopis, wykonany na Maderze, zapewne przez Woyczyńskiego, ma sporo błędów literowych. Oczywiście, Komendant nie myślał o takich błędach, gdy podkreślał: „Macie wydrukować wszystko, tak, jak jest, nie wolno zmienić ani jednej literki!”... „Ciężkie zmartwienie” Hołowki ma inne powody: maszynopis nie tak wielki, przeczytał go w ciągu kilku godzin; nie ma wątpliwości — Komendant w tych „Poprawkach” robi ujemny bilans stosunków swoich z Daszyńskim. Po głośnym konflikcie Komendanta z Daszyńskim, jako marszałkiem Sejmu, dziwić się nie ma czemu. Język „Poprawek” — bezwzględny i dosadny, ale mamy znacznie jaskrawsze przykłady słownictwa Komendanta. „Bieda w tym”, że Komendant — prostując błędy i nieścisłości Daszyńskiego i tą drogą, jak pisze, „odśmiecając” historię własną, — „stanowczo przeciągnął strunę”... To, co pisze, w wielu wypadkach jest zbyt jaskrawe, wydaje się też, że nie jest zbyt ściśle. Hołówko próbował już sam, ale widzi, że „nie da rady” stwierdzić, gdzie Komendant zwyczajnie się „myli”, boć pisał „Poprawki” na Maderze bez możliwości sprawdzenia dat i faktów — a gdzie „celowo przesadza dla tym większego pogwałcenia Daszyńskiego”. Pamiętam — widzę, jakby to było wczoraj — moment, kiedy Hołówko pokazywał mi w „Poprawkach” fragment, gdzie Marszałek pisał, że nie może „nie podziwiać”, jak to Daszyński „bez ceremonii” — „stale” — „obchodzi się z historią, faktami i datami”... „Drogi panie! — wołał do mnie Hołówko — mnie się zdaje, że Komendant robi to samo, ale z brakiem ceremonii znacznie większym!”... Niektóre „sprostowania” Komendanta mogą być łatwo za-

kwestionowane, pozwoli to równie łatwo podważyć całość „Poprawek” i byłoby to smakowitym żerem dla opozycji, która zapewne nie będzie zwlekać z ogłoszeniem swoich poprawek do tych „Poprawek Historycznych”. Co tedy robić? Komendant każe drukować „natychmiast”, nie pozwala zmienić „ani literki!”... kazał sobie przynosić wydrukowane egzemplarze „jak najprędzej” (3)... Zaproponowałem Hołowce, by zostawił mi maszynopis Woyczyńskiego lub by siadł obok mnie i przeczytał ze mną całość raz jeszcze. Istotnie — obawy jego były słuszne. Nie czując się na siłach wziąć tego ciężaru na swoje tylko barki i wobec nieobecności w Warszawie Michała Sokolnickiego (był w tym czasie na dłuższym urlopie na Riwierze francuskiej) — zaproponowałem Hołowce poprosić o pomoc Leona Wasilewskiego i ówczesnego majora Wacława Lipińskiego, pracującego w Biurze Historycznym nad okresem 1908-1918. Nie kilka godzin, ale parę dni i nocy grzebałiśmy się w archiwum Biura, zwykłym i fotograficznym; przekonaliśmy też adiutanta, por. Henryka Miedzińskiego, o konieczności komisyjnego otwarcia, na naszą odpowiedzialność, żelaznej szafy, gdzie Generał przechowywał dokumenty tajne i najbardziej cenne. Rezultat konfrontacji tekstu „Poprawek” z dokumentami był dość obfity. Z wielu przykładów przytoczę trzy. Zakwestionował więc Marszałek w pamiętniku Daszyńskiego opis obchodu „pierwszych Imienin w polu”, nad Nidą, w marcu r. 1915; twierdził, że Daszyńskiego w Grudczynach nie było (4). Ale w archiwum Biura znaleźliśmy fotografie, na których przy stole imieninowym Daszyński siedział tuż obok Komendanta; co gorsza — taką

(3) Hołowko zwrócił mi uwagę na fragment, który Marszałek zaczynał od słów: „Doskonale pamiętam dzień 11 listopada jako pierwszy dzień mego pobytu w Warszawie”, po powrocie z Magdeburga. Był w tym twierdzeniu niewątpliwym błąd, gdy Komendant wrócił o godz. 5-ej rano w niedzielę 10 listopada. Hołowko przyszedł do mnie najwidoczniej już po dokonanej samodzielnie próbie ustalenia ścisłej daty. Tadeusz Święcicki, który w r. 1931 był szefem Biura Prasowego Prezydium Rady Ministrów, opowiadał mi niedawno (w czasie, gdy już pisałem te fragmenty dla „Kultury”), że Hołowko przyszedł do niego z Karolem Szczapą-Krzewskim, i prosił o pomoc w wyszukaniu jakiegoś dowodu, który ustalałby niezbitcie datę powrotu z Magdeburga. Święcicki udał się do pobliskiej redakcji „Kuriera Warszawskiego” i wypożyczył od Konrada Olchowicza odpowiedni tom z oprawnych roczników pisma; stwierdzono, że „Kurier Warszawski”, który nigdy nie antydatował swoich wydań, w numerze z poniedziałku 11 listopada donosił: „Brygadier Piłsudski przybył wczoraj godz. 5-ej rano...”

(4) Daszyński w drugim tomie swego pamiętnika, na str. 208: „Poszliśmy pod wieczór do okopów nad Nidą, a Piłsudski kazał muzyce grać polskie pieśni, aby się przekonać, czy na drugim brzegu nie odezwi się w szeregach rosyjskich jakiś głos polski. Cisza była odpowiedzią na koncert. Byłem na drugi dzień na pozycji artyleryjskiej, skąd konno wróciliśmy na uroczystość imieninową Komendanta, bo był to dzień 19 marca. Musiałem najpierw z Komendantem, potem z kapelanem wypić „braterstwo” przy uroczystym obiedzie oficerskim...”

samą i podobne fotografie znaleźć można było w paru wydanych już książkach... Zakwestionował też Marszałek autentyczność dwóch swoich listów do Daszyńskiego. W jednym datowanym: „Pozycja pod Kołkami, 14 listopada 1915”, pisanym na maszynie ze wstępną uwagą: „błędy wybaczyć, bom jeszcze bardzo niewprawy pisarz na maszynie, ale uczyć się, by mieć gotowy chleb po wojnie” — wyjaśniał m.in. swój stosunek do „kwestii rekrutacji w zaborze rosyjskim” i zawiadamiał o swym zamiarze podania się do dymisji — „zwolnienia mnie z przysięgi, gdyż konsekwencje tego aktu doprowadzają mnie stale do sprzeczności z moim poczuciem honoru żołnierskiego i z sumieniem patrioty polskiego” — w drugim, pod datą: „Dubniaki, 25 lipca 1916” w odpowiedzi na prośbę Daszyńskiego o „opinię co do stosunków legionowych”, stwierdzał: „Jestem zdecydowany ustąpić, dalej nie mogę odpowiadać za pracę przed Polską i przed żołnierzami, gdyż dla dziecka jest jasnym, że na tej podstawie, jaka jest dana, nie ma ani rozwoju dla wojska, ani honoru trwania”. Autentyczność tych listów Marszałek w „Poprawkach” kwestionował w formie ostrej, bezwzględnej. Znaleźliśmy jednak w archiwum, zdaje się w żelaznej szafie Generała, oba te listy... Po paru dniach, w wyniku konfrontacji, przysłiśmy wszyscy czterej do zgodnego przekonania, że „Poprawki Historyczne” zawierają kapitalne, w sensie historycznym, relacje Marszałka w sprawie podróży Jego do Japonii w r. 1904. Jego wojskowych przygotowań przed wybuchem pierwszej wojny światowej, stosunków z Austriakami, także i w pierwszych tygodniach wojny, ponadto: „dalekiej od Krakowa fikcji” — „nieistniejącego wcale tajnego rządu narodowego” w Warszawie, stanowiska wobec rodzącego się wówczas w Krakowie N.K.N. i grupy polityków krakowsko-wiedeńskich, wreszcie — utworzonej już po wybuchu wojny „Polskiej Organizacji Narodowej” oraz pierwszych dni i pierwszych prac po powrocie z Magdeburga. Ale zgodnie też uznaliśmy, że kapitalna wartość tych stwierdzeń Marszałka może być pomniejszona i nawet podważona, jeśli się nie usunie z „Poprawek” lub nie złagodzi w nich niektórych nieścisłych zarzutów, kierowanych przeciw Daszyńskiemu. Uznaliśmy też, iż trzeba poprawić i usunąć błędy, które mogły być wynikiem pisania „Poprawek”, bez źródeł i bez książek. Jak jednak wybrnąć z wytworzonej sytuacji? Zwrócić się do Marszałka? Hołowko, po wahaniach, wziął na siebie to niewdzięczne zadanie. Do Marszałka, jeśli sam nie wzywał do siebie, dostęp był prawie niemożliwy. Hołowko jednak bardzo szybko (może Marszałek interesował się jeszcze żywo sprawą wydania „Poprawek”) mógł zameldować się w Inspektoracie. Rezultat „interwencji”? Hołowko, według jego własnych słów, wyleciał z gabinetu Marszałka „jak z procy”. Marszałek wprawdzie zrazu słuchać miał spokojnie, miał nawet pożartować: „Ciekaw jestem, co tam jacyś oficerkowie mogą przeciwstawić temu, co ja piszę”, gdy jednak Hołowko najostrożniej i najogólniej wystąpił z pyta-

niem, czy Marszałek nie uznałby potrzeby pewnych zmian w tekście — reakcja była niemal gwałtowna: „Dość!... Co to za cenzura!... Macie natychmiast wydrukować wszystko, tak, jak napisałem! Nie wolno wam zmienić ani jednej literki, ani jednego przecinka!... Drukować natychmiast!... I ma pan jak najprędzej przynieść mi gotowe egzemplarze!”...

Hołówko, zmartwiony, zgnębiony, przybity, poszedł jeszcze razem ze mną do płk. Sławka, ówczesnego premiera; ale Sławek, zawsze literalnie pojmujący wypowiedzenia czy polecenia Marszałka, i w tym wypadku uznał, że jeśli Komendant chce i każe — to upaść muszą wszelkie inne racje i względy... Z całym tym epizodem wiązał się dla mnie dodatkowy przykry moment: musiałem, za wiedzą Hołówki i za zgodą Sławka, zaalarmować Generała, przedstawić mu sprawę, spowodować jego wcześniejszy powrót do Warszawy. Wiedziałem, że nagły przeskok z włoskiej wiosny nad Lago di Como do chłodnej jeszcze i wietrznej Warszawy, był dla Generała niewskazany; nie miałem jednak wątpliwości, że nie wolno mi dopuścić do tego, by sprawa rozstrzygnęła się w nieobecności Generała, nie tylko ze względu na wagę sprawy, ale już choćby dlatego, że był on reprezentantem praw autorskich Marszałka.

Generał, ściągnięty z Włoch, musiał ze dwa tygodnie spędzić w łóżku. W drodze powrotnej w dusznym sleepingu, pod opieką małżonki, kilkakrotnie zmieniano mu butlę z tlenem. Być może musiał też, po powrocie, czekać, aż Komendant go wezwie. Nawet dla niego dostęp do Marszałka nie był łatwy. Zameldował się u Komendanta gdzieś w drugiej połowie kwietnia. Mówił mi zaraz potem, że „Komendant uparł się, złościł, o żadnych zmianach w tekście słyszeć nie chciał”... Ale — mówił mi Generał — „po raz pierwszy w życiu nie wykonam rozkazu Komendanta!”... Bezwzględnie też przystąpił do pracy, każąc i mnie oderwać się od wszelkich innych zadań. Zbadaliśmy raz jeszcze najdokładniej cały tekst „Poprawek”, fragment po fragmencie. Generał zdecydował: zachować jak największy szacunek dla tekstu, ale błędy takie, jak data powrotu z Magdeburga — poprawić; fragmenty inne — złagodzić. Tak np. w wypadku Imienia w Grudznach kategorię zaprzeczenia Komendanta zmienić na warunkowe: „nie przypominam sobie”, i dodać: „możliwe, że jakąś jedną chwilę widziałem się z panem Daszyńskim w tych Grudznach”. Fragmenty inne, jak te z listami Komendanta, Generał postanowił usunąć (5). Takich usuniętych fragmentów było kilkanaście i stanowić mogły w sumie chyba 25% całości. Tekst, tak poprawiony, Generał kazał mi przepisać na maszynie. Gdy zameldowałem się z gotowym — Generał raz jeszcze przejrzał i porównał potem w zadumie patrzył w okno, na porosły zieloną trawą raczej

(5) Konsekwencją takiego obciążenia „Poprawek” była decyzja Generała, by nie dawać w naszym wydaniu pism tych dwóch listów Komendanta, choć autentyczność ich nie ulegała wątpliwości.

plac, niż dziedziniec wewnętrzny, wreszcie powiedział: „Mówiłem już panu niedawno, że Komendant zburczał mnie kiedyś za to, że z powodu mego stanu zdrowia nie może powołać mnie na szefa Sztabu!... Ładnie bym wyglądał, gdybym i z wydaniem pism utknął na początku drogi!... A zdarzyć się to może!... No, ale trudno! Jest to wbrew woli Komendanta, ale uważam to za swój obowiązek wobec Niego... Niech pan idzie do drukarni i niech to zrobią tam jak najprędzej”... Po chwili dodał jeszcze: „No, i czekajmy burzy!... Komendant może odebrać mi reprezentację Jego praw autorskich, może pozbawić mnie szefostwa w Biurze Historycznym, może wyrzucić z wojska!... Trudno!... Niech pan idzie do tej drukarni!” (6).

Było to już chyba w początku maja. Drukarni kazałem zrobić szybko, ale potem nie przynaglałem, broszurowanie trochę przyhamowałem. Gdy wreszcie z gotowymi egzemplarzami przyszedłem do Generała, obejrzał je bez radości, z jaką witał każdy wydany tom: „No, cóż, poruczniku, niech pan zaniesie te egzemplarze tam, do Komendanta! No, i czekajmy gromu!”... Gromu jednak nie było. Marszałek bowiem wyjeżdżał do Pikiliszek. Egzemplarze autorskie wręczyłem jednemu z adiutantów, tak, jak robiłem to z każdym kolejnym tomem pism. Tym razem jednak — przyznaję się do ciężkiego grzechu! — na własną rękę, bez upoważnienia Generała, poprosiłem adiutanta, nic mu nie mówiąc o powodach, by egzemplarzy „Poprawek” do Pikiliszek, w ślad za Marszałkiem, nie wysyłał. Nie wiem, czy adiutant prośbę moją spełnił. Nie wiem też, czy Marszałek zajrzał kiedykolwiek do tej niewielkiej książeczki...

Początkowy podział pracy redakcyjnej nie trwał długo. Leon Wasilewski jeszcze przed rozpoczęciem wydawnictwa oświadczył, że jest od paru lat w opozycji do rządów Marszałka, jest także członkiem Rady Naczelnej P.P.S., walczącej z Marszałkiem w Sejmie, toteż musi ograniczyć swój udział w naszych pracach tylko do dwóch pierwszych tomów, obejmują-

(6) Maszynopis Woyczyńskiego Generał zachował u siebie; z jego polecenia zrobiłem dwa pełne odpisy — jeden z nich dla mnie. Od chwili, gdy zacząłem pracować nad wydaniem „Pism-Mów-Rozkazów”, robiłem ręcznie pisane notatki z rozmów, spotkań i wydarzeń z zakresu mojej pracy, o zasięgu coraz szerszym; notatki te wraz z wszelkimi innymi moimi zbiorami musiałem pozostawić w Warszawie w r. 1939. Z tych moich zbiorów ocalał znikomy ułamek; zachowało się parę strzępów notatek także w sprawie „Poprawek”? Nie tracę nadziei, że mój egzemplarz pełnego tekstu „Poprawek” ocalał, ale nie mając go jednak w tej chwili, nie mogę przytoczyć wszystkich usuniętych przez Generała fragmentów. Ograniczyłem się — na razie — do paru przykładów, co do których mam całkowitą pewność; innych — choć pamiętam je — nie daję. Uplęnęło już 30 lat od tych chwil!...

cych socjalistyczno-niepodległościowy okres działalności Marszałka, jako „towarzysza Wiktora” i „Mieczysława”. P. Michał Sokolnicki, w trakcie naszej pracy nad tomem trzecim, opuścił Warszawę, zrazu łącząc podróż służbową zagranicę z dłuższym odpoczynkiem we Francji, potem zaś obejmując stanowisko posta Rzeczypospolitej w Kopenhadze. Generał Stachiewicz czuł się źle, coraz gorzej i coraz dłuższe okresy spędzał w podwarszawskim Otwocku. W tych warunkach cały ciężar pracy nad wydaniem pism spadał w gruncie rzeczy na moje barki. Musiałem już nie tylko odszukiwać i gromadzić materiały, ale i pisać do każdego tomu wstęp i komentarze. Ciężar stawał się tym większy, że wnet po wyjeździe p. Michała Sokolnickiego do Kopenhagi, musiałem objąć po nim — w wyniku porozumienia płk. Becka z gen. Stachiewiczem — wydział historyczno-naukowy w M.S.Z. Wypadło mi więc dwoić się i troić, bo choć w umowie między Generałem a płk. Beckiem zastrzeżone było, że praca nad pismami Marszałka jest głównym moim zadaniem i pierwszym obowiązkiem, to jednak i wydział w Ministerstwie pochłaniał mi co najmniej 5-6 godzin dziennie. Przygotowując do druku tom czwarty, obejmujący okres pierwszej wojny światowej, kwestie dla mnie trudne wyjaśniałem w drodze korespondencji z p. Michałem Sokolnickim; pan Leon — mimo swej „opozycji”, formalnej tylko, wspierał mnie swoimi radami. Oparciem głównym jednak był dla mnie Generał. Co parę tygodni zgłaszałem się u niego — najczęściej w Otwocku. To on kierował moim wysiłkiem, przeglądał to, co zrobiłem, korygował, uzupełniał, wyprowadzał mnie nieraz z koła, w którym gubiłem się bezradnie (7). Wszystko było wtedy o wiele trudniejsze, niż dziś. Dobrze pamiętam np. jak długo, jak mozolnie borykaliśmy się z Generałem, by ustalić dokładnie datę dymisji Komendanta — 26 września 1916 r.

Kiedy indziej znowu Leon Wasilewski, obdarzony wręcz fenomenalną pamięcią, zaalarmował mnie, iż przypomina sobie, że w lecie r. 1914, „tuż przed wybuchem wojny”, Komendant udzielił sensacyjnego wywiadu Józefowi Hłasce, działaczowi i publicyście narodowo-demokratycznemu; wywiad ten miał być ogłoszony w wileńskim „Kurierze Litewskim”; pan Leon dodawał, że „pamięta dokładnie” chwilę, kiedy listonosz przyniósł mu egzemplarz tego wileńskiego dziennika — miało to być w kilka dni po zabójstwie arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, „w upalny dzień”, kiedy wraz z rodziną przebywał w małej miejscowości górskiej w Krakowskim; pan Leon „przypomniat” sobie nawet i taki szczegół, że z chmur, które nagle się zbiegły, runęła na wieś straszliwa ulewa; lekturę „Kuriera Litewskiego” przerwały krzyki służącej, która wysłana przed

(7) W pracy nad tomem ósmym z pomocą przyszedł mi Kazimierz Świtalski, ówczesny marszałek Sejmu; z jego polecenia Biblioteka Sejmuwa przygotowała materiały, potrzebne mi dla przypisów do tego tomu. Nad wydaniem tomu IX (okres 1926-1930) współpracowałem z Antonim Anuszem.

kwadransiem do sklepiku, nie mogła dostać się do domu, bo prawie wyschnięty strumyczek przekształcił się nagle w spieniony potok nie do przebycia. Tak barwny obraz owej chwili zamykał pan Leon stwierdzeniem, że wywiad, podpisany przez Hłaskę jego pełnym imieniem i nazwiskiem, ukazał się pt. „Rozmowa z panem Józefem”, bez nazwiska Piłsudskiego, ze względów dyskrecjonalnych. Uzbrojony w takie szczegóły orientacyjne, udałem się do Wilna z głębokim przeświadczeniem, że będę mógł tego samego dnia wrócić do Warszawy z nielada zdobyczą. Szukałem jednak — w olbrzymich, nieporęcznych tomiskach „Kuriera Litewskiego” — ponad tydzień. Znalazłem ostatecznie, wywiad jednak wyłonił mi się nagle z ram zewnętrznych, zgola innych, niż narzucone mi przez pana Leona. Hłasko rozmowę swą z Komendantem ogłosił nie po zamachu Principa w Sarajewie, lecz w r. 1913, nie w upalnym lipcu, ale w mroźny zapewne dzień lutowy, nie pt. „Rozmowa z panem Józefem”, lecz w długiej serii wrażeń pod wspólną nazwą „Z wycieczki za kordon”. Co więcej — Hłasko podpisał się tu nie nazwiskiem, lecz nieznanym mi pseudonimem „J. Książczyk”, Komendant zaś w treści wywiadu występował nie jako „pan Józef”, lecz jako „pan Marian”, co wyrastało z potrzeby dyskrecji, i było jakby odległym echem dawnej znajomości Hłaski z pierwszą żoną Komendanta, panią Marią, córką znanego kiedyś w Wilnie lekarza dr. Koplewskiego.

Przytoczyłem dwa te przykłady nie dlatego, by wykazać, jakiej pracy i ile czasu wymagała prowadzona przez nas „rekonstrukcja” rozsypanego nie wiadomo gdzie dorobku pisarskiego Marszałka. Przytaczając te przykłady, chcę stwierdzić, jak słuszne było przekonanie Generała o pilnej i palącej potrzebie zbiorowego wydania pism. Gdyby nie nadzwyczajna pamięć Wasilewskiego — nie tylko wywiad Hłaski, ale i wiele artykułów Marszałka z okresu przed r. 1914 utonęłoby na zawsze w przeszłości. Podobnych wypadków przytoczyć mógłbym więcej. Ludzie starsi wymierali, nie jeden z nich przed śmiercią naprowadzał nas na ślad innych artykułów Marszałka (8).

(8) W trakcie tych badań stwierdzałem, kiedy i jak powstawały „powiedzenia”, nigdy nie wyszły z ust Marszałka, a Jemu przypisywane. Nigdy i nigdzie nie mówił Marszałek, iż „Polska skazana jest na wielkość”. To tylko u Kazimierza Wierzyńskiego („Wyrok pośmiertny” w zbiorze „Wolność tragiczna”) mówi Marszałek: „Skazuję was na wielkość!”... O ile pamiętam, to chyba Boy-Zeleński pisał kiedyś, jak to pewne zwroty-powiedzenia z kart literatury przechodzą do codziennego życia, i jak to z czasem ludzie nie chcą wierzyć, że słynne: „Świętości nie szargać!” pochodzi z „Wyzwolenia” Wyspiańskiego, a przysłowiowe: „Murzyn zrobił swoje” nic wspólnego z Ameryką nie ma, gdyż pochodzi z „Fiesca” Fr. Schillera. W stosunku do Marszałka jednak zdarzały się dość liczne wypadki złośliwości czy nawet karlej zjadliwości. Nigdzie więc i nigdy nie powiedział Marszałek, jakoby w listopadzie r. 1918 „wysiadł z tramwaju na przystanku Niepodległość”. Powiedzenie to wymyślił i puścił w obieg Adolf Nowaczyński, który też w licznych, szy-

Chciałbym tu też, bodaj w największym skrócie, przedstawić jedną z głównych zasad naszego wydawnictwa. Ograniczyliśmy się w pierwszej edycji pism tylko do tej części dorobku pisarskiego Marszałka, która gdziekolwiek ogłoszona została drukiem; do rękopisów nie sięgaliśmy; ograniczenie takie było zbyt mechaniczne, bardzo zewnętrzne i nieistotne. Każdy z członków naszej redakcji mógłby bez trudu wymienić szereg prac Marszałka, które nie zawierając elementów tajemnicy państwowej, czy wojskowej, przez przypadek tylko nie zostały opublikowane. Zapadła więc decyzja, że każdy z nas będzie ogłaszał w czasopiśmie rękopiśmienne prace Marszałka, dotąd nigdzie nie drukowane. Stwarzało się w ten sposób podstawę do włączenia tej nieznannej części dorobku jeśli nie do kolejnych tomów, to do zamykającego całość tomu „Suplementów”. Początek w tym kierunku zrobił Generał, ogłaszając w „Przeglądzie Historyczno-Wojskowym” cykl wykładów Komendanta z r. 1912, jako „Zarys historii militarnej powstania styczniowego”. Nieco później — w „Niepodległości” — umieścił Generał większy szkic o „Polskich planach mobilizacyjnych przed wojną światową” z obszernymi wyjątkami ze złożonego w r. 1913 sprawozdania Komendanta. Pan Leon, wydając tuż po zgonie Marszałka fragmenty swoich wspomnień, pt. „Józef Piłsudski — jakim go znałem”, włączył do nich, na moją prośbę, a wbrew potrzebom konstrukcyjnym, kilka listów Marszałka z r. 1919. Ja — z polecenia Generała — ogłosiłem w czasopiśmie warszawskich, głównie w „Wiadomościach Literackich” i w „Drodze”, kilka odczytów, listów i sporo przemówień Marszałka. Z polecenia Generała jeździłem do Kijowa, Charkowa, Moskwy i Leningradu; znalazłem tam stenograficzne sprawozdanie z procesu oskarżonych o nieudany zamach na cara Aleksandra III-go, z obszernymi zeznaniami przed sądem braci Bronisława i Józefa Piłsudskich. W bibliotece im. Lenina w Moskwie odszukałem genewskie pisemko grupki rewolucjonistów rosyjskich „Swoboda” z ogłoszonym tam, w

długich artykułach fałszował powiedzenia Marszałka przez obcięcie początku lub końca zdania. Nigdy też i nigdzie nie nazwał Marszałek Polaków „narodem idiotów”. Wymyślił to i utrwalił najpierw w „Robotniku”, potem w wydaniu książkowym swej pracy „Pierwsze piętnastolecie Polski Niepodległej” (Warszawa, 1933) Adam Próchnik (pseudonim „Henryk Swoboda”), pisząc na str. 231, że Marszałek powiedział to miał na jeździe legionistów w Kaliszu. Nieprawda!... Ogłaszając tekst sfałszowany (nawet ujęty w cudzysłów!) Próchnik liczył mógł na bezkarność — Marszałek wydał stanowczy zakaz ścigania przestępstw, popełnianych wobec Niego przez nieuczciwych publicystów, prokuraturę zresztą, zapewne nie zbyt dobrze znającą teksty Marszałka, mylić mógł użyty przez Próchnika cudzysłów!... Sprawę tego fałszerstwa wyjaśnić może w pewnej mierze fakt, znany mi od Leona Wasilewskiego, że Próchnik w kołach P.P.S. uchodził za jednego z nielegalnych synów Daszyńskiego. Sam Próchnik dawał mi to do zrozumienia w okresie, gdy wszedł w ostry konflikt — na tle życiorysu Daszyńskiego, wydawanego przez Akademię Umiejętności — z „Polskim Słownikiem Biograficznym”.

r. 1902, obszernym artykułem Józefa Piłsudskiego o „Samo-władczych gospodarzach Polski (9). Wszystkie te — opublikowane przez nas — fragmenty z dorobku pisarskiego Marszałka wraz z kilkoma odnalezionymi z opóźnieniem pierwodrukami artykułów i przemówień, skupiłem w tomie dziesiątym „Suplementów”.

W trakcie pracy nad dwoma pierwszymi tomami pism musiałem często zaglądać do archiwum P.P.S. Tworzyło się ono — już w końcu ub. wieku — w Londynie, gdzie istniała zagraniczna ekspozytura partii. Z czasem archiwum to przewieziono do Krakowa i oddano pod opiekę Daszyńskiemu, który jako „nietykalny” poseł do parlamentu wiedeńskiego dawał całkowitą gwarancję bezpieczeństwa. Po wybuchu wojny, gdy w listopadzie r. 1914 Kraków został zagrożony przez armię rosyjską, archiwum przewieziono do Zakopanego i oddano pod opiekę kurującego się tam Ksawerego Praussa. Po r. 1918 — już w wolnej Polsce — archiwum znalazło się w warszawskim mieszkaniu Praussów. Gdy w r. 1930 przychodziłem do pracy — archiwum spoczywało w kilku olbrzymich szafach, wypełniających cały pokój. Prauss już nie żył, wdowa po nim, pani Zofia, posłanka na Sejm, umiała łączyć i godzić swój myślę, że szczerzy i głęboki sentyment dla Marszałka z burzliwym temperamentem polityczno-partyjnym. W jej mieszkaniu przy al. 3-go Maja odbywały się wiecznie — dzienne i nocne — zebrania i dyskusje partyjne. Patrzyłem na to z ciekawością, ale obojętnie, bo cóż to mogło mnie obchodzić? Gorzej, iż stwierdzałem brak jakiegokolwiek opieki nad archiwum. Któregoś dnia jakiś partyjny dziennikarz, w mojej obecności, włożył do szafy uprzednio „na parę dni wypożyczoną” teczkę z dokumentami i ku mojemu zdumieniu „wypożyczył” inną, wcale o zgodę pani Zofii nie pytając. W tymże czasie, odwiedzając chorego na serce, zaprzyjaźnionego ze mną Antoniego Anusza ujrzałem na stoliku przy jego łóżku paczkę listów Piłsudskiego z r. 1897. Na moje zdziwienie skąd to ma? — odpowiedział najpocziwiej, iż „pożyczył” to sobie na kilka dni z archiwum u p. Praussowej. Uznałem ten stan rzeczy za niedopuszczalny. Przedstawiłem sprawę Generałowi z wnioskiem, że należy to bezcenne archiwum przenieść z mieszkania p. Praussowej do naszego Instytutu przy Biurze Historycznym. Generał wniosek mój zaaprobował, polecając mi załatwić sprawę bezpośrednio z panią Zofią. W rozmowie ze mną uznawała sama, że z archiwum dzieje się źle, ale: „oddać je

(9) Do Rosji pojechałem w marcu r. 1933; był to okres przemijającej poprawy w stosunkach polsko-rosyjskich. W tym samym mniej więcej czasie kpt. Lepecki był na Syberii, odwiedzając miejsca wygnania Marszałka. W lecie r. 1933 niejaki Hanecki z komisariatu oświaty w Moskwie był w Warszawie i złożył na ręce płk. Sławka 578 dokumentów, pochodzących z archiwów carskiej Ochrazy.

wojsku?"... Bała się: socjaliści podniosą wielki krzyk!... Po paru dniach udało mi się ją przekonać. W obawie przed gniewem partii zaproponowała, iż na parę dni wyjedzie z Warszawy i ja mam sprawę załatwić w czasie jej nieobecności. Postawiła mi termin: 30 kwietnia (był to rok 1930) — sądziła, iż łatwiej mi będzie „porwać” archiwum z jej mieszkania w czasie, gdy oba odłamy partii będą zajęte przygotowaniem do obchodu święta majowego. W umówionym dniu — po telefonicznym stwierdzeniu, że „pani wczoraj wyjechała” — wziąłem z Generalnego Inspektoratu Armii duże auto ciężarowe i 12 żandarmów. Po przybyciu na al. 3-go Maja paru żandarmów zostawiłem przy aucie, paru innych porozstawiałem na klatce schodowej, z resztą wszedłem — ku niemałemu przerażeniu służącej — do mieszkania pani Praussowej. Służąca została na parę godzin „aresztowana” w tym sensie, że nie pozwalałem jej opuścić mieszkania; żandarmi na schodach nie dopuszczali nikogo z zewnątrz. Pracowaliśmy szybko. W ciągu kilku godzin, za dwoma nawrotami auta, całe archiwum, łącznie z rozebranymi szafami, przewiozłem do gmachu Generalnego Inspektoratu. Bardzo zmęczony — połknąwszy coś przy bufecie w jakiejś knajpie — pomknąłem autem do Otwocka. Generał kazał zawiadomić natychmiast pana Leona Wasilewskiego. Biedny pan Leon przyjął wiadomość niemal jak „nie-szczęście”. „Co pan zrobił, co pan zrobił!”... Uspakajałem go, zapewniając, że Generał gotów jest przyjąć przedstawicieli partii i ustalić z nimi warunki opieki nad archiwum. Po kilku dniach zjawili się Leon Wasilewski i Tomasz Arciszewski. Ściągnąłem na tę konferencję i panią Praussową. Ustalono, że Instytut nasz przyjmuje archiwum jako depozyt partii. Leon Wasilewski poniecha swojej pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, przejdzie w stan nieczynny i zakontraktowany zostanie jako współpracownik Instytutu z głównym zadaniem opieki nad archiwum. Ja miałem z panem Leonem uporządkować je i zastosować metody konserwacyjne, niezbędnych zaś na to środków dostarczyć miał nasz Instytut.

Od tej chwili zacząłem wchodzić coraz głębiej w świat podziemia — konspiracji socjalistyczno-niepodległościowej. Archiwum zawierało wszelkie druki partyjne — tajne krajowe i londyńskie, ulotki, pisma, broszury, książki, ponadto zaś tysiące listów wszystkich ówczesnych działaczy Podziemia. Wyodrębniłem przede wszystkim listy Józefa Piłsudskiego z okresu 1893-1908 i zacząłem je wraz z panem Leonem opracowywać i przygotowywać do druku (10). Za jego też namową

(10) Druk tych listów z naszymi komentarzami rozpoczęliśmy w maju 1935 w „Niepodległości”, w zeszycie 30-tym z fotografią Marszałka w żalobnej obwódce. Odtąd każdy zeszyt „Niepodległości” zawierał po kilka lub kilkanaście listów Marszałka. Druk ich przerwała wojna. Zdążyłem (Leon Wasilewski zmarł prawie nagle 10.XII. 1936) wydrukować 128 listów, zbliżając się w druku (nr 55 „Niepodległości”) do końca roku 1898. Przygotowaliśmy zaś do druku listy do r. 1908 włącznie.

rozpocząłem gruntowne badanie okresu rewolucyjnego 1904-1908, przede wszystkim zaś dziejów Organizacji Bojowej P.P.S., znanej wtedy w Polsce chyba tylko z tego, co pisali o niej Żeromski, Daniłowski, Strug, bo i prac pamiętnikarskich było wtedy jeszcze mało, a prace badawczo-historyczne, nie nad całością, tylko nad fragmentami, policzyć można było na palcach jednej ręki. W archiwum znalazłem sporo materiałów, ale i braki były olbrzymie, już choćby dlatego, że w warunkach konspiracyjnych i rewolucyjnych nie można było utrwać na papierze wielu momentów. Wypadło mi więc luki, istniejące w źródłach archiwalnych, uzupełniać przez zwrócenie się osobiste do kierowników i uczestników ruchu, żywych świadków i nawet twórców zdarzeń. Poznałem dobrze wszystkich, którzy jeszcze żyli. Zdążyłem wydrzeć, zanim odeszli, niejedną prawdę; nie wymieniam ich tu — byłyby to litanie nazwisk bardzo długa. Ograniczę się do tych, którym zawdzięczałem najwięcej: Władysław Dehnel, Wacław i Stefania Sieroszewscy, Tytus Filipowicz, Wanda Filipowiczowa, Maria Montwill-Mirecka, Aleksandra Zagórska, Aleksander Prystor i Walery Sławek (11)

Generał żywo interesował się tymi moimi pracami. W okresach, gdy przychodzić mógł do Biura, często zaglądał do

(11) O pani Aleksandrze Zagórskiej wypadnie mi wspomnieć w tym szkicu, w dalszych fragmentach, niejednokrotnie. Współpraca moja w tej dziedzinie z płk. Sławkiem trwała kilka lat; najpierw udzielił mi relacji dla okresu Organizacji Bojowej i swojego w niej udziału; później zdołałem namówić go do opracowania pamiętnika. Bardzo zajęty pracami politycznymi i państwowymi — zażądał mojej „pomocy”; polegała ona na tym, że przeważnie w niedzielę rano lub późnym wieczorem, nieraz nocą, wzywał mnie do siebie telefonicznie (najpierw: ulica Szopena, później al. Szucha). On opowiadał jakiś fragment, ja notowałem, konfrontowałem później z literaturą i dokumentami, przynosiłem mu te elementy; po poprawkach i uzupełnieniach, przeważnie drobnych, bo pamiętałem wszystko dobrze, wspólnie nadawaliśmy fragmentowi treść i formę ostateczną. Tak opracowałem z nim duży okres — od dzieciństwa na Ukrainie i gimnazjum w Niemirowie aż do r. 1917. Zrobiłem trzy egzemplarze maszynopisu, „mój” spłonął w ogniu Powstania Warszawskiego; z dwóch egzemplarzy, jakie wręczyłem Sławkowi, przynajmniej jeden musiał ocalać. Gdy stwierdziłem, że H. Jabłoński w książce swej „Polityka P.P.S. w czasie wojny 1914-1918” (Warszawa, 1958) powołuje się na „nieudrękowane pamiętniki” Sławka i przytacza z nich kilka fragmentów — zwróciłem się do przyjaciół w kraju o wyjaśnienie. Odpowiedzieli: „Zapytaj się o pamiętnik Sławka, na który powołuje się Jabłoński. Jest to niewątpliwie Twoje opracowanie. To, co piszesz o nim, pokrywa się z treścią, z tą tylko różnicą, że posiadany przez Instytut Pamięci Narodowej egzemplarz był doprowadzony nie do r. 1917, lecz do przygotowań do niedoszłej od skutku wyprawy mozyrskiej (w r. 1909). Maszynopis otrzymał Instytut od... skąd on to otrzymał — nie wiem... Po likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej pamiętnik Sławka wraz z całym archiwum i biblioteką Instytutu został przejęty przez Zakład Historii Partii”.

„mego” archiwum, nieraz godzinami czytał dokumenty, zwłaszcza listy Marszałka, często również wypytywał mnie o moje zdobycze w zbieraniu relacji do okresu Organizacji Bojowej. Któregoś dnia — pamiętam, w sobotę, w listopadzie r. 1931, polecił mi przyjść do siebie, do mieszkania, „jutro w niedzielę, o piątej popołudniu”. Podkreślił, że chce tej rozmowie ze mną nadać charakter jak najbardziej prywatny: „Jeśli pan chce, proszę przyjść jutro do mnie w ubraniu cywilnym”... Gdy nazajutrz, po zameldowaniu się, usiadłem w fotelu pod piętrzącą się do sufitu czarną szafą z książkami, Generał, po wymianie kilku zdań o sprawach bieżących, oświadczył mi nagle, iż zamierza powierzyć mi opracowanie jednego z zasadniczych momentów z życia Komendanta; byłby to „wstępny krok”. Generał sądzi, że pracę badawczą nad życiową drogą Komendanta powinienem traktować jako swój główny cel, i na okres dłuższy. „Na razie — mówił do mnie — opracuje pan jeden z epizodów, potem może jakiś inny... później napisze pan wielką monografię o Komendancie”...

Zaskoczony — bez słów patrzyłem Generałowi w oczy.

— „No, cóż? zgoda?”

— „Panie Generale, bardzo bym chciał, ale się lękam”...

— „Czego?”

— „Ogromu zadania”...

— „Jest pan młody, ma pan jeszcze całe życie przed sobą”...

W odpowiedzi powołałem się na „Poprawki Historyczne”, gdzie Marszałek w przedmowie stwierdzał, iż wszystkie napisane o Nim w Polsce książki dają Jego, Piłsudskiego, „najczęściej” Mu „nieznanego”. „Jakaś podobizna bez podobizny” — pisał Marszałek — „jakaś często mała głupia, która nie wiadomo dlaczego i po co stała się centralną figurą najważniejszego dla Polski okresu”...

— „Tak! — odpowiedział Generał — Komendant uważał, że tylko On sam mógłby ściśle skontrolować własne życie. Ale — ma pan archiwum, ma pan stopy nieznanego, nietkniętych dokumentów... Niech pan tam przede wszystkim szuka prawdy, pełnej prawdy o Komendancie...”

„...Oczywiście, grzebiąc się w archiwach, w tych „popiołach przeszłości”, spotka się pan nieraz z trudnym dla siebie problemem, czy jakaś prawda dojrzała już do ujawnienia... Nie o Komendancie tu myślę, tylko o ludziach, którzy stanowili lub stanowią Jego otoczenie. Tu poczucie taktu podpowie panu, jak ma pan postąpić. Ja panu w miarę swoich sił pomogę. Muszę też ostrzec pana, że na drodze, na którą pana popycham, spotka się pan nie tylko z ogromem zadania. Wypadnie panu — w wyniku szukania prawdy — rozbić niejedną narosłą, utrwaloną już legendę. Na pewno znajdą się ludzie, którzy, przykładając własną miarkę pojęciową, będą domagali się od pana, by nie ujawniał pan pewnych momentów. Na pewno znajdą się ludzie, którzy w drodze perswazji, nacisków lub siłą

swojej pozycji w dzisiejszym życiu Polski będą próbowali narzucić panu ich własny punkt widzenia, ich własną ocenę i może ich własne spekulacje. Niech pan naciski takie uchyla z całą bezwzględnością... Wypadnie panu stoczyć niejedną walkę, wypadnie przeżyć niejedną ciężką chwilę. Niejedna burza — uprzedzam — rozpęta się nad pańską głową, niejeden grom uderzy w pana... Dopóki żyję — pomogę panu, osłonię (12).

Zgodziłem się... Generał wyszedł na parę chwil z gabinetu. Wrócił z butelką i kieliszkami.

— „Z tej butelki, która ma już dużo lat, wypiliśmy z panem po kieliszku niedawno, gdy przyszedł pan do mnie z pierwszym egzemplarzem wydanego przez nas tomu pism. Obecnie czuję się gorzej... pan wybacz, pić mi nie wolno, ale wolno usta umoczyć...”

Bezpośrednio po tym Generał sięgnął po leżącą na biurku teczkę z dokumentami.

— „Są to — mówił — akta bezdańskie. Te same, które pan kiedyś nosił do Belwederu dla Komendanta. Ale Komendant niedawno zwrócił mi je, oświadczając, że zrezygnował z pisania własnej książki o tej wyprawie. Zapytałem Komendanta, co mam z tym robić? Wzruszył ramionami... Zapytałem, czy mogę dać to do opracowania jednemu z oficerów Biura Historycznego? Machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: A co mnie to obchodzi!... Wobec tego oddaję te akta panu... Niech pan napisze książkę. To na początek pana drogi ku prawdzie o Komendancie...”

Wyprawa bezdańska, przygotowywana w ciągu dziewięciu miesięcy, a zrealizowana we wrześniu r. 1908 w formie akcji zbrojnej na eskortowany przez załogę wojskową pociąg pocztowy na małej stacji kolejowej pod Wilnem, była tym mocnym akordem, jakim Józef Piłsudski zamykał kilkuletni okres działań Organizacji Bojowej i stwarzał, przez zdobycie pieniędzy, pierwszą podstawę dla prac przygotowawczych do wystąpienia zbrojnego w wypadku wybuchu wojny europejskiej. W kilka miesięcy po tej akcji, w początku r. 1909, w Krakowie, utworzona została „komisja specjalna”, złożona

(12) W trzy lata po tej rozmowie napisałem pierwszy tom biografii Marszałka (373 strony), obejmujący okres od urodzenia w Zulowie do aresztowania w Łodzi w lutym 1900 r. Maszynopis przed oddaniem do druku przedstawiłem Generałowi. Gdy po przejrzaniu go dał swoją zgodę na druk, poprosiłem go, by pozwolił mi zadecydować mu ten tom. Zgodził się, aprobując też przedstawiony mu projekt dedykacji. Niestety, książka wyszła z druku w parę miesięcy po jego zgonie. Zaaprobowaną przez niego dedykację musiałem zmienić w treści o tyle, ile było to konsekwencją jego zgonu. Dedykacja, wydrukowana w tomie, brzmi: „Pamięci Generała Juliana Stachewicza, Zwierzchnika-Przyjaciela, który w ciągu pięciu lat najściślejszej z nim współpracy i nawet w ostatnim — przedzgonnym — pożegnaniu nie skąpiąc najświetlejszych rad, najcenniejszych wskazówek — uczył mnie łamać przeszkość, zmuszał sięgać coraz głębiej, kazał wreszcie trwać niezmiennie tam, gdzie leży najpiękniejsza legenda — Prawda o Komendancie”.

z Al. Prystora, Michała Sokolnickiego i Gustawa Daniłow-
skiego. Komisja ta zebrała obszernie — „protokolarne” —
sprawozdania trzynastu uczestników wyprawy bezdańskiej (13)
— Piłsudskiego, Sławka, Prystora, Al. Szerbińskiej (później
małżonki Marszałka), T. Arciszewskiego i in. Do tych spr-
awozdań uczestników dołączony był rosyjski akt oskarżenia w
sprawie Czesława Świrskiego i innych, aresztowanych przez
Rosjan w związku z tą sprawą. Sprawozdania te pomijały
pewne kwestie drobniejsze milczeniem, o wielu innych mówiły
z zachowaniem zasad konspiracji, toteż gdy po upływie prawie
25 lat przystępowałem do ich opracowania, wymagały pew-
nych wyjaśnień, pewnych uzupełnień. Pokonałem te trudności
przez uzyskanie relacji wszystkich żyjących jeszcze uczestni-
ków wyprawy, z jedynym wyjątkiem Marszałka. Książkę, w
druku liczącą ponad 200 stron, napisałem dość szybko, w ciągu
kilku miesięcy. Już w trakcie pisania przekonałem się, jak wiele
słuszności zawierały przewidywania i ostrzeżenia Generała.
Spotykałem się z próbami narzucenia mi szczegółów niezgod-
nych z prawdą, lub interpretacji, których nie mogłem uznać
za słuszne. Były też — przeplatane przeróżnymi argumentami
— próby i naciski, bym poniechał pisania i wydania książki.
Miałem duże trudności z oddaniem książki do druku, mimo,
że Generał uznał ją za napisaną dobrze, a największy znawca
tej epoki, pan Leon Wasilewski, i w rozmowach ze mną, i póź-
niej w paru ogłoszonych recenzjach określał moją pracę jako
„zjawisko niepowszednie” i zachęcał mnie do dalszych studiów
i publikacji (14). Z rozpoczęciem druku jednak miałem olbrzymie
trudności. Przełamałem je dzięki poparciu Generała i płk.
Sławka, który też znał pracę moją z maszynopisu. Z pewnych
względów zależało Sławkowi na ukazaniu się takiej książki.
Gdy więc — po licznych targach i paru bardzo ostrych zatar-
gach — stanęło na tym, że o losie mojej książki zadecydują

(13) W akcji wzięło udział 17 bojowców; paru z nich — Czesław
Świrski i Jan Fijałkowski — zostali aresztowani przez Rosjan bezpośrednio
lub wkrótce po akcji; od dwóch innych komisja sprawozdań nie otrzymała,
chyba dlatego, że nie było ich w Krakowie.

(14) Pan Leon Wasilewski, mając na myśli wywierane na mnie dys-
kretne, nie wychodzące jeszcze na zewnątrz naciski, pisał w swej
recenzji: „Odzywają się głosy, że drukowanie takich prac jest nie na
czasie, gdyż mogą one natchnąć źródłami żywioły antypań-
stwowe — komunistów czy terrorystów ukraińskich”... „Obiektywna nauka
historyczna nie może liczyć się z przemijającymi względami polityki bie-
żącej”... Ale ponadto: „dziś, kiedy po wielkiej wojnie technika walki
zbrojnej wszelkiego rodzaju jest popularyzowana w licznych, dostępnych
dla każdego podręcznikach wojskowych, nie potrzeba wcale szukać w opra-
cowaniach, poświęconych akcjom bojowym dawno minionych dni, technicz-
nie bardzo prymitywnym”... „Sądzę, że praca Wł. Pobóg-Malinowskiego,
poświęcona szczegółowemu przedstawieniu niesłychanych trudności, kolo-
salnego ryzyka i niezmiernie słabych szans udania się takich akcji, powinna
oddziaływać raczej zastraszająco na wszystkich kto by chciał czerpać
przykłady z tego źródła”...

ma ówczesny premier, Aleksander Prystor, zapracowany i nie-
mający czasu Sławek uzyskał obietnicę premiera, iż poświęci
mi parę dni w trakcie swej kuracji w Druskienikach. Którejś
nocy, we wrześniu r. 1932, Sławek obudził mnie telefonicznie:
„Ala właśnie wyjechał”... Pomknąłem rannym pociągiem do
Druskienik i tam, w ciągu paru dni przeczytałem Prystorowi
na głos całą swoją książkę. Zastrzeżeń co do druku nie miał
— był to niewątpliwie wpływ płk. Sławka. Wydawcą moim był
przemily major Stanisław Thun, kierownik Główniej Księgarni
Wojskowej w Warszawie. Tuż przed ukazaniem się książki
ogłosiłem dłuższe z niej fragmenty — z fotografiami głównych
uczestników — w „Wiadomościach Literackich” (nr 49 z 20.
XI. 1932) — zajęło to dwie pierwsze olbrzymie strony tygod-
nika. Jednocześnie z ukazaniem się tego numeru — p. Gry-
dzewski udekorował odpowiednio okno wystawowe swej admi-
nistracji przy ul. Królewskiej: z prawej strony u góry po dwie
fotografie — z r. 1908 i 1932 — Marszałka, Sławka, Arciszew-
skiego i Prystora, w środku — czerwony sztandar P.P.S. z
datą wyprawy bezdańskiej, pod sztandarem — na ziemi —
uszkodzony dwugłowy orzeł carski, z boku latarnia kolejowa,
przy niej mnóstwo rozsypanych rubli carskich. Książka ukazała
się w kilka tygodni potem. Recenzje pełne były uznania i po-
chwali. Radował mnie ten pierwszy mój sukces. Ale niebawem
padł „grom”. Pani Maria Jehanne Wielopolska wystąpiła
przeciwko mnie w „Kurierze Porannym” z długą serią arty-
kułów, próbując zarzucić mi, że nie dotarł do innych znanych
jej źródeł i że wskutek tego albo popełniłem liczne „błędy”,
albo dałem obraz niepełny i wypaczony. Artykuły pani Wie-
lopolskiej były niepoważne. Co gorsza — to, co być miało jej
„argumentacją” w napaści na mnie, słyszałem z pewnych ust
jeszcze przed oddaniem książki do druku. Wiedziałem aż nadto
dobrze, kto za p. Wielopolską stoi i kto jej piórem przeciw
mnie kieruje. Generał radził mi przeczekać, nie odpowiadać
nic. Burza minęła. Ale po kilku tygodniach p. Wielopolska
wystąpiła z nową — bardziej napastliwą — serią artykułów w
tymże „Kurierze Porannym”. Zwróciłem się do Generała o
radę co mam robić? Był bardzo poruszony: „Poruczniku —
powiedział do mnie — bez względu na to, kto za tą panią stoi,
niech pan odpowie mocno. Bardzo mocno”... Napisałem wów-
czas obszerny artykuł pt. „Bezdana i burza nad moją głową”.
Z gotowym maszynopisem przyszedłem do redaktora, Wojcie-
cha Stpiczyńskiego. Ten wahał się. Znałem go jednak już od
paru lat, zdołałem przekonać. Artykuł mój ogłosił, poprzedza-
jąc go krótkim „wstępem od redakcji”, która miała uznać za
„swoją naturalny obowiązek udzielić gościny zaatakowanemu
pisarzowi”. „Powiedzmy szczerze i otwarcie” — pisałem —
pani Wielopolska i ci, których jest narzędziem w ataku na
mnie, „całą działalność rewolucyjną Piłsudskiego” uważają w
głębi ducha za „ciężką gaffę”, za „wielkie, smutne nieporo-
zumenie”, i chcieliby działalność tę ukryć pod grubą, nieprze-

niknioną zasłoną”... „Po co pisać o Grzybowie, o Rogowie i Bezdanych, po co wywoływać z przeszłości i stawiać przed oczy społeczeństwa postacie Okrzei, Barona, Mireckiego i Kopisia — przecież w tejże, nieco dalszej tylko przeszłości, są Giniatowicze i Rymszowie!... Po co mówić o bombach i brownin-gach, po co opisywać napady na kasy i pociągi, skoro mamy pod ręką strzały i kołczany, zbroje, szyszaki, pancerze, miecze, skoro mamy chorągwie skrzydlate i szarże nieporówna-ne?... „Po co pisać o Bezdanych, skoro są Kielce i Łowczó-wek”... Pani Wielopolska, w swoich napaściach na mnie wy-kazując płytkość swej wiedzy o Organizacji Bojowej, chcia-łaby, aby Bezdany przepadły raz na zawsze gdzieś w mrokach przeszłości, by upiornym widmem nie wdzierają się do świata, gdzie dźwięczą fanfary Kielc i Łowczówka, Marcinkowic i Kostiuchnówki, listopada 1918 i sierpnia r. 1920”... Po takim moim artykule odpowiedzi ze strony pani Wielopolskiej już nie było (15).



Wkrótce potem przystąpiłem do pracy nad wielką mono-grafią o Marszałku. Było parę powodów, dla których podej-mowałem ten wysiłek wcześniej, niż zamierzałem; pewną rolę odegrał w tym Janusz Jędrzejewicz, ówczesny minister oświa-ty. W pracy tej już na początku spotykałem się z legendami, stworzonymi przez broszurkowych „biografów” — Wacława Sieroszewskiego, Wincentego Rzymowskiego, Stefana Poma-rańskiego i w ślad za nimi powtarzanych i nawet rozbudowa-nych we wszystkich niemal książkach o Marszałku. Biorę parę przykładów:

Broszurkowi „biografowie” powtarzali, w ślad za Rzy-mowskim, że jakąś tam prababką Marszałka była Oleńka Bil-lewiczówna z sienkiewiczowskiego „Potopu”. Przewertowałem mnóstwo źródeł — spotykałem w nich wielu Billewiczów: ród stary, możny, o niemałych zasługach w lokalnych dziejach ich bliższej ojczyzny. W żadnym ze źródeł jednak, a więc i w rze-czywistości historycznej, nie znalazłem śladów istnienia Hera-klusza Billewicza „pułkownika lekkiego znaku”, ani Toma-sza „miecznika rosieńskiego”, ani Kmicicowej Oleńki „łowczan-ki upickiej”... Nie istnieli — wymyślił ich Sienkiewicz...

Wypadek drugi: błąkała się uparcie w „biografiach” Marszałka legenda, że jakiś Jego pradziad brał udział w wy-prawie wiedeńskiej Sobieskiego, jako „towarzysz litewskiej chorągwi pancernej”. Wystarczyło jednak zajrzeć do dziejów tej wyprawy, by stwierdzić, że wskutek opozycyjnego czw wro-giego stosunku panów litewskich do Sobieskiego — oddziały litewskie wybierały się na tę wyprawę, jak przysłowiowa sójka

za morze; ciągnęły też „pod Wiedeń” w tempie powolniejszym od złotwigo i dobiegły dopiero do Krakowa, gdy było już po odsieczy wiedeńskiej. Opóźnionych pchnięto na Węgry, gdzie walczyli nie z Turkami, lecz z Węgrami, próbującymi pod wo-dzą Tokoly'ego oderwać się od berła Habsburgów. W walkach tych zresztą — na Słowaczczyźnie — zostawili po sobie sławę niezrównanych łupieżców, o czym i król Sobieski pisał do swej Marysieńki w listach, pełnych obaw przed niebezpieczeństwem, jakie grozić może ziemiom Korony w trakcie powrotnego prze-marszu Litwinów z Węgier.

W pracy swej jednak spotykałem się z legendami o faktach i postaciach bliższych w czasie. Taka np. Teodora z Butlerów, babka Marszałka ze strony ojca, w broszurkowych „biogra-fiach” była typową dla owych czasów matroną: w czarnym stroju na znak żałoby po powstaniu, w wypadkach przyjazdu do wileńskiego domu Piłsudskich, zasiadać miała przy kominku, otoczona wieńcem wnuków, zasłuchanych, bo opowiadała im o przebiegu obu powstań na Litwie. W rzeczywistości — była to pani bardzo energiczna; po śmierci męża, Piotra, prowa-dziła gospodarkę w rodzinnym Poszuszwiu, przyjazdy jej do Wilna wywoływały w domu Piłsudskich niezwykle poruszenie, coś w rodzaju lekkiej paniki, nie tylko z racji jej energicznego charakteru. Chłopcy — starszy Broniś i młodszy Ziuk — ani myśleli siadać u jej kolan przy kominku, ale starali się w czasie jej wizyt przebywać jak najwięcej poza domem, a nawet nocować gdzie indziej, u krewnych lub znajomych. Rozbijanie legendy o babce Teodorze nie było dla mnie wtedy konieczno-ścią. Ostatecznie — mogłem całą tę sprawę pominąć na razie milczeniem. O wiele cięższe trudności miałem z ojcem Marszał-ka. „Biografowie” zdołali narzucić i utrwalić piękną sylwetkę: — „uczony agronom”, „gospodarz ambitny i przedsiębiorczy”, budujący w swoim Zułowie fabrykę drożdży, potężną gorzel-nię, niemiejszą wędzarnię, wielkie młyny i tą drogą przekształ-cający swe olbrzymie posiadłości ziemskie na „jeden z pierw-szych na Litwie ośrodków przemysłowych”. W rzeczywistości — ukończył on szkołę rolniczą w Horyhorkach; żona — Maria z Billewiczów — przyniosła mu w posagu, oprócz kilkuset tysięcy rubli w banku, majątki, liczące razem prawie 10 tysięcy hektarów. Skutki reformy o wywłaszczeniu włościan i kłęski powstania styczniowego dla wielu dworów były ciosem zabój-czym. Majątek Piłsudskich był zbyt duży, toteż skutki te żad-nego wpływu nań nie wywarły. Katastrofę spowodował ojciec swoją gospodarką — eksperymentował, próbował realizować niedojrzałe pomysły, wznosił niepotrzebne budynki i budowy ich do końca nie doprowadzał, zakupywał najdroższe maszyny, ale stały bezużytecznie, rdzewiały, ulegały zniszczeniu, bo nie potrafił nauczyć fernali obchodzenia się z tymi zamorskimi nowinkami. Dla gorzelni, wybudowanej wielkim kosztem, i pu-szczonę w ruch, nie przygotował niezbędnych zbiorników, a że i domowe rondle, miednice, kociołki nie wystarczały, więc pe-

(15) Odpowiedź moją na napaść p. Wielopolskiej W. Stpiczyński ogłosił w „Kurierze Porannym” nr 342/1933.

dzony z kartofli spirytus wsiąkał po prostu w ziemię. Żona jego, a matka Marszałka, wyzierająca z każdego dokumentu i z każdego świadectwa jako postać duchowo bogata i piękna, dla dzieci przyjaciół wierna, pełen subtelnych wyczuć i głębokiego zrozumienia nie mieszała się zrazu do straszliwej gospodarki męża; nie było to w zwyczajach epoki, zresztą zdrowie miała słabe, a wątłe siły wyczerpywały obowiązki wobec dzieci, których wydała na świat dwanaścioro. Otwarty się jej oczy, gdy mąż ciężko zachorował, a jej wypadło wziąć na swoje barki ciężar spraw majątkowych. Próbowwała ratować sytuację, ale w lecie r. 1874 spadła klęska pożaru. Dzień był upalny i wietrzny, ojca w domu nie było, bo wyjechał do Wilna, zabrawszy ze sobą większą część fornali, którzy mieli sprowadzić świeżo zakupiony olbrzymi kocioł. Spłonęło wszystko. Rodzina po tej klęsce przeniosła się do Wilna. Ojciec ratował się pożyczkami, ale wszystko szło ku ruinie majątkowej. O tym, do jakiej sytuacji doprowadziła rodzinę gospodarka ojca niech powie fakt, że w Wilnie wypadało zmieniać mieszkania na coraz mniejsze, gorsze i tańsze; gnębiły cały dom kłopoty z dzierżawcami, nieliczne terminy banków, wizyty Żydów, pożyczających pieniądze na lichwiarski procent. W r. 1881 doszło do tego, że posiadacz olbrzymich i przedtem świetnie prosperujących włości, musiał sprowadzić z Żułowa kilka koni, kunić kilka bryczek i wysłać je — dla zarobku — na miasto, jako dorożki. Ta przykra prawda o ojcu wyzierała ku mnie z każdego niemal dokumentu, zwłaszcza z dziennika Bronisia i późniejszych nieco, syberyjskich, listów Ziuka. Dla przykładu przytoczę tu fragmenty nigdzie dotąd nie opublikowanego listu syberyjskiego Marszałka. W liście tym, pisanym w Irkucku, 21 lipca 1890 r., zwracał się Ziuk do jednego ze swych krewniaków:

....Ja niedawno podawałem prośbę do Ministerstwa, by mnie pozwolili na dwa lata, które mnie zostają do przebycia na Syberii, przenieść się pod nadzór do Rosji dla zarządu majątkami. Do podania podobnej prośby skłoniły mnie następujące powody. Jak wiesz sam, baćka mój nie odznacza się rządnością, a co główna... (wyraz nieczytelny) w wyborze środków, chciałem więc po przybyciu do kraju baćkę usunąć, a samemu wziąć się do pracy, nie chcę, by odpowiedzialność za koniec naszych majątkowych interesów spadła na mnie, gdyż baćka rządzi, mając moją plenipotencję. Lecz odpowiedź z Ministerstwa przyszła odmowna, nie ma więc co i mówić o tym. Lecz nie pozostawiłem tej myśli i teraz przyszedłem do przekonania, że najlepiej byłoby dla mnie wydzielić moją część zupełnie, takim sposobem mógłbym zawsze część jakkolwiek zachować w razie krachu pozostałego dobra. Sam ja nie mogę wziąć się za to i potrzebuję człowieka, który by mnie zamienił. Nie znam dokładnie warunków naszych i nie wiem, czy mógłbym mieć jakkolwiek dochód z tego, co otrzymałem przy wydziale, (zresztą chcę wydzielić sobie i część należną Bronisiovi, ma się rozumieć zrobić to można tylko nieoficjalnie), Bronis bowiem przebywał w tym czasie na katordze sachalińskiej. „Nie mogę więc — pisał dalej — wprost komukolwiek proponować podobne zajęcie, gdyż nie wiem czy mogę dać jakiegokolwiek wynagrodzenie (sic!) za pracę. Ale przyszło mi do głowy zaproponować tobie, kochany Wiciuku, zając się

tą sprawą, to jest jeżeli znajdziesz, że można z tym cokolwiek urządzić i że człowiek, który się tym zajmie, może mieć jaki taki dochód, to chcę ciębie, kochany Wiciuku, prosić wziąć ode mnie plenipotencję i wydzieliwszy moją część i Bronisia, zarządzać nimi. Teraz muszę list skończyć. Napiszę zaś za kilka dni obszerny list o tym, list ten zapewne otrzymasz pierwej, niż niniejszy dojdzie do rąk twoich. No, bywaj zdrow, serdecznie cię całuję, twój Ziuk". Po podpisie: „Rodzinie pozdrowienia załączam kolegom kłaniaj" ... (1).

Gdy zaczynałem swoją pracę nad monografią o Marszałku, Generał wręczył mi dziennik Bronisia Piłsudskiego z lat szkolnych. Bronis o rok starszy od Ziuka, ale chodzący z nim przez parę lat do tych samych klas gimnazjum wileńskiego, w dzienniku swym, z właściwą mu dokładnością, zapisywał w ciągu kilku lat, dzień po dniu, wszystko, co się działo w domu, szkole, wśród kolegów i znajomych. Całość składała się z kilku grubych zeszytów szkolnych. Generał, wręczając mi ten dokument, robił jedno tylko zastrzeżenie: niech mi poczucie taktu podpowie, co z tajemnic rodzinnych pozostawić jeszcze w ukryciu;

Oto garstka cytat:

...Ziuk, według Bronisia, często „uciekał” z lekcji, dlatego, że „były nudne”, albo dlatego, że w sposób zbyt brutalny godziły w jego uczucia narodowe, i to mimo przestroż Bronisia, że jest to „niebezpieczne” i że można za to porządnie „oberwać”... Przestrogi brata nie skutkowały, bo Ziuk był zawsze „ryzykant”... Niejednokrotnie „sadzano” Ziuka do „karceru” — aresztu szkolnego — lub zatrzymywano po lekcjach i za karę zamykano w pustej klasie. Za co? A no, raz zaczęło się od „uderzenia w kark Przegalińskiego”, bo nieopatrznie ubliżył Bronisiovi, a skończyło na zupełnie „porządnej bitwie”... Bronisia do „rozpaczy” nieraz doprowadzało zachowywanie się Ziuka w czasie odrabiania lekcji w domu: z początku ziewał, później śmiał się i „dziwaczył”, wreszcie „bić się” zaczynał z kolegą Buszem. „Zawsze — wdychał Bronis — lepiej uczyć się we dwóch, jak we trzech, a tym bardziej, gdy trzeci taki, jak Ziuk”... Na rosyjski system szkolny — z panującą w nim metodą deptania osobistej i narodowej godności chłopców — Ziuk, według Bronisia, reagował zależnie od okoliczności: na nabożeństwa uroczyste w dni galówkowe w cerkwi nie chodził — albo zostawał w domu, albo prowadzony przez nauczyciela z całą klasą — znikał nagle w jakiejś bocznej uliczce. W r. 1883, w dniu imienin następcy tronu, pójść musiał, ale krzyża prawosławnego, podsunętego mu przez popa, nie pocałował, mimo, że — jak to notował Bronis — nauczycieli pełno było dookoła. W tymże roku na bal szkolny z powodu rocznicy koronacji cara nie poszedł, chociaż przez gospodarza klasy został

(1) List ten doręczyć miała adresatowi wracająca z wygnania syberyjskiego panna Leonarda Lewandowska — o niej piszę niżej i cytuję listy Marszałka do niej.

imiennie wyznaczony. W wypadkach polskiego święta narodowego czy kościelnego zostawał w domu, przed karą zaś zastępował się „chorobą”, lub zgoła „brakiem spodni”, bo „krawiec Mordchel nie dotrzymał terminu”... Gdy na pytanie: „Dlaczego nie można mówić między sobą (w szkole) po polsku? — nauczyciel Focht rzucił gniewnie i pogardliwie: *Etakoj czelowiek, takoj bolszoj, a tołku malo!* — *wy żriotie russkij chleb, polzujetieś wsiemi prawami russkawo grażdianina i nie chotitie gorowiti po ruski*” (17) — bracia odpowiedzieli mu wymownym milczeniem, a później, po wyjściu „pedagoga” z klasy, dali wyraz oburzeniu, w ostrej wymianie zdań z kolegami-Rosjanami wykazując bezpodstawność panowania rosyjskiego w Wilnie i w Polsce i nie krępując się wcale obecnością „kolegów” Otrubiszina i Charachorkina, solidaryzujących się z „pedagogiem” i nie cofających się przed denuncjacją.

Broniś, którego pech nieporównany prześladował przez całe życie, wzdychał często: „Szczęście Ziuka z niczym nieporównane, i to ciągle, bez żadnej przerwy!”... Bo gdy „uciekał” z lekcji, „udawało mu się” i to „podwójnie”: gdyż i w szkole nie było przykrych konsekwencji, i na ulicy spotkał kogós miłego... Gdy lekcji nie umiał — wzywano go do tablicy często w chwili, gdy dzwonek, rozlegający się na korytarzu, zapowiadał przerwę. Odrabianiu lekcji poświęcał czasu niewiele, na egzamina chodził, umiając „zaledwie połowę” materiału, zawsze jednak takie pytania „wyciągnął”, że wracał z czwórka lub nawet z piątką! Wypracowania zwykle „najstaranniej” odpisywał, zaglądając do zeszytu brata, i w rezultacie nierzadko miał stopnie lepsze!... Zdarzało się jednak, że za takie odpisywanie piększyła się w dzienniku dwójka, a nawet — „pałka”. Zdarzały się i poprawki na jesień, „szczęście” jednak nie przestawało się uśmiechać — Ziuk świadectwem maturalnym pochwalić się mógł już w osiemnastym roku życia; Broniś mimo niewątpliwych zdolności i rzadko spotykanej pilności — ugrzązł w klasie szóstej, zmieniać musiał szkołę w Wilnie, ósmą klasę zaś kończyć w Petersburgu, gdy „szczęśliwy” Ziuk był już na uniwersytecie w Charkowie...

„Szczęście” dopisywało Ziukowi nie tylko w szkole. Zarówno w rodzinie, jak i w całym otoczeniu cieszył się znacznie większym uznaniem i powodem. Czytał „znacznie mniej”, niż Broniś, a jednak w oczach wszystkich uchodził za „większy autorytet”, za „takiego, co więcej umie i wie”... Nie inaczej było i z powodem u panien, zwłaszcza u pewnej czarnej Stefci i jasnej Zosi. O „zwycięstwach” jednej, o „klęskach” drugiej strony decydowały różnice w usposobieniu: Broniś, typowy Żmudzin, nieruchliwy, poważny, skupiony, nieśmiały często usuwał się w cień sam, Ziuk — żywy, wesoły, zawsze

(17) Tekst rosyjski u Bronisia; po polsku: „To ci dopiero człowiek! — taki duży, a sensu mało! Zrecie przecież chleb rosyjski, korzystacie ze wszystkich praw obywatela rosyjskiego, i nie chcecie mówić po rosyjsku!”...

pełny inicjatywy, umiał skupić, a raczej bezwiednie skupiał uwagę wszystkich tak w poważniejszej dyskusji, jak i w beztroskiej zabawie. Pewnego dnia zaimponował wszystkim znajomością Mickiewicza i Słowackiego, przytaczając z pamięci długie fragmenty utworów; kiedy indziej — „do łez rozmięszyl”, pokazując, „jak kto tańczy”... Na tym tle dość często rodziły się przelotne „burze”. Oto któregoś dnia na hucznym baliku w rodzinnym kółku Ziuk — „sławny w Wilnie tancerz i mazurzysta” — korzystając z nieuwagi brata, zabrał mu jego „dame” i tańczył z nią „z ogromnym zapalem” walca, po walcu polkę, po polce — mazura, a gdy z kolei Broniś, wrócił jakimś cudem do swoich praw — Ziuk „zaprotestował”: usiadł w sąsiednim pokoju i przez dłuższy czas odmawiał udziału w dalszej zabawie. Czasami, wieczorem, już leżąc w łóżku, próbowano wyświetlić niemiłą sytuację; przebieg rozmowy znowu zależał od „humoru” Ziuka — zdarzało się, że zamykał ją od razu jakimś lapidarnym zdaniem, nieraz jednak „otwierał duszę” — mówił o „wadach” swego charakteru, stwierdzał, że istotnie „źle” czy „niemądrze” postąpił. „Burza” zniknęła bez śladu, na najbliższe przynajmniej dni. W ogóle — w stosunkach między braćmi górowała ponad wszystkim miłość gorąca i głębokie przywiązanie — śpieszyli sobie z pomocą w każdej sytuacji; wspomniane już „uderzenie w kark Przegalińskiemu” nastąpiło w momencie, kiedy Broniś miał wszelkie podstawy do myślenia, że jego stosunki z Ziukiem są „niestychanie naprężone”...

Ucisk rosyjski w szkole, niski poziom nauczania — oto powody utworzenia tajnego kółka pod nazwą „Spójnia”. Założone wiosną r. 1882, liczyło zrazu 16 członków; prenumerowano pisma, kupowano książki, zbierano się na „sesje”. Po przeczytaniu jakiegoś fragmentu z pism czy z książki rozpoczynała się „dyskusja”. O tej „Spójni” opowiem gdzie indziej więcej. Tu stwierdzę tylko, że najwięcej czasu poświęcano sprawom Polski, jej przeszłości i możliwościom wyzwolenia, w drodze nowego powstania zbrojnego; rozprawiano jednak namiętnie o „pochodzeniu człowieka”, o stosunku jego do Boga (religia potrzebna jest tylko „ludziom bez rozumu i wykształcenia”), rozstrzygano przeróżne kwestie polityczne i społeczne, w ogóle reformowano i przebudowywano świat z młodzieńczym zapalem, ze szczerą wiarą. Niekiedy młode namiętności wybuchaly z taką siłą, z takim przekonaniem broniono jednego, a zwalczano inny pogląd, że mało brakowało do przekształcenia się uroczystej „sesji” w zupełnie „porządną bitwę”. Tak było np., gdy kolega Przegaliński, uważany za „liberała”, winę upadku Polski przypisał wyłącznie szlachcie. Broniś w takich wypadkach robił, co tylko mógł, by uspokoić „wzburzone umysły”. W ogóle młody temperament wyładowywał się nieraz na „sesjach” w formie, nie licującej z „powagą chwili”, ani z tajemnicą zebrania. Oto np. w chwili czytania „trudnego” do zrozumienia artykułu z „Przeglądu Tygodniowego” ktoś ziewnął,

ktos odpowiedział na to złośliwą uwagą, tu i ówdzie rozległ się śmiech i nagle poważna dotąd gromadka wpada w dziki ruch — pada z hałasem wywrócona etazerka, tłuką się szklanki i talerzyki, na których gościnny gospodarz zebrania podał ciastka i herbatę. Broniś, w takich chwilach zgorzony, oburzony, wychodził do domu, Ziuk natomiast czuł się świetnie!... Zresztą — początkowy udział Ziuka w „Spójni” był nikły — Broniś notował, że Ziuk „często” na „sesje” nie przychodził — wolał czytać sam. Nierzadko, w godzinach, kiedy Broniś z kolegami wpychał świat na nowe tory — Ziuk spacerował sobie po Święto-Jerskiej, siedział u ciotki, czytał Stefci i jej matce Mickiewiczą i Słowackiego lub mówił z nimi o wszystkim i o niczym. Poważny, stateczny Broniś próbował wpływać na „lekkomyślnego” brata, w którym widział jednego z tych, co to — zamiast przyjść na „sesję” — „latają za pannami, jak puch po wietrze”. Zwrot przyszedł w r. 1884, kiedy „lekkomyślny” Ziuk miał lat 16 i pół. Dokonano wtedy w „Spójni” reformy organizacyjnej. Wraz z tą reformą Ziuk zmienia się nie do poznania; być może — wpłynęła na to bolesna, głęboko odczuta katastrofa: śmierć ukochanej matki. W każdym razie od jesieni r. 1884 Ziuk wchodzi w robotę kółka „po uszy”, poświęca mu się niemal całkowicie, wykazuje przy tym tyle inicjatywy, operuje tak wielkim zasobem energii, że w krótkim czasie zdystansował i Bronisia, i wszystkich kolegów, zajął bezapelacyjnie czołowe miejsce. Wódz objawił się wtedy po raz pierwszy.

Ktoregoś dnia — nie pamiętam: może w ostatnich tygodniach życia Marszałka, może raczej wnet po Jego zgonie — otrzymaliśmy z panem Leonem paczkę syberyjskich listów Marszałka. Przyniosła je zamieszkała wówczas na Żoliborzu starsza pani; wręczając je — prosiła o to tylko, by nie ogłaszać ich przed jej śmiercią. Paczka zawierała 35 listów z lat 1890-1893; dwa z tych listów pisane były do Stanisława Landy'ego, jeden — zacytowany już przeze mnie wyżej — do krewniaka w Wilnie, w sprawie gospodarki ojca, jeden do ciotki Celiny, wszystkie inne, a więc 31, do Leonarda Lewandowskiej.

Parę wyjaśnień wstępnych: Stanisław Landy należał do pionierów ruchu socjalistycznego w Polsce; aresztowany przez Rosjan, został w czerwcu r. 1879 skazany wraz z Wacławem Sieroszewskim, za udział w gwałtownym proteście więźniów w cytadeli warszawskiej przeciwko zamordowaniu uwięzionego robotnika Józefa Bajtego — na 12 lat katorgi, zamienionej później na zesłanie. Nie zdołam dziś ustalić, za co i na jaką karę skazane zostały żona Landy'ego, Feliksa z Lewandowskich, oraz jej siostra Leonarda. Ta ostatnia pewien okres zesłania spędziła w Kireńsku, gdzie „pokutowała” i dwudziestoparoletni Józef Piłsudski. Leonarda Lewandowska przebywała w Kireń-

sku do 19 marca r. 1890; z Kireńska udała się, na ostatnie tygodnie zesłania, do Irkucka (18); stąd miała jechać do Warszawy, ale przebywała zrazu krótko w Orle, potem w Odesie (19). Z listów Piłsudskiego do niej (nazywał ją Leosią, kiedy indziej Olesią) — nigdzie dotąd nie drukowanych, przyciętą tu parę fragmentów:

Tunka (pod Irkuckiem) 5.XI.1890:

„...Myśląc o tym czasie, gdy powrócę do domu, nieraz nie mogę sobie przedstawić, jak też się urządzę, byłoby ma się rozumieć bardzo dobrze, gdyby nie trzeba było osobiście walczyć o byt, starać się o kawał chleba, takie życie mogłyby dać majątki, gdy (by) one zostały w całości do mego powrotu, a to jeszcze nie wiadomo, w przeciwnym razie absolutnie nie wiem, za co się wezmę, nie mogę sobie przedstawić ani jednego zajęcia, gdzie byłbym, jak w domu, wszak nie dawanie lekcji, zbyt to paskudna praca, a tylko to zdaje się umiałbym robić bez wszelkiego przygotowania. Ma się rozumieć, można marzyć, tak, jak ja marzę, o pracy literackiej, ale i do tego trzeba się poduczyć wiele czego. W ogóle — powtarzam — praktycznie w kraju nie mogę siebie wyobrazić, i to mnie trochę straszy. Ma się rozumieć, ja wierzę w swoje siły i zdolności, ale z drugiej strony któż w nie nie wierzył, a pomimo to, jak często spotykamy tzw. „nieudaczników”. Ot, będzie facecja, gdy ostatecznie nie znalazłszy sobie odpowiedniej mnie pracy i przez to przekonawszy się, że zupełnie w kraju niepotrzebny, przyjdę do przekonania, że jestem na miejscu jedynie w Syberii w roli „prestupnika”, przynajmniej jest to zupełnie określone i jasne położenie. No, ale co o tym mówić, wszak to jeszcze tak daleko ten powrót do kraju, to przyszłe życie”...

Tunka, 21 stycznia 1891 r.:

„Z ostatnią pocztą otrzymałem list od Zuli, pisze mi o różnych rzeczach, pomiędzy innymi i o stanie majątkowym. Według jej opisanja wychodzi to nader smutnie, do tego stopnia, że wcale bym się nie dziwił, jeżeli (by) na nowy rok spotkał nas krach majątkowy. Paskudna to sprawa, gdyż zaraz po przyjeździe do domu trzeba będzie myśleć o chlebie, o zajęciu. Mam pewien plan na to, ale cóż, kiedy sam często nie wierzę w możebność ziszczenia podobnego planu, a jeżeli ja przy silnej wierze we własne siły, czym się odznaczam, niewielkie na ten plan pokła-

(18) Wynika to z listów Piłsudskiego do niej: poznał ją w Kireńsku 4 lipca r. 1889. Pierwszy list do niej datowany jest 25-26 marca 1890 r. z Kireńska; z listu widać, że Lewandowska wyjechała z Kireńska 19 marca 1890 r. do Irkucka, gdzie przebywali Stanisław i Felicja Landy'owie. W liście z Kireńska z 22 kwietnia 1890 r. pisał: „Winszuję Tobie, dziś kończy się Twoje zesłanie i Ty zupełnie wolna”...

(19) Piłsudski, na skutek zabiegów własnych i St. Landy'ego, przeniesiony został z Kireńska do Tunki pod Irkuckiem w lecie r. 1890, „ze względu na słabe zdrowie”, jak mówią dokumenty urzędowe. W liście z 3 sierpnia 1890, datowanym w Irkucku, pisał: „Jutro jadę do Tunki”. Przybył do tej Tunki 6 sierpnia. Najwidoczniej — w drodze „etapem” z Kireńska — pozwolono mu zatrzymać się na krótko w Irkucku, gdzie przebywała jeszcze Lewandowska; przez nią wysłał podany przeze mnie wyżej list do krewniaka w Wilnie. Lewandowska wyjechała z Irkucka musiała chyba 21 lipca 1890 roku. Udała się do Orła, gdzie miała krewnych, pod nadzór policji. Do Wilna jednak nie dojechała. Toteż i list do krewniaka pozostał u niej.

dam nadzieje, to musi być dosyć wątpliwym. Przynajmniej ja tak a priori sądzę. Ma się rozumieć, nie przeszkadza to mi marzyć, że się stanie tak, jak ja chcę. Pamiętaj, kiedyś ci mówiłem o marzeniu stać się pisarzem. Teraz zacząłem pewne prace i to częściowo wpływa na ten podbudzony stan nerwów, o którym ci wspominałem na początku listu. Lękam się tylko, by mi nie (!) starczyło sił do wykonania tych planów, które mam w tym względzie. W przyszłym liście napiszę ci dokładniej o moich zamiarach i mojej pracy, być może będę wtedy spokojniejszym i cokolwiek pewniejszego o tym będę wiedział. Gdyż dotychczas oprócz dobrych chęci, massy obrazów i urywków pracy w głowie prawie że nic nie ma. Często postanawiam wziąć się na serio do tego i po zaczęciu zaczyna mnie brać chęćka rzucić wszystko do diabła. Ma się rozumieć, że przy tym nerwuję się strasznie. Widzisz więc, mileńka, że nie mogę zachować twego polecenia nie nerwować się" (20).

Tunka, 18 lutego 1891 r.:

...., W ostatnim zdaje się liście do ciebie obiecałem ci napisać o moich planach literackich, nic teraz ci nie (!) pisać o tym nie mogę, pozaczynałem kilka rzeczy i teraz rzuciłem wszystko do diabła i ma się rozumieć jestem dosyć rozdrażnionym z tego powodu. Chciałem w Syberii wykończyć kilka rzeczy, lecz teraz wątpię, by co z tego wyszło. Przyznam ci się, że jedną z zachęt do podobnej pracy jesteś ty, moja miła. Mnie często przychodzi na myśl, że jeżeli ja sam czuję często tak szaloną żądzę nie powiem sławy, ale w ogóle nie być w rzędzie zwykłych śmiertelników, to i dla ciebie chciałbym, byś mogła powiedzieć, żeś niedarmo mnie pokochała, zresztą plotę głupstwa, wszak ty byś mię kochała i nie sławnego, tak, jak mię kochasz teraz. No, dosyć o tym, jeżeli mi się co uda wykończyć, napiszę ci wtedy dokładniej o wszystkim. No, mileńka, wybacz, że dzisiaj piszę tak krótko, ale już późno, a ja dzisiaj wstałem rano, żeby w porę zgotować obiad. Jeżeli zdążę, to jutro może cokolwiek jeszcze przypiszę. Bywaj zdrowa i wesola, całuję cię serdecznie, twó (j) Ziu (k).

Tunka, 10-11 marca 1891 r.:

...., Ty mię pytałaś, mileńka, o mój stan moralny, nie powiem, żeby on był arcydoskonały. W najlepszych minutach czuję, jak gdyby nade mną coś stało, wzbudzając we mnie niezadowolenie z siebie i z otoczenia, z życia prowadzonego przeze mnie. Teraz ja sobie to dobrze wyjaśniłem. Rzecz w tym, miła, że wychowano mię tak, że wpojono we mnie wiarę w moje zdolności, a co za tym idzie w niezwykłe przeznaczenie moje. Wiara ta głęboko się we mnie wjadła, lecz zarazem nie wychowano we mnie wytrwałości, bez której ma się rozumieć wiele zamiarów tylko zamiarami pozostać może. W zastosowaniu zaś do tutejszego życia dwie te strony mego charakteru mają następujące przystosowanie. Ja czuję, że mi trzeba dużo, dużo pracować, czując w sobie zdolności, ja sobie wyrzucam, że je marnuję, a wytrwałości w wypełnieniu swych zamiarów nie ma, pozostaje stąd głuche niezadowolenie z siebie, wyrzuty mego sumienia nie opuszczają mię ani na chwilę, a to już doskonały grunt dla poniżania siebie w swych oczach, osobliwie przyjąwszy pod uwagę moją skłonność do analizowania siebie. Pamiętaj, w jakimś artykule o Tolstoju powiedziano, że jego drobnostkowa analiza to mikroskop, pod którym małe rzeczy wydają się wielkimi i pokrywają nawet rzeczywiście wielkie, które się nie mieszczą w polu mikroskopu. Otóż, podobny mikroskop to też moje nieszczęście, znajduję w sobie wtedy taką masę złych stron i tak mało dobrych. Dodaj

(20) Wspomniana w tym liście Zula — starsza o dwa lata siostra Zofia, zamężna za dr. Bolesławem Kadenacym.

do tego pewien bezwiedny strach przed przyszłością. Tyle się o niej myślało i marzyło, że nie mógłbym się zgodzić na wielkie bardzo uszczuplenie swych planów, a tutaj zaraz zjawia się pytanie: „a gdzie znajdziesz siły dla wypełnienia swych zamiarów?”...

W innych listach m.in. strofował swoją „mileńką” Olesię za jej fatalną polszczyznę, bardzo chciałby, aby i ona dobrze władała językiem polskim i radził jej czytać po polsku jak najwięcej. Niejeden list zawiera fragmenty o charakterze zwierzeń zbyt osobistych, nawet zbyt intymnych... Przytoczę list ostatni, datowany w Ciechocinku 22 sierpnia r. 1893:

Szanowna Panno Leonardo! Teraz dopiero, będąc w Warszawie, dowiedziałem się, że dzięki niezalutwieniu przez jednego z kolegów danego mu zlecenia, stałem się winnym wobec Was. Nie pamiętam już, na jaki to dzień miałem być w Warszawie i zobaczyć się z Wami, i rzeczywiście, terminu nie chybiłem, lecz interesy tak się złożyły, że musiałem zaraz wyjechać dalej. Byłem w Warszawie wówczas od godz. 6 rano do 9-ej, w godzinach tak rannych nie mogłem zająć do Was, więc prosiłem jednego z kolegów, by kartkę z przeproszeniem, którą napisałem, przesłał Wam przez posłańca. Teraz zaś okazało się, że chłop o tym zapomniał i w ten sposób uniemożliwił mi nawet listowne pożegnanie z Wami. Piszę ten list, nie będąc pewnym, czy dojdzie rąk Waszych, bo dokładnego adresu Waszego nie wiem, a nie mogłem w Warszawie znaleźć pani Grudz., od której miałem nadzieję ów adres otrzymać. Obecnie jestem na kuracji w Ciechoc., nudy śmiertelne, ale tak mię już nogi dokuczyły, że chyba wytrzymam i nudy do końca. Chciałbym wiedzieć, czy list mój doszedł rąk Waszych, jak zarówno byłoby mi przyjemnym od czasu do czasu wiedzieć co o Was i Waszej rodzinie. Niestety, teraz swego adresu dać nie mogę, natomiast gdybyście sobie życzyli napisać mi parę słów w drugiej połowie września, to piszcie na adres profesora (na bank, imię Dominik). Pisałem niedawno do Michała, prosząc go o odpowiedź przez Was, gdyby więc list od niego nadszedł, proszę go odesłać również na adres profesora. Zatem zasyłając Wam serdeczne pozdrowienia zostaje szczerze przyjaznym Ziu (k)" (21).

Wracam jednak do spraw, związanych z wydaniem pierwszego tomu mojej biografii Marszałka. Choć, obejmując tylko lata 1867-1900, liczył 370 stron, napisałem go dość szybko, w ciągu niespełna roku. Pod koniec lata 1934 oddałem go do druku. Pisząc go — opierałem się przede wszystkim na archiwum P.P.S. Zaszła jednak konieczność sięgania do innych źródeł, np. do Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, i grzebać się tam w pozostawionych przez Rosjan aktach kancelarii gen. gubernatora warszawskiego. Wydawca — Gebethner i Wolff

(21) Piłsudski, bezpośrednio po powrocie z Syberii, wszedł w podziemie socjalistyczne; dlatego nie mógł podać swego adresu; wspomniany w tym liście „profesor” — to Dominik Rymkiewicz, należący do grupy socjalistów polskich w Wilnie (mieszkał przy ul. Święciańskiej, pracował w jednym z banków wileńskich). Michał — to najprawdopodobniej Aleksander Sulkiewicz, Tatar litewski, jeden z wybitnych członków rodzącej się P.P.S., niezrównany przemysłnik „bibuły” partyjnej przez granice z Niemiec do zaboru rosyjskiego.

— przynagłał drukarnię; chodziło o to, by tom ukazał się na 11 listopada; na parę tygodni przed tym terminem — wydawca zaczął reklamować książkę, przez ogłoszenia i wywiady w prasie, przez odpowiednią dekorację okien wystawowych w swoich sklepach w Warszawie i na prowincji. Okazało się jednak, że drukarnia spóźni się o tydzień lub dwa. W tym stanie rzeczy — redakcje pism warszawskich zwróciły się do mnie, bym dał do specjalnych wydań rocznicowych fragmenty z tego tomu. W porozumieniu z wydawcą — „rozparcelowałem” cały tom; w dniu 11 listopada większość rozdziałów ukazała się w pismach warszawskich. Do „Kuriera Porannego” trafił — na moje nieszczenie — rozdział o katastrofie łódzkiej — o aresztowaniu w Łodzi w lutym 1900 r. Wywołało to burzę, niewidoczną na razie dla nikogo z zewnątrz, dla mnie jednak sroższą i wściekłą od pierwszej, bezdańskiej.

Zanim o samej burzy powiem — przedstawię nie jedyny i nie główny, ale jeden z jej powodów.

Z przechowywanych w archiwum P.P.S. listów Marszałka i jego towarzyszy partyjnych wynikało, iż ożenił się On — po raz pierwszy — z panią Marią z Koplewskich Juszkiewiczową w okresie letnim r. 1899. Listy nie dawały daty ścisłej i tylko wzmiankowały o okolicy Białegostoku i Łomży. Byłem badaczem zbyt ambitnym, by nie pokusić się o wyjaśnienie pełne sprawy. Objechałem więc autem wszystkie parafie katolickie w rejonie Łomża-Białystok, przeglądając w nich akta stanu cywilnego. Na próżno! — w żadnej ani śladu!... W drodze powrotnej do Warszawy zaświtała mi w głowie myśl, że rozwiedziona z mężem Maria Juszkiewiczowa mogła uzyskać rozwód przez zmianę wyznania, a więc i ślub jej z przyszłym Marszałkiem odbyć się mógł w kościele nie katolickim. Zwróciłem się tedy do pastora ewangelickiego, Edmunda Burschego, profesora teologii pastoralnej na uniwersytecie warszawskim. Podtrzymał moje supozycje, coś mi nawet tłumaczył o jakimś prawie rosyjskim, według którego dzieci z małżeństw mieszanych wyznaniowo mogły być przymusowo zapisane na prawosławie, a więc — jak przypuszczał Bursche — Marszałek też prawdopodobnie zmienił wyznanie. Do tych uwag Burschego nie przywiązywałem na razie wagi; poprosiłem go o wykaz parafii ewangelickich w rejonie białostocko-łomżyńskim. Nie w pierwszej, ale bodaj w piątej czy szóstej z odwiedzonych — znalazłem!... Ślub odbył się 15 lipca r. 1899 w kościele ewangelicko-augsburskim we wsi Paproć Duża, w Łomżyńskim. Odszukany tu przeze mnie akt ślubny mówił:

„Sostojaoś w Paproci Wielikoj tretjajo (piatnadctawo) ijula tysia-cza wosiemsośt diewianosto diewiatowo goda, w diesiat' czasow utra. Objawlajem, czo w prisutswii swidietielej Adama Piłsudskawo, dwadcati diewiaty let, pomoszcznika architekta, i Jana Piłsudskawo, dwadcati trioch lech otrodu, służaszczawo banka, oboich prożywajuszczich w gorodie Wilnie, zakluczon siewo czisła religijoznyj bracznij sojuz mieźdu Josifom Klemensom Piłsudskim (Józefem Klemesem Piłsudskim), cholostym, kup-

com, żytielstwujuszczim w Łapach, rodiwszysia w imieni Żułowie, tridcati odnowo goda otrodu, synom dworianina Josifa i pokojnoj Marii uroźdionnoj Billewicz, suprugow Piłsudskich, iewangieliczesko-augsburskawo wieroispowiedanija, i Marijej Kazimiroj Juszkiewicz, uroźdionnoj Koplewskoj (Marią Kazimierą Juszkiewicz z Koplewskich), razwiediennoju żenoju po winie muža, żywuszczuju w Łapach, rodiwszejusia w Wilnie, tridcati trioch let otrodu, doczerju umierszawo dworianina Konstantina i żywuszczej Ludmiły, uroźdionnoj iz Chomiczow, suprugów Koplewskich, iewangieliczesko-augsburskawo wieroispowiedanija. Braku etomu priedszestwowali tri ogłaszenija, publikowanija w zdieszniej, iewangieliczesko-augsburskoj cerkwi trinadcatowo (dwadcat' piatawo) ijunia tiekuszczawo goda i w dwa śledujuszczija woskriesienija. Bracznij dogowor nie był zakluczem. Akt siej nowobracznym i prisutstwujuszczim swidietielam pro-czitan, imi i nami podpisany”.

Ten akt ślubu podpisali wszyscy Piłsudscy po polsku, pastor G. Mikulski — po rosyjsku.

Ten to akt ślubu dałem, jak tu go przytaczam, w przypisie rozdziału o katastrofie łódzkiej. „Kurier Poranny” cały ten rozdział, wraz z aktem ślubnym, wydrukował (nr 313 z niedzieli 11 listopada 1934). Nazajutrz rano o ósmej odezwał się mój telefon: sekretarz ministra spraw wewnętrznych Kościalskiego prosił mnie uprzejmie, abym „natychmiast” zgłosił się u pana ministra. Pojechałem. Kościalskiego znałem już dość dobrze. Po przywitaniu się oświadczył, że ma do zakomunikowania mi „bardzo przykrą wiadomość” — oto wysłał policję do drukarni, by opieczetowała drukujący się tom mojej książki. Zaprotestowałem ostro: „To jest bezprawie, panie ministrze!”... Rzecz jasna — zapytałem o powody.

— „Mam z panem w ogóle za dużo kłopotu!... Napisał pan tę swoją książkę o Bezdanych, uczy pan Ukraińców, jak się robi napady zbrojne... Co gorsza — w procesie Danyłyszyna i Bitasa, sprawców napadu na pocztę w Gródku Jagiellońskim, adwokaci bronią ich przed sądem z egzemplarzem pańskiej książki w ręku...”

— „To może pan minister uda się do Pana Marszałka i wyrazi mu swoje pretensje: po co robił Bezdany? Ja jestem historykiem, biografem, i nie mogę Bezdana w życiu Marszałka nie dostrześć...”

— „Pan wie, że iść z tym do Marszałka nie mogę, ale jako minister spraw wewnętrznych nie mogę pozwolić na to, co książki pana dają w skutkach... I teraz znów: ogłasza pan metrykę ślubu Komendanta!...”

— „Prawdziwą w każdym słowie, panie ministrze...”

— „Nie chodzi o to, czy prawdziwa... Chodzi o to, że Polska jest krajem katolickim, chodzi o to, że Komendant stoi na czele Polski... A pan robi z Komendanta ewangelika!...”

— „Pan minister się myli... Ja tylko stwierdziłem fakt bezsporny!... A jeśli to panu ministrowi stwarza jakieś trudności — proszę, może, jak ze sprawą Bezdana, uda się pan

do Pana Marszałka i wyrazi Mu swoje pretensje także i z powodu wyznania... Zresztą, wszyscy chyba wiedzą, że Pan Marszałek, po śmierci pierwszej żony, wrócił do kościoła katolickiego...

Rozmowa z Kościalkowskim trwała z pięć godzin, może dłużej, bo po niej wróciłem już do domu, na obiad. Obaj byliśmy bardzo wzburzeni. Znalismy się dobrze: Kościalkowski przed objęciem Ministerstwa często przyjeżdżał, bodaj z Białogostoku, do Biura Historycznego, bo bardzo leżała mu na sercu sprawa P.O.W. W trakcie tej burzliwej rozmowy ujawnił inne — najistotniejsze — powody swego wobec mnie wystąpienia. Pod koniec rozmowy już „po koleżeńsku” prosił, bym pewne fragmenty zmienił. Odmawiałem. Żądał wtedy, bym owe momenty usunął zupełnie. Odpowiedziałem: „Nie uczynię tego nigdy!”.

Walka o wydanie książki — walka na zewnątrz dla nikogo niewidoczna, ale dla mnie bardzo ciężka, trwała dziesięć tygodni. Druk zatrzymano. Sytuacja moja była tym cięższa, że Generał — niestety! — już nie żył. Ci jednak, którzy walkę przeciw mnie podejmowali, popełnili kardynalny błąd: chcąc złamać moje opory — zwrócili się do min. Becka, by „tego Poboga wyrzucił z Ministerstwa”... Beck takiego mieszania się do jego spraw nie znosił... Nie tylko odmówił „wyrzucenia” mnie, ale stanął w mojej obronie. Dzięki jego poparciu — sprawę wygrałem. Musiałem ustąpić w jednym tylko punkcie: usunąć z książki metrykę ślubu, mimo, że była już opublikowana przeze mnie w „Kurierze Porannym”... Żadnych innych żądań nie przyjąłem...

Książka wyszła w pierwszych dniach lutego r. 1935... Pierwsze recenzje były pełne uznania i pochwał. Stpiczyński zapowiadał artykuł pt. „O nagrodę państwową dla Poboga”... Ale już po paru tygodniach padły gromy: to, co było burzą i walką w zamkniętym kole, teraz z hałasem wylewało się na zewnątrz. Wypadło przeżyć najcięższe w życiu tygodnie i miesiące... Gromy i ciosy padały na mnie jeden za drugim — do nagonki na mnie zmobilizowano co najtęższych pyskaczy — niektórzy znajomi przy spotkaniu zaczęli przechodzić na drugą stronę ulicy — Adolf Nowaczyński raczej pokpiwał, niż współczuł: „Z Długosza — Krutkosz!... ale martwić się nie ma czego, bo chleb banicji nie zawsze bywa chlebem bez masła”.

Otrząsnąłem się z tego niebawem. Wróciłem do pracy nad wykończeniem drugiego tomu biografii Marszałka. Tom ten, oparty również na archiwach, obejmujący okres ośmiu lat: 1901-1908, i liczący 650 stron, wyszedł z druku i ukazał się w księgarniach w listopadzie r. 1935.

Pisałem w Paryżu, w marcu-kwietniu 1960 r.

Władysław POBÓG-MALINOWSKI

Kronika kulturalna

Stanisław Westfal

Spotkałem go po raz pierwszy i ostatni w Londynie latem 1957 roku. Spędziliśmy razem kilka dni na długich serdecznych pogawędkach bądź to w okolicach British Museum, bądź też w ciasnym pokoiku polskiego hotelu na Warwick Road, w którym się on zainstalował po moim wyjeździe. Czyż mogłem przypuszczać wtedy, mając przed sobą jego miłą twarz i słuchając jego melodyjnego głosu, że wkrótce będę musiał pisać jego nekrolog?

Umarł stosunkowo młodo, w wieku 48 lat. Wybrał karierę uczonego i miał wszystkie dane po temu, by w ulubionym przez siebie językoznawstwie zająć jedno z poczesnych miejsc. Dzisiaj, gdy już ta kariera została zamknięta i gdy się podsumowuje dzieło jego życia, można stwierdzić, że nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Nie zawiódł, mimo że ze swego naukowego kalendarza musiał wykreślić lata wojny oraz dłuższe lub krótsze okresy, w których się borykał z chorobą, i mimo że później, od roku 1949, losy kazały mu pracować w dalekim Glasgow, gdzie wprawdzie nie brakło mu życzliwych ludzi, gdzie przecież nie było właściwie żadnych warunków do uprawiania polonistyki czy też lituanistyki. Trudno nawet uwierzyć, że w takich warunkach powstała imponująca i swymi rozmiarami i zawartością książka *A Study in Polish Morphology*, jedyny w swoim rodzaju hold polonisty-tułacza złożony na ołtarzu swego języka ojczystego i jedno z najważniejszych dzieł, jakie w ogóle powojenna polonistyka wydała.

Stanisław Westfal kształcił się na lituanistę, ale losy kazały mu zostać polonistą. W obu dziedzinach poruszał się z pełną swobodą i pozostawił po sobie prace o nieprzemijającej wartości. Jako znawca żywego języka litewskiego nie miał on sobie równego wśród polskich kolegów. Był też jedynym Polakiem-językoznawcą, który w latach 1934-1937, mimo naprężo-

nych stosunków politycznych między Polską a Litwą, odbył studia w zakresie litewszczyzny na uniwersytecie w Kownie. Przybył tu zresztą z dobrze ugruntowanymi znajomościami teoretycznymi tego języka, jak tego dowodzi złożona w roku 1934 w Uniwersytecie Warszawskim praca magisterska *Polonizmy i inne słowizmy w litewskim dialekcie wsi Vaitiekupiai i najbliższej okolicy*, p. *Język polski* 19, 1934, s. 190. Nie dawno zmarły nestor szwedzkiej slawistyki, prof. Richard Ekblom, który go znał osobiście, opowiadał mi, że Stanisław Westfal postawił sobie za cel opanować żywy język litewski tak, by w jego apercpcji nie było żadnych luk i by mechanizm posługiwania się nim całkowicie odpowiadał mechanizmowi posługiwania się językiem ojczystym. Ze świadectwa osób znających go i współpracujących z nim w tym okresie, p. np. wspomnienie pośmiertne T. Katelbacha w *Wiadomościach* nr 24 z r. 1959, wynika, że cel ten został osiągnięty. Przemawiałby za tym również fakt, że w pozostałych po Westfalu papierach zachowały się w rękopisach przekłady z języka polskiego na litewski powieści Z. Nowakowskiego *Przylądek dobrej nadziei* (fragmenty były drukowane w latach 1937-38 w litewskich magazynach literackich *Naujoji Romuva* i *Litteraturos Naujėnos*) oraz monografii historycznej H. Paszkiewicza *Geneza aktu krewskiego*. Mówiąc o tej niezwyklej łatwości przyswajania języków obcych warto tu jeszcze dodać, że według własnego świadectwa Westfala, w czasie swego pobytu w Anglii, gdzie się znalazł w roku 1941, opanował tak gruntownie język angielski, że w normalnych warunkach trudno go było odróżnić od Anglików.

Równocześnie z pogłębionymi studiami nad językiem litewskim i przekładami na ten język powstają i pojawiają się w druku pierwsze lituanistyczne przyczynki Westfala, mianowicie, w porządku chronologicznym: „Uwagi o zapożyczeniach polskich w języku litewskim”, *Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego*, Klasa I, t. 25, 1932 (druk 1933), s. 75-95, „Z dziejów pracy nad kształtowaniem się języka litewskiego”, *Poradnik językowy*, 1933, s. 133-136 i 151-154, „Contribution à l'histoire du lituanien moderne: l'essai d'introduction de la préposition et du préfixe *in* dans la langue littéraire”, *Spraw. z pos. Tow. Nauk. Warszawskiego*, Klasa I, t. 29, 1936, 8 stron, toż samo w obszerniejszej wersji po polsku: „Z dziejów uprawy współczesnego języka litewskiego: nowa próba wprowadzenia prepozycji i prefiksu *in* do języka litewskiego”, *Baltico-Slavica*, Wilno, t. 3, 1938, s. 55-70, ponadto „Zestawienie kategorii nomina agentis we współczesnym literackim języku litewskim i polskim”, *Pamiętnik lubelski* t. 3, 1937, s. 261-287. Na marginesie tych ściśle lituanistycznych studiów powstał ciekawy i po dziś dzień cenny artykuł polonistyczny „O zwrotach w Litwie i do Litwy”, *Język polski*, t. 21, 1936, s. 65-71 i 106-109.

Zdawało się, że nic nie potrafi zwrócić młodego adepta nie uprawianej właściwie w ówczesnej Polsce nowożytniej lituanistyki z raz obranej drogi, zwłaszcza po powrocie z Kowna, kiedy to w roku 1937 objął przy katedrze filologii porównawczej Uniwersytetu Warszawskiego stanowisko młodszego asystenta i wykładowcy języka litewskiego. Na przeszkodzie jednak stanęła, przynajmniej częściowo, polityka. Po nawiązaniu przez Polskę stosunków dyplomatycznych z Litwą robił plk. Beck z niego dyplomate, wysyłając na stanowisko attaché prasowego przy polskim poselstwie w Kownie. Przypuszczalnie w tych — i poprzednich — kowieńskich latach powstawała jego praca doktorska *Stosunek między słowiańskimi a rodzimymi elementami w słownictwie litewskim*, która w chwili wybuchu wojny była w dwu trzecich gotowa i która wraz z całym materiałem dokumentacyjnym zginęła w Warszawie w r. 1940. Było to jednocześnie zamknięcie okresu lituanistycznego w działalności naukowej Westfala. Ogłoszona w r. 1946 w *The Slavonic and East European Review*, t. 24, nr 63, s. 156-159, krótka notatka „Lexical Elements of Baltic Origin in the Polish Dialect Spoken near Lake Wigry (Suwałki District, Poland)”, jest tylko przekładem gotowego jeszcze przed wojną polskiego rękopisu, por. K.-O. Falk, *Wody Wigierskie i Huciańskie*, I, Uppsala 1941, s. VI oraz 242. Ostatnim hołdem temu ukochanemu przez zmarłego językowi jest mająca się wkrótce ukazać w druku praca *Lithuanian Dawn Poetry (Introduction and Selection of Poems)*.

Nie wchodząc w bliższą analizę wymienionych prac można stwierdzić ogólnikowo, że dotyczą one bez wyjątku zagadnień języka żywego, głównie literackiego, w znacznie mniejszym stopniu dialektologii, ponadto starają się oświetlić wpływy polszczyzny na kształtowanie się tego języka. Sprawy historyczne nie pociągały Westfala, podobnie zresztą jak i przy studiach nad językiem polskim, chociaż, jak tego dowodzi książka *Rzecz o polszczyźnie*, przynajmniej w zagadnieniach historycznych języka polskiego orientował się doskonale. W ogóle warto podnieść jedną zasadniczą cechę w stosunku Westfala do nauki: zabierał głos tylko w sprawach, które poznał dogłębnie, lub do których zebrał pełny materiał dowodowy. Do wymienionej na wstępie pracy *A Study* przeczytał niewiarogodną wprost ilość 175.000 stron tekstów, a uporządkowany materiał liczy w maszynopisie 2085 stron.

Rzecz jasna, na upartej drodze w najbardziej nawet idealnych pracach dostrzegać luki lub mieć na temat ich końcowych wniosków odmienne zdanie. Tak więc pracy *A Study* można byłoby zarzucić z jednej strony pominięcie danych dialektycznych i żywego języka mówionego, a z drugiej uwzględnienie nadmiernej ilości przykładów przestarzałych lub nie mieszczących się w zakreślonych przez autora chronologicznych ramach oraz przygodnych obcych wtretów typu *bugle-horn*,

dalej przeoczenie wpływu języków ruskich, przynajmniej w języku niektórych pisarzy kresowych, itd. Podobnie w artykule o zwrocie w *Litwie* autor w godny podziwu sposób wyczerpał materiał polski od Marcina Bielskiego aż po nasze czasy, zapomniawszy jednak o tym, że zwrot ten występuje również w językach ukraińskim i białoruskim i że stosunki w tych językach niekoniecznie się kształtowały pod wpływem języka polskiego, por. wiele cennych uwag na temat języka ukraińskiego w pracy ukraińskiego slawisty Jarosława Rudnickiego *Słowo j nazwa Ukrajina*, Winnipeg 1951, s. 94 i nn.

Rozmawiałem z nim kiedyś na te i podobne tematy. Powiedział mi, że orientuje się wprawdzie nieźle w zagadnieniach slawistyki porównawczej, nie zamierza jednak zajmować się nią, ponieważ nie może poznać innych słowiańskich języków w tym samym stopniu, w jakim poznał języki polski i litewski. Takie świadome zacieśnianie granic ma oczywiście swe strony ujemne, trudno jednak nie pochylić z uszanowaniem głowy przed motywami takiego postępowania. Szczegół ten tłumaczy, przynajmniej częściowo, stosunkowo niezbyt bogatą działalność naukową przedwcześnie zmarłego uczonego. Z tych samych powodów, z jakich nie chciał być slawistą, zrezygnował z rozszerzenia lituanistyki na historię języka litewskiego i w ogóle na bałtologię.

Sprawami języka polskiego zajmował się Westfal przygodnie również w okresie przedwojennym. Z tego czasu pochodzą takie drobniejsze przyczynki jak „O wyrazy hebrajskie w języku polskim”, *Poradnik językowy*, 1932, s. 32-35, „Z rozważań terminologicznych: cywilizacja czy kultura”, *Przeгляд współczesny*, t. 48, 1934, s. 466-468, „Historia wyrazu „poprawny” w języku polskim”, *Poradnik językowy*, 1935, s. 1-4 i 24-28, „Współpraca kół miłośniczo-literackich z językoznawcami”, *ibid.* s. 75-79. Przyczynkom tym brak jednak, jak wynika z samego wyciszczenia tytułów, wspólnego zagadnienia centralnego, które by je łączyło w jakąś ideową całość. Na zagadnienie to nie było jeszcze wtenczas ani czasu ani miejsca. Polonistyka stanie się dominującym przedmiotem dopiero po wojnie. Ten nowy okres w twórczości naukowej Westfala otwiera uroczą popularna książka *Rzecz o polszczyźnie. Gawęda o języku polskim*, napisana w roku 1945. Jest to jedyna rzecz w dorobku naukowym Westfala, rzutująca w przeszłość i dająca, poza licznymi faktami z życia języka, również zwartą historię polszczyzny od średniowiecza po dzisiejszą dobę. W polskiej literaturze popularyzatorskiej poświęconej sprawom językowym nie ma drugiego równie świetnego dzieła i aż trudno uwierzyć, że na wydanie go autor musiał czekać aż 11 lat (książka wyszła w Londynie nakładem „Veritasu” w roku 1956 i liczy 195 stron). Jest to wielka krzywda dla autora, że rzecz ta, wydana w ograniczonym nakładzie, jest w zasadzie niedostępna dla czytelników w kraju.

Praca nad *Rzecz o polszczyźnie* zapoczątkowała cykl popularnych artykułów o języku polskim umieszczanych w różnych pismach emigracyjnych, przede wszystkim jednak w londyńskich *Wiadomościach*. Z artykułów tych, odznaczających się błyskotliwym stylem i okraszonych często subtelnym humorem, przebijają głęboki kult dla mowy ojczystej i serdeczna troska o to, by kult ten utrwalić w licznych rzeszach emigrantów. Oto wybrana na chybił trafił próbka zarówno stylu Westfala jak i podejścia do zagadnienia, wzięta z *Dziennika polskiego i Dziennika Żołnierza* z 21 stycznia 1952: „Polszczyzna pozostała językiem o słownictwie przeważnie rodzimym i nadal się zbytecznego wpływu obcego wystrzeża. Dlatego, mimo iż każde obce słowo każdy język w teorii wzbogaca, jak grosz cudzy do własnego skarbcza dodany, wpływ obcy zwykliśmy uważać za zanieczyszczenie. Jako emigranci, drobna cząstka narodu, na obce brzegi przez wichry dziejowe rzucona, winniśmy język swój pieczołowicie chronić od wtępowania angielskich i po pensie sobie w rodzinie płacić za każdy niepotrzebny anglicyzm”.

W latach 1947-1949 przebywa Westfal w Szwecji, gdzie pracuje jako starszy asystent przy katedrze filologii słowiańskiej w Lund. W roku 1949 wraca do Wielkiej Brytanii i obejmuje stanowisko wykładowcy języków polskiego i litewskiego na uniwersytecie w Glasgow, pozostając na tym stanowisku do końca. To ponowne wejście w atmosferę życia uniwersyteckiego umożliwia mu powrót do pracy ściśle naukowej. Rezygnuje ze swoich zainteresowań lituanistycznych i przerzuca się wyłącznie na teren polonistyki. Na marginesie nowego tematu swojej pracy doktorskiej *Drugi przypadek rodzaju męskiego we współczesnym języku polskim* pisze szeregi ciekawych studiów szczegółowych, takich jak: „The Genitives Londynu, Glasgowa and Edynburga in Modern Polish”, *The Slavonic and East European Review*, t. 26, nr 67, 1948, s. 494-511, „Warszawski Nowy Świat w dopełniaczu”, *Język polski*, t. 30, 1950, s. 81-83, „Rhyme-determined Genitives in Modern Literary Polish”, *The Slavonic and East European Review*, t. 31, nr 76, 1952, s. 164-178, „Quelques formes casuelles archaïques du polonais moderne”, *Revue des études slaves*, t. 32, 1955, s. 80-93, „The ϵ : α Alternation in Modern Polish Noun Declension”, *The Slavonic and East European Review*, t. 34, nr 83, 1956, s. 460-486, wreszcie ukoronowanie i zamknięcie tej serii studiów, monumentalną monografią *A Study in Polish Morphology. The Genitive Singular Masculine*, 'S-Gravenhage (Holandia), 1956, XX i 399 stron. Z tych drobniejszych przyczynków całkiem specjalną pozycję zajmuje artykuł o oboczności ϵ : α (typ *dąb*: *dębu*, *męka*: *mąk*), który bez przesady można nazwać rewelacyjnym. Na podstawie drobiazgowego zbadania odnośnego materiału językowego w autorytatywny i ostateczny sposób określa autor zasięg tego zjawiska

w polskiej odmianie, wnosząc wiele cennych poprawek do dotychczasowych błędnych lub powierzchownych ujęć w gramatykach opisowych języka polskiego. Praca doktorska *A Study in Polish Morphology* zawiera tyle materiału i takie bogactwo cennych spostrzeżeń, że omówienie jej w kilku słowach jest czystą niemożliwością. Ciekawego czytelnika odsyłam do moich recenzji w *The Slavonic and East European Review*, t. 36, nr 87, 1958, s. 546-550, przede wszystkim jednak w *Roczniku slawistycznym*, t. 20, 1958, s. 117-136.

Wachlarz zainteresowań polonistycznych Westfala nie wyczerpał się jednak na zagadnieniu repartycji końcówek *-a* i *-u* w dopełniaczu liczby pojedynczej rzeczowników męskich i zjawisk pokrewnych. Innym odcinkiem, na którym można byłoby oczekiwać po nim równie ważnych rezultatów, było słowotwórstwo imienne, ściągające uwagę Westfala jeszcze w okresie przedwojennym. Z tej dziedziny mamy do zanotowania takie przyczynki jak „Wykładowca na tle strukturalnym”, *Język polski*, t. 29, 1949, s. 216-220, oraz „The Polish Adjectif Radziecki ‚Soviet‘. A Structural Analysis”, *Word*, t. 7, 1951, s. 168-176 (to samo również po polsku pt. „Radziecki czy sowiecki?”, *Kultura* 1950, nr 7, s. 204-209). Ostatni artykuł nawiązuje do ewolucji języka Polski ludowej i stanowi jak gdyby przygrywkę do późniejszego syntetycznego studium „Zmiany w polszczyźnie krajowej”, *Kultura* 1956, nr 10, s. 75-88 oraz nr 11, s. 117-125, uzupełnienia 1957, nr 10, s. 110-112. Do tego dochodzą artykuły „Origin of Polish *kobieta*, *łepki* and *zgon*”, *The Slavonic and East European Review*, t. 29, nr 73, 1951, s. 537-544, „Polonais: Uczył Marcin Marcina”, *Revue des études slaves*, t. 32, 1955, s. 93-95, liczne recenzje polskich i zagranicznych prac polonistycznych rozrzucone w takich pismach jak *The Slavonic and East European Review* (London), *Archivum Linguisticum* (Glasgow), *Kultura* (Paryż), *Wiadomości* (Londyn) i in., wreszcie oceny językowe utworów beletrystycznych polskich autorów emigracyjnych.

Omówione wyżej pokrótce prace stanowią oczywiście tylko cząstkę tego, co Westfal planował i co był w stanie dać nam. Przedwczesna śmierć przerwała jego pracowite życie właśnie w chwili największego rozmachu twórczego, kładąc nielitościwy kres tym wszystkim poczynaniom i nadziejom. Dawał tylko prace gruntownie przemyślane i solidnie opracowane i pracami tymi wystawił sobie trwałą pomnik w polskim językoznawstwie.

Józef TRYPUCKO

KOMUNIKAT O PRZEDPŁACIE

„Wiadomości Polskie” w Sydney (Australia) w porozumieniu z Gronem Przyjaciół Andrzeja Chciuka przystępują do wydania tomu wierszy i fraszek tegoż Autora pt. „Pamiętnik Poetycki”.

W skład tomu wchodzi: wiersze, liryki, poematy, wierszyki, fraszki oraz bajki i wierszyki dla dzieci. Końcem książki będzie tomik wyróżniony na ostatnim Konkursie Związku Pisarzy w Londynie, a ponadto wybór wierszy nagrodzonych w Kanadzie i drukowanych swego czasu w różnych pismach emigracyjnych i krajowych, oraz w podziemnej Antologii Poezji Polskiej, wydanej przez Polską YMCA we Francji podczas okupacji, a także niektóre wiersze satyryczne pisane dla kabaretów literacko-artystycznych „Wesoła Kookaburra” i „Beczka śmiechu”, jak również nieopublikowane dotychczas utwory poetyckie z szuflady.

Ma to być edycja bibliofilska, numerowana i w ograniczonym nakładzie i tylko nieznaczna część nakładu tej pierwszej polskiej książki w Australii przeznaczona będzie później do sprzedaży księgarskiej, lecz w cenie wyższej. Objętość przekroczy 200 stron. Cena egzemplarza (z przesyłką) wynosi w przedpłacie 30 szylingów australijskich (£1-5-0 sterling) lub równowartość międzynarodowym przekazem pocztowym (International Money Order) albo czekiem. Przedpłaty należy kierować na adres:

Mr. E. Kalużyński, 22 Glen Drive, Eaglemont N. 22 Victoria, Australia lub:

Mr. G. Lorraine-Borucki, New Warwick, 363 Beaconsfield Parade, St. Kilda S. 2, Victoria, Australia.

Nazwiska Subskrybentów ogłaszane będą w miarę napływu w sydneyjskich „Wiadomościach Polskich”, a kompletna ich lista umieszczona będzie na końcu książki. Termin przedpłaty upływa z dniem 1 sierpnia br. „Pamiętnik Poetycki” rozesłany zostanie przed końcem roku.

ZJAZD ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCZYŹNIE

W sobotę 26 marca br. odbyło się w Londynie dorocznie walne zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Po sprawozdaniu ustępującego prezesa p. W. Wahnouta i odczytaniu protokołu komisji rewizyjnej uchwalono absolutorium dla zarządu i dokonano wyboru nowego do którego weszli: W. Wahnout jako prezes (po raz trzeci), S. Baliński, J. Bielatowicz, W. Guenter, J. Jasińczyk, Reszczyńska-Stypińska, J. Rostworowski, N. Sadek i W. Wieniewski.

Zjazd wysłał depezę z protestem z powodu zarządzeń policyjnych zastosowanych wobec członków redakcji „Kultury” w związku z wizytą Chruszczowa we Francji oraz powziął uchwałę piętnującą zaostreżenie nacisków na pisarzy krajowych.

GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

A P E L DO CZYTELNIKÓW „KULTURY” W KANADZIE

W jaki sposób uczcić rozpoczynające się Tysiąclecie istnienia Państwa Polskiego? Pytanie to, zadają sobie chyba wszyscy Polacy na Emigracji?

Jedną z realnych odpowiedzi jest wzięcie czynnego udziału w akcji zmierzającej do podkreślenia i utrwalenia naszego dorobku duchowego: tysiąc lat istnienia i rozwoju Kultury Polskiej.

Wolny rozwój kultury, zagrożony w Kraju, wymaga jak najgorętszego poparcia wśród nas zagranicą. Zwłaszcza niezależne placówki kulturalno-naukowe, jaką jest niewątpliwie Instytut Literacki w Paryżu wraz z „Kulturą”, powinny być za wszelką cenę utrzymane.

Doceniając wartość i znaczenie „Kultury” w życiu emigracyjnym, grono jej przyjaciół w Toronto, zwraca się z apelem do Polonii kanadyjskiej o ufundowanie z racji Tysiąclecia numeru „Kultury”.

W celu przeprowadzenia akcji zbiórki, zostało zorganizowane Koło Przyjaciół „Kultury” w Toronto, które tą drogą zwraca się do wszystkich czytelników i sympatyków „Kultury” w Kanadzie o wzięcie czynnego udziału w naszej akcji zbiórkowej.

Prosimy o przesyłanie datków czekami, wystawionymi na „Kultura” Fund., na ręce kierownika Koła W. Iwaniuka, 207 Raglan Avenue, Toronto 10, Ontario, lub skarbnika J. Bieńkowskiego, 73 Beechwood Avenue, Toronto 9, Ontario.

KOŁO PRZYJACIÓŁ „KULTURY”

AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.
P-siadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.
1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Książki

Start

Nieraz pytają nas z kraju, czemu my, emigranci, korzystając z niczym nie skrupowanej swobody i posiadając być może więcej dystansu wobec niedawnej przeszłości, nie próbujemy jakiejś ogólnej oceny czy syntezy dwudziestolecia. *Start* Jana Brzękowskiego (1) zapowiada się jako próba takiej syntezy. Leżący przed nami tom jest pierwszą częścią większej całości pt. *Międzywojnie*. Akcja jego rozgrywa się w latach 1916-1919 w małym miasteczku koło Krakowa, wyglądającym jak Nowy Sącz lub Wadowice. Przyszli bohaterowie *Międzywojnia* są jeszcze uczniami starszych klas miejscowego gimnazjum i na ostatnich stronicach książki, natychmiast po maturze, wstępują do tworzącego się właśnie wojska. Są wśród nich synowie środowiska społeczne są wyraźnie zarysowane, nie ulega zatem wątpliwości, że autor posiada już przemyślany plan szerokiej syntezy swoich czasów. Bardzo plastycznie przedstawione jest także starsze pokolenie miasteczka. Kto wie, czy autor wróci doń jeszcze, i czy opis jego nie jest zarazem aktem pożegnania? Zastanawia nieco brak rówieśnic młodych gimnazjalistów. Kobiety występują w powieści w charakterze *portouses de mamelles*, jak mówił Rimbaud, i należą do świata dorosłych. Lecz i ten szczegół nie jest być może przypadkowy. Dwudziestolecie było okresem wybitnie męskim; jego dramaty i farsy rozgrywały się między mężczyznami i kobiety miały w nich rolę akcesorialne. W następnych tomach zobaczymy zapewne międzywojennych bohaterów w towarzystwie innych kobiet.

Nie mogąc jeszcze mówić o całości powieści, chciałbym przynajmniej ustawić ją wśród zjawisk literackich naszych czasów. *Start* nie jest wśród nich czymś odosobnionym, i czy-

(1) Jan Brzękowski. *Start*, powieść. Londyn 1959, B. Świdorski. Str. 287.

telnicy od dawna już oczekiwali pojawienia się tego rodzaju powieści. Świadczy o tym powodzenie, jakie znalazły u nich w ostatnich latach *Doktor Żiwago* i *Gattopardo*, powieści dające również syntezę niedawnej przeszłości. Przyczyna ich powodzenia leży być może w „przyspieszaniu się historii”, na które przed kilku laty zwrócił uwagę Daniel Halévy, i potrzeba opanowania myślą okresów znajdujących się jeszcze w zasięgu naszej pamięci, a jednak już bardzo odległych. Wśród skoków historii utraciliśmy złudzenie ciągłości życia, i nawet tożsamość naszej osobowości wydaje się chwilami niepewna.

Lekarstwem na te dolegliwości były dawniej pamiętniki, których imponująca liczba pojawiła się po upadku Napoleona i innych wielkich przewrotach. Dziś również wspomnienia stanowią pokazną część bieżącej literatury. Część tych wspomnień przybrała formę powieściową. Mam tu na myśli takie np. zjawiska jak wspomnienia rozczarowanych komunistów, którzy dla zrozumiałych powodów nie mogli dokładnie opisać swych przygód ani wymienić z nazwiska swych towarzyszy. Z warunków tych powstał szczególny rodzaj powieściowy. Dawniejsze powieści naśladowały życie; w relacjach z tamtej strony linii demarkacyjnej życie naśladowało twory wyobraźni. „Zdawało się” — jak pisał Tasso o ogrodach Armidy — „że natura znajduje przyjemność w żartobliwym naśladowaniu swej zwykłej naśladowczyni”.

Powieści podejmujące zadania syntezy historycznej odbiegają od kanonów ustalonych dla tego rodzaju literackiego od czasów naturalistów. Od *Madame Bovary* np. powieściopisarze wybierali środowiska, na które mogli patrzeć trochę z góry na dół, jak syn lekarza patrzy na środowisko felcerów lub pański literat na podoficerów zawodowych. Przepis ten, mający uzasadnienie w koncepcji artystycznej naturalistów, utrzymał się do naszych czasów, dzięki czemu „powieść z życia wyższych sfer towarzyskich” znikła zupełnie z obiegu. Autor próbujący syntezy historycznej nie może wybierać dowolnie opisywanych środowisk. Aby zyskać do swego przedmiotu niezbędną dystans, musi posługiwać się metodą mniej mechaniczną. Z zadania stawianego swej powieści Jan Brzękowski wyciąga wnioski dotyczące jej formy. Nie pochyla się z melancholią nad swym Nowym Sączem, nie spluwa z hemingwayowską krzepą na jego widok, ani zasnuwa go błękitnawym dymem rzeczy dalekich; widzi go wprost, bez omówień, w jasnym świetle poranka.

Kto był kiedyś w Bochni, Wadowicach lub Nowym Sączu i miał sposobność zetknięcia się z ich mieszkańcami, pozna od razu w *Starcie* osobliwy i nie pozbawiony uroku klimat tych miasteczek. Gdyby nie obawa popełnienia nietaktu zawołałby: *come vivo!* jak Vasari, gdy chwalił sławnych malarzy *cinquecenta*. Od dawna już jednak kryteria tego rodzaju wyszły z użycia, gdy mowa o dziełach sztuki. Dziś nawet fotograf nie byłby zadowolony z takiej pochwały.

Mimo wszystko przypuszczam, że Jan Brzękowski nie będzie się na mnie gniewał za *come vivo*. Od 30-tu lat nazwisko jego łączyło się z awangardą literacką, z eksperymentami w prozie i wierszu, z poszukiwaniem nowych dróg. Słowa odbiegające od konformizmu dawno już zapewne przestały go dziwić. Zna najdokładniej wszystkie nowinki formalne, jakie wnieśli do powieści Joyce, Dos Passos, Ribemont-Dessaignes czy Robbe-Grillet, i jeżeli wybrał dla swej powieści formy zbliżone do klasycznych, był to dla niego też rodzaj eksperymentu i dalszego poszukiwania nowych dróg.

Przez powieść klasyczną rozumiem tu powieść z okresu wielkiego rozwoju tego rodzaju literackiego, od De Foëgo do naturalistów, kiedy powieściopisarzom chodziło więcej o ich temat niż o stworzenie nowego proceduru literackiego. Powieść obejmowała wówczas — jak *Moll Flanders* czy *La Peau de chagrin* — całą przygodę życiową człowieka czy pokolenia, z jego początkami, kulminacją i zmierzchem. Jeżeli zamiar taki nie mieścił się w ramach powieści, dopisywano do niej epilog, w którym postacie opowiadania malały i znikwały w oddaleniu.

Domyślamy się zatem, dlaczego Jan Brzękowski i inni autorzy syntez mających przywrócić nam poczucie ciągłości życia, jak Pasternak i Tomasi di Lampedusa, zaczęli od przeglądu środków leżących w arsenale powieściopisarzy klasycznych.

Doktor Żiwago jest także próbą syntezy. Pasternak ocalał sam jeden ze swego pokolenia. Z rówieśników jego Jesienin, Majakowski i Cwietajewa odebrali sobie życie, Gumilow i Pilniak padli ofiarą represji politycznych, Chodasewicz emigrował, Babel, zanim znikł, przez 20 lat nie napisał ani jednego słowa. Temperament kontemplacyjny Pasternaka sprzyjał być może, na równi z szczęśliwym przypadkiem, zachowaniu się sławnego poety przy życiu. Niezależnie od tego czy leżało to w jego ambicjach, jako na ostatniego rozbitka przypadł nań obowiązek dania świadectwa kataklizmowi, który zmył pozostałych. Temu zadaniu odpowiada *Doktor Żiwago*, cały utkany z rzeczy widzianych, przemyślanych w ciągu długich lat milczenia.

Il Gattopardo odpowiada zbliżonym zadaniom. Sycylijczycy rozczarowali się zarówno do monarchii jak do republiki włoskiej i z rozrzewnieniem wspominają czasy Burbonów. Dlaczego nikt nie bronił samodzielnosci Sycylii i Neapolu? pytają. Giuseppe Tomasi, którego przodkowie, księżęta Lampedusy, byli niegdyś podporami tronu Burbonów, odpowiada w swej powieści na pytanie, jak to się stało, oddaje klimat czasów i wypadków. Takim zadaniom nie służą dobrze ani *écriture artiste* naturalistów, ani monolog wewnętrzny Joyce'a, ani reizm literacki Robbe-Grillet'a ani inne wynalazki ostatniego stulecia. Stąd poszukiwania nowych, chociażby skądinąd bardzo starych dróg.

W zakończeniu chciałbym dodać uwagę o języku *Startu*. Z różnych stron odezwały się ostatnio ubolewania, że pisarze emigracyjni ulegają wpływowi używanego na co dzień języka obcego. Czy to jest prawda, i co z tego może wynikać? Wpływ taki musiałby być widoczny w pierwszym rzędzie u Jana Brzękowskiego, piszącego tyle samo po francusku co po polsku. Czytając uważnie jego powieść, spostrzegamy w niej istotnie dyskretny wpływ dyscypliny francuskiej. Język francuski, jak wiadomo, zawdzięcza część swą przyjrzytości przepisowi, który każe stawiać zawsze podmiot przed orzeczeniem. Pisząc po polsku, Jan Brzękowski trzyma się ściśle tego francuskiego przepisu. Wszyscy jednak czytelnicy będą zapewne zgodni w tym, że ledwie dosłyszalny gallicyzm jest raczej jednym z uroków *Startu*, którego język nie jest przez to ani trochę mniej polski, mniej krakowski, mniej nowosądecki. Światło poranka padające na stronicę powieści łączy się w jakiś sposób z francuską dyscypliną języka.

Paweł HOSTOWIEC

O Miriamie i Mortkowiczu

P. Hanna Mortkowicz-Olczak, córka znanego księgarza i wydawcy Jakuba Mortkowicza, zamieściła w książce „Bunt Wspomnień” (I) artykuł o Zenonie Przesmyckim (Miriamie). Jeśli dawne, zażyciowe, ataki na osobę Miriamy można sobie było tłumaczyć pragnieniem, by „udostępnił on ogółowi” resztę posiadanych pism Norwida, to trudno dopatrzeć się celowości w płytkich przycinkach i pośmiertnym ośmieszeniu powolności wydawniczej Miriamy, bez którego do dziś nie wiedzielibyśmy nawet o istnieniu Norwida — jednego z trzech największych naszych poetów. Miriam zabezpieczył troskliwie w swej piwnicy i przekazał krajowi „skarby rękopisów” tego poety i dziś, po 15 latach posiadania tego skarbu kraj, a panią Hanną włącznie, nie uczynił nic by je społeczeństwu uprzęścić. A więc ów „pięknoduch” o „aspołecznej doktrynie” — jak p. Hanna go nazywa — ustalił teksty i ogłosił między rokiem 1931 a 1938 cztery tysiące stron dzieł Norwida i uwag swych o Norwidzie, gdy dziś w kraju szcycąc się przecie „sztuką dla mas, którym ona służy” — nie wydaje się gotowego do druku Norwida w ogóle. I pani Hanna nie grzi? Czy miast szkalować pamięć wielkiego odkrywcy wielkiego poety nie byłoby właściwiej zwrócić swą zapalczywość przeciw tym, którzy przez lat 15 istotne potrzeby społeczeństwa lekceważą? Ale bezpieczniej jest oczywiście szkalować tych, co się bronić już nie mogą.

Artykuł ten robi wrażenie osobistego porachunku p. Hanny Mortkowiczówny z Miriamem. Inaczej niesposób sobie wyobrazić mściwego, za

(1) H. Mortkowicz-Olczakowa: *Bunt wspomnień*. Warszawa 1959, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 446.

grób sięgającego gniewu o to że Miriam ośmielił się wydawać (tak — właśnie wydawać!) Norwida bez jej handlowego pośrednictwa. Bo to jest osią wokół której autorka zgromadziła całą masę plotek, śmieszniostek i oczernień. Obok niewinnie naiwnych szyderstw z wyglądu Miriamy i jego „pospolitych rysów” czy z jego przysłowiowego roztargnienia i „nie-liczenia się z czasem” — otóż obok tych „pantoflowych” wspomnień, które pamięci Miriamy ujmy nie przynoszą istnieją w artykule szkalujące insynuacje, dla odparcia których postanowiłem zabrać głos. Idzie mi przede wszystkim — i to bardzo — o sprawę *wydawania dzieł Norwida*, którą poruszyła i oświetliła córka Jakuba Mortkowicza niezgodnie z prawdą.

Jako dobra córka przedstawia ona oczywiście ojca — nakładcę Pism Zebranych Norwida — jako przeciwieństwo Miriamy. Czyż naprawdę dla oddania czi zasłużonemu na swój sposób ojcu potrzeba aż szkalować i poniżać pamięć jego — jeszcze bardziej zasłużonego w dziele kultury — przyjaciela, przyjaciela, za jakiego uważał się Miriam do końca? Ojciec autorki miał np. „nie kupiecką, ale iście anielską cierpliwość” gdy Miriam właśnie przejawiał... „kupiecką rozważę”. Papier jest cierpliwy... Bo trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej od Miriamy bezinteresownego w pracy nad rozpowszechnianiem Norwida. Pracy tej — natchnionej i benedyktyńskiej zarazem — nie można nawet porównać z zabiegami zwykłych wydawców, którzy przecież (nie wyłączając zacnego Mortkowicza) żyją z pośrednictwa literackiego. Miriam zresztą zawsze wyrażał się z uznaniem o ojcu autorki.

— Stary Wolff — mówił mi Miriam — uderzył się w dłoń gdy mu proponowałem wydanie Pism Norwida i zawołał: „tu mi włosy wyrosną nim pan znajdzie wydawcę”. Tymczasem Mortkowicz był mądrzejszy i krótko oświadczył: „zrobione, panie Przesmycki!”.

Wszystko co Miriam czynił w „harmonijnej współpracy” z panem Jakubem zachwyca oczywiście jego córkę. Wymienia ona z entuzjazmem „pasję witalną” Miriamy i jego pisarską płodność... I oto nagle wojna 1914 roku przerywa tę współpracę i wszystko co teraz czyni Miriam jest złe, karygodne, opieszałe. A jak było w rzeczywistości? W przedstawieniu p. Hanny i — myślę — w przekonaniu wielu, wina za niedokończenie po wojnie luksusowego wydania Pism Zebranych spada wyłącznie na Miriamę. Otóż rzecz się ma wprost przeciwnie. Ponieważ córka głównego „winowajcy” obarczyła całą odpowiedzialnością Miriamę, uważam za mój niezbyt miły obowiązek sprawę wyjaśnić. Na wydanie całości rozpisal p. Mortkowicz przedpłatę, która dała nadspodziewanie dobre wyniki (wszyscy bodaj b. prenumeratorzy Miriamowskiej *Chimery* nadesłali pieniądze za całość, a więc za tomów osiem). Pieniądze te nie wpłynęły jednak (jak można by sądzić z pomawiań Miriamy o „kupiecką rozważę” i „harpagonizm”) do kieszeni Miriamy, ale właśnie... jej ojca, który wypłacił Miriamowi jedynie niewielkie honorarium za wydane tomy. W ten sposób Mortkowiczowi nie zależało zbyt na kontynuowaniu wydawnictwa po wojnie, a jedynie na sprzedaży tomu F, który był wydrukowany, ale czekał na przypisy Miriamy. Ale Miriam uzależniał to od podjęcia przez Mortkowicza druku dalszych tomów.

Gdy poznałem Miriamę w r. 1929 i zdołałem zaskarbić sobie jego ufność a z czasem przyjaźń — jedynym moim pragnieniem było pomóc mu w wydaniu nieznanych dotąd pism Norwida. W ten sposób zacząłem mą akcję od pośredniczenia między Miriamem a Mortkowiczem, sądząc że zachodzi między nimi tylko nieporozumienie. Odwiedziłem w 1930 r. pana Jakuba, którego poznałem wcześniej. Przyjął mnie serdecznie w tym samym gabinecie, w którym w czasie ostatniej wojny „urzędowała” pani Stefanowa Zeromska; z rozmowy wynioskowałem, iż mu na wydawaniu — niestety

— nie zależy i *nigdy nie zależało* musiałby bowiem „rozdać” kilkaset egz. nowowydanych tomów dawnym prenumeratorem. Nie jest to umniejszenie zasług Mortkowicza, który musiał oglądać sprawy z punktu widzenia kupieckiej kalkulacji a luksusowe wydanie Norwida pociągało ogromne koszty. Mortkowicz odebrał sobie życie w 1931 r. i po wydaniu przez jego firmę „Antologii” Norwida — Miriam nie był obowiązany do dalszej z firmą współpracy.

Wbrew temu co pani Hanna pisze („osobiście nie mogę się skarżyć na brak sympatii Miriam”) Miriam jej nie lubił i jak widać z treści jej „wspomnienia” o przyjacielu ojca — słusznie, najsluszniej, jej unikał. Kiedyś w rozmowie wspominał Miriam z rozrzewaniem czasy gdy „była sympatycznym dziewczęciem” przewidywał jednak już wówczas że „wyróśnie na kupcową”.

Miriam „znał widocznie — pisze autorka — że współpraca z bogatym przemysłowcem i wielbicielem jest *korzystniejsza* (moje podkreślenia dla uwypuklenia atmosfery interesowności ponad którą myśl pani Hanny wznieść się nie może, czy nie pragnie) niż wydawanie Norwida nadal, już po śmierci mojego ojca, w naszym wydawnictwie i wydał w roku 1933 trzy tomy „Ineditów” z funduszu Leopolda Wellisza”. Kto znał Miriam: nie ma do niego jakichś osobistych niechęci — ten wie *na pewno*, że Miriam w wyborze wydawcy nie kierował się interesem własnym (sama autorka stwierdza przecież, że Miriam „poświęcił swój własny majątek na zakup pozornie niezrozumiałych bazgranin Norwida” i na wydawanie „Chimery w sposób dotychczas w Polsce niespotykany”). Miriam kierował się — jak zawsze — interesem Norwida i własną sympatią czy antypatią. I na to nic nie poradzą wywody autorki.

„Nie zatroszczył się Miriam ani troszkę — woła — o moralne i materialne straty jakich był przyczyną”. Straty? Daj Boże Mortkowiczom więcej takich interesów wydawniczych jak Pisma Zebrane! Zarzut „nielojalności” Miriam w stosunku do zachłannej spadkobierczyni p. Jakuba jest tego samego pochodzenia (handlowa egzaltacja). „I wreszcie w roku 1937 — pisze — już nakładem samego Przemyskiego, za którym niewątpliwie ukrywała się skromnie pomoc materialna Wellisza, zaczęły wychodzić Wszystkie Pisma C. Norwida. Ta nielojalność dotknęła mnie”. Zupełnie jakby p. Hanna na miała z Miriamem umowę dzierżawną na wydawanie Norwida. Muszę zresztą wziąć na siebie dużą część odpowiedzialności za to wydawnictwo. Miriam, gdy je podejmował z mą skromną pomocą liczył już sobie lat 74 i rzeczywiście pisanie przychodziło mu z dużą trudnością. W dążeniu do doskonałości wyrazu poprawiał nieustannie treść każdej swej na temat Norwida wypowiedzi. Męczył się tym i zniechęcał, tym bardziej, iż przy pisaniu ręka mu drżała bardzo silnie. W imieniu Miriam odwiedziłem dwóch przez siebie samego wybranych wydawców: Trzaskę i Arcta. (Gdyby Mortkowicz żył niewątpliwie zacząłbym wizyty od niego). Zarówno p. Stanisław Lam jak p. Stanisław Arct obliczali cenę sprzedażną jednego tomu Pism Norwida na ok. 10 zł. i rozkładali ewentualne wydawnictwo na kilka lat. Wówczas powziąłem zamiar znalezienia środków na *tanio*, przejrzyste, pełne i szybkie wydanie Dziel przez samego Miriam z pominięciem zawodowych wydawców. Przemyski początkowo nie wierzył w realność mych kalkulacji, ale wkrótce przekonał się że to było możliwe. Nieoceniony p. Wellisz udzielił rzeczywiście pożyczki na zakup papieru na całe wydanie (wydrukowane zostało we dwa lata tj. do wybuchu wojny 7 tomów z zamierzonych 9), Fundusz Kultury Narodowej nabywał pewną ilość egz. w miarę ich ukazywania się (to zasługa mego nieodżałowanego profesora — Józefa Ujejskiego), poza tym zorganizowałem przedsprzedaż, a wszystko to, by obniżyć do minimum cenę

wydawnictwa z 40 zł. według obliczeń zawodowych wydawców na 12 zł. za cztery pierwsze tomy (1800 stron *petitem!*). Czy można po tak zorganizowanym wydawnictwie zarzucać Miriamowi „brak instynktu społecznego” czy złośliwie „uniedostępnianie Norwida”? Tym bardziej nie wypada to zawiedzionej w swych planach „wydawczyni”. Ani Miriam, ani dzielnie mu sekundujący siostrzeniec, Adam Póltawski, który drukował na dogodnych warunkach Pisma Norwida, ani oczywiście ja żadnego zysku czy wynagrodzenia za pracę nie otrzymaliśmy i nie zamierzaliśmy otrzymać. Jeśli kto może się skarżyć na stratę materialną to jedynie przyjaciel Miriam p. Leopold Wellisz.

„W *szaleństwie* (1) Miriam — kończy swój niesławny artykuł córka Jakuba Mortkowicza — tkwiły jednak realia prawdziwych osiągnięć, uparte pierwiastki wieczności”. Jeśli tak jest, to wypada raczej cieszyć się tym czego dokonał, choćby z pominięciem p. Hanny, pochylić czoła przed wielkim dziełem i zapomnieć choćby na chwilę o handlu literaturą.

Zbigniew ZANIEWICKI

Nadesłane nowości wydawnicze

STROBEL (Georg W. von). *Oskar Lange und die Reformbestrebungen in der marxistischen Wirtschaftstheorie Polens*. Str. 601-624. Odbitka z „Europa-Archiv”, Folge 19-20, 1959.

TARNAWSKI (Wit). *Ucieczka Nowele*. Str. 340. Tom IV Londyńskiej Biblioteki Literackiej, B. Świderski, Londyn, 1960. Cena 30 sh. (lub dol. 4,25).

FOLEJEWSKI (Zbigniew). *U kresu sil*. (Ze studiów nad techniką artystyczną Conrada). Str. 127-135. Odbitka z Zeszytu 6, tomu VI. „Roczników Humanistycznych” Twa Nauk Kat. Uniwersytetu Lubelskiego.

WANDYCZ (Piotr S.) *General Weygand and the Battle of Warsaw of 1920*. Str. 357-365. (Odbitka z Journal of Central European Affairs, Vol. XIX, N° IV, Januar, 1960, USA).

La compagne anti-juive dans la presse soviétique. Recueil de documents. Pp. 70. (Wyd. Congrès Juif Mondial, Centre de documentation, Paris, mars 1960).

FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Slavistic and World Literature*. Odbitka z „The Modern Language Journal”, tom. XLIII, N° 4, April 1959.

Kalendarz „Ludu” na rok 1960. Str. 216. Dodatek do dziennika „Lud”, (Curitiba, Parana, Brazylia).

FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Socialist realism in western literary criticism*. Str. 9. Odbitka z „Comparative Literature, Proceedings if the ICLA Congress in Chapel Hill, N. C., University of North Carolina, 1959.

BURCKHARDT (Carl J.). *Meine Danziger Mission 1937-1939*. Str. 366 i 2 nlb. (Wyd. Verlag Georg. D.W. Callwey, Muenchen, 1960).

JENNE (Józef). *Smagły Wiatr*. Poezje. Str. 166 i 10 nlb. Szkice i okładkę projektowała i wykonała art. mal. Felicja Wierzbicka. Wydano staraniem Polonii w Caracas. (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1959).

FEJTO (François). *Les Juifs et l'antisémitisme dans les pays communistes (Entre l'intégration et la sécession)*, suivi par de documents et de témoignages. Pp. 273 et 7 nlb. (Ed. Plon, Paris, 1960, cena 10,20 NF.).

SANDHURST (B.G.). *Bernadeta Soubirous*. Str. 257 i 8 nlb. Tom XII Serii Niebieskiej „Biblioteki Polskiej”. Obwolutę projektowała J. Chrzanowska. Przekład Mariana Ostoi. (Wyd. „Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, grudzień, 1959, cena 15 sh.).

TERTZ (Abram). *Compagni, entra la Corte*. Traduzione di Anjuta Maver Lo Gatto. Vol. XXXIV Biblioteca delle Silerchie. Str. 93 i 5 nlb. (Wyd. Il Saggiatore, Milano, 1960).

TERTZ (Abram). *The Trial begins*. Translated from the Russian by Max Hayward. Str. 128 i 2 nlb. (Ed. Collins and Harvill Press, Londyn, 1960, cena 12 sh. 6 d.).

ZAJĄC (J.L., Univ. of Edinburgh, Scotland). *Depth Perception of Stereoscopic Images Resulting from Fusion of Crossed and Uncrossed Double Image*. Str. 163-183. (Odbitka z The American Journal of Psychology, Vol. LXXII, Czerwiec 1959, N° 2, Univ. of Texas, Austin, Tex.).

WEINTRAUB (Wiktor). *Literature as Prophecy*. Str. 78 i 2 nlb. Scholarship and Martinist Poetics in Mickiewicz's Parisian Lectures. (Nakładem Mouton & Co S'-Gravenhage, 1959).

SMIEJA (Florian L.). *La primera edición de los Juegos de Noche Buena de Alonso de Ladesma*. Str. 11 i 1 nlb. (Wyd. Instituto Diego de Colmenares, Segovia, 1959).

BILINSKI (Bronisław). *L'antico oplite Corridore di Maratona*. Leggenda o realta. Odczyt wygłoszony 3 marca 1959 w Polskiej Akademii Nauk w Rzymie. Str. 32. (Wyd. Angelo Signorelli Editore, Roma).

MARSHALL (Bruce). *Czerwony Dunaj*. Powieść. Z ang. przełożył Tadeusz Borowicz. Str. 151 i 1 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, luty, 1960).

WRONSKI (Henri). *L'agriculture kolkhoziennne*. Pp. 98-101. Odbitka z miesięcznika „Critique”, listopad, 1958, Paryż).

WRONSKI (Henri). *Le nouveau modèle de l'économie collective en U.R.S.S.* Pp. 19. (Odbitka z Revue économique N° 3, 1959 Paryż).

LITWINSKI (Léon). *L'aspect théâtral de l'Hystérie*. Pp. 7. (Odbitka z „Revue Synthèses”, N° 157, czerwiec, 1959, Gandawa).

KRASIŃSKI (Zygmunt-Napoléon). *Nieboska komedia* (La comédie non-divine). Przekład na język arabski Mohammed Saleh El-Bonack. Wstęp w języku francuskim Hectora Klat'a. (Wyd. Beyrouth, Liban, 1959).

Listy do Redakcji

Freiburg, 15.4. 1960 r.

Szanowny Panie,

Dopiero teraz dowiaduję się z prasy, że Państwo byli przedmiotem przykrych szykan w czasie pobytu we Francji p. Chruszczowa. Wobec tego, że ten pan zamierza przybyć ponownie do Paryża w maju, obawiam się, że policja demokratycznego i przyjaznego kraju ościennego zechce ponowić swoje szykany. Gdyby więc Pan sam, albo ktokolwiek z Jego współpracowników w „Kulturze” chciał uniknąć ich przez wyjazd do kraju, który jest demokratyczny i przyjazny nie tylko z imienia, miło by mi było móc w tym pomóc w każdej postaci, jaka może się okazać potrzebna. Chciałbym jeszcze powiedzieć, że reakcja zarówno większości znanych mi Francuzów, jak i Polaków na sprawę, o której wspominałem, była moim zdaniem nieprawdopodobnie słaba, aby nie powiedzieć niegodna. Dla mnie deportacje były najboleśniejszym wydarzeniem od czasu aresztowania moich kolegów z Uniw. Jagiellońskiego w 1939 r. przez Niemców. To jest dla mnie jeden powód więcej, aby starać się być Panu użyteczny.

Łączę ukłony i wyrazy szacunku.

I.M. BOCHEŃSKI

Paryż, 14 kwietnia 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. J. Laskowskiego pt. „Nad Koryską wieje wiatr od wschodu”, ogłoszonym w ostatnim numerze „Kultury” (Nr 4/150 — 1960) i w którym wymieniana od moje nazwisko, uprzejmie proszę o ogłoszenie w najbliższym numerze następującego sprostosowania:

P. Gordowski nie telefonował do mnie „zaraz po aresztowaniu” (str. 28), lecz dopiero następnego dnia, tj. 4 marca. Rozmawiał ze mną po francusku, zrozumiałem więc, że jest przy nim ktoś z policji. Nie podał, że znajduje się w Beaujon, natomiast zaznaczył, że wraz ze swymi towarzyszami jest w pogotowiu do wyjazdu na lotnisko. Oczywiście na podstawie tego telefonu nikt nie mógł ich odwiedzić, bo nawet gdybym wiedział, że są w Beaujon, to wkrótce mieli stamtąd odjechać.

Co do zdania „To byłby już naprawdę cynizm. Z jakimi minami mogliby do nas przyjść?” włożonego przez autora artykułu w usta min. Demideckiego, to ten w obecności prof. Z. Dygata, red. W. Junoszy-Dąbrowskiego i dr. Paczyńskiego oświadczył: „To jest nieprawda”.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Marian CZARNECKI

Londyn, 9. kwietnia 1960

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie odpowiadałem na poprzednie zaczepki p. Gombrowicza w jego „Dzienniku” oraz listach do redakcji, albowiem starały się one sprowadzić dyskusję do poziomu błazenady i wygłupiań, typowych chwytów przedwojennej kawiarni warszawskiej. Ponieważ jednak p. Gombrowicz w swoich fragmentach z „Dziennika” ogłoszonych w nrze kwietniowym nawraca do mojej skromnej osoby i przeinacza fakty, pomimo ustalenia ich przeze mnie w poprzednim moim liście, pozwałam sobie zajmować czas Pana łaskawych Czytelników i miejsce w Pana doskonałym piśmie tym krótkim sprostowaniem. Oto p. Gombrowicz pisze, że gdy replikował na moje krytyczne uwagi o jego sposobie pisania „zdawało mi się”, że jestem „felietonistą li tylko, ale już wtedy coś wyglądał mi na polonistę”. Przeczucia nie omyliły p. Gombrowicza, albowiem, jak powiada, moja replika ujawniła, że jestem „profesorskim synem”.

Przeczucia omyliły p. Gombrowicza, który najwidoczniej zbyt wiele polega na przeczuciach a za mało na solidnej wiedzy, lekturze, na znajomości rzeczy. Istotnie, jestem synem profesora literatury polskiej, którego liczne dzieła o literaturze innowierczej w Polsce, o Skardzie i o Słowackim, aż po teorię literatury są dobrze w nauce polskiej znane. Nie jestem jednak i nie byłem polonistą i p. Gombrowicz nie pofatygował się nawet, aby przeczytać dokładnie mój list (czyżby ciekawiło go tylko to co odnosi się do jego własnej osoby?). Jestem z wykształcenia anglista, studiowałem literaturę angielską i francuską; doktoryzowałem się w r. 1927 na uniwersytecie Jagiellońskim u prof. Romana Dyboskiego na podstawie pracy o Walterze Paterze, nauczycielu Oscara Wilde’a (praca ta pojawiła się w r. 1931 w Pozn. Tow. Przyj. Nauk; w r. 1927 wyszła książka o Conradzie, pierwsza rzecz polska o tym pisarzu). Mam za sobą tuzin książek polskich, w tym dwie powieści nienajgorzej notowane przez krytykę polską; kilka książek po angielsku, poczynając od wydanej w r. 1943 rzeczy pt. „Creative Peace: An Integration of Europe A Necessity” aż po wydaną w r. 1950 „Your Undiscovered Island” — wszystkie te prace dobrze, a nieraz entuzjastycznie przyjęte przez krytykę angielską. Mam za sobą blisko 10 tomów przekładów z literatury anglosaskiej, niemieckiej i skandynawskiej od Hemingway’a po Sigrid Undset. Obok Ferdynanda Zweiga i Jerzego Pietrkiewicza jestem tym autorem polskim, który ma najwięcej publikacji po angielsku; a szkice moje o literaturze europejskiej — w tym polskiej — czasem nawet wspominam tam nazwisko W. Gombrowicza — oraz o zagadnieniach międzynarodowych pojawiają się na łamach takich oto czasopism: „Contemporary Review”, „Quarterly Review”, „Times Literary Supplement”, „Time & Tide”, „Tablet”, „Dublin Review” jak również w pismach kontynentalnych. P. Gombrowicz może znaleźć moje nazwisko i listę mojego dorobku (zarówno po polsku jak angielsku, pod własnym nazwiskiem i pod pseudonimem) w takich publikacjach jak „The Author’s and Writer’s Who’s Who” (edycja 1949; nowa: 1960).

Jest to stary i brzydki chwyt próbować obniżyć rangę tych, co nas krytykują. Gdybym stosował metody p. Gombrowicza napisałbym, że „zdawało mi się”, iż pochodzi on z głębokiej prowincji, z jakiegoś chyba Radomia; że w „przecuciu” tym umocniła mnie lektura szkicu Płomińskiego w księdze ku uczczeniu S.I. Witkiewicza, gdzie nakreślono ucieśzną sylwetkę prowincjonalnego i pretensjonalnego Gombrowicza odwiedza-

jącego swojego mistrza, Witkacego. Ale ponieważ los pozwala mi żyć na Zachodzie i interesować się naprawdę pasjonującymi zjawiskami i pisarzami, więc nie będę zajmować się dalej osobą p. Gombrowicza. Wystarczy, że poprzestanę na stwierdzeniu faktów dotyczących mej osoby, faktów, które p. Gombrowicz stara się w swoim farsowym stylu przeinaczyć. Niech się dalej bawi. Może jakiś nowy Plaut znajmie się tą krótkowilną postacią patologicznego Pisarza-Samochwała.

Zbigniew GRABOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Tróchę się spóźniłem z zapowiedzianymi uwagami o recenzentach krajowych mej ostatniej książki. Ale nie przypuszczałem, że poza R. Piestrzyńskim (który o jednym z nich pisał przed rokiem w „Orle Białym”) wyręczą mnie w pewnym sensie, jeszcze u schyłku ubiegłego roku, W. Wohnout w „Kulturze” i po troszę J. Mackiewicz w „Wiadomościach” manheimskich.

Jestem w ogóle w kłopotcie, gdyż nigdy nie pisałem o recenzentach mych książek. Nie umiałbym i dziś pisać o recenzentach emigracyjnych. Tu bowiem sprawa jest jasna. Autor pisze, inni krytykują, a ostatecznie decyduje czytelnik, który może przeczytać zarówno książkę jak to co o niej piszą.

Zupełnie inaczej przedstawia się rzecz z recenzentami krajowymi omawiającymi książkę polityczną jaka ukazała się na emigracji. A „Rok złych wróżb” — choć to tylko dziennik powstały przed laty — jest książką o treści politycznej.

W Kraju wszystko zaczyna się od tego, że nikt takiej książki nie ogląda na półkach księgarskich. Książka jest — co tu gadać — zakazana. A jeśli jakimś cudownym sposobem dotrze do Kraju kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt jej egzemplarzy jest to już bardzo wiele. Dociera za to bez przeszkód do wybranego grona. Składa się ono z ludzi, o których wiadomo z góry jak potraktują (nie znając jeszcze treści książki) rzecz napisaną przez takiego „faszystę”, jak nie przymierzając Katelbach. Ludzie ci są biegli w prawie, jakie w takich wypadkach w Kraju obowiązuje i którego naruszać nie wolno. Spośród nich rekrutują się recenzenci książek emigracyjnych publicystów. Artykuły ich bez żadnych trudności ukazują się w prasie partyjnej.

Do kategorii tych „wybranych” należy pseudo-bezpartyjny pisarz Jarosław Iwaszkiewicz. Postać to dobrze znana w Kraju i za granicą z tego, że w każdym reżymie: sanacyjnym, faszystowskim czy komunistycznym, umie być na właściwym miejscu. Umie być zawsze *salonfähig* na różnych, najbardziej śliskich posadzkach rządowych. Posiada ponadto kunszt zdobywania sobie tzw. pozycji. Z wysokości jej feruje wyrok na pisarza emigracyjnego.

Iwaszkiewicz pierwszy rozprawił się z „Rokiem złych wróżb” na łamach „Życia Warszawy”. Napisał, że trudno o książkę bardziej kompromitującą emigrację londyńską i że w ogóle nie ma w niej „żadnej szerszej myśli, żadnego większego horyzontu”. Nawet „gorzki humor” autora jest, według Iwaszkiewicza, humorem niezamierzonym.

Ale w recenzji Iwaszkiewicza jest przynajmniej jedno, może także niezamierzone, lecz trafne spostrzeżenie. Książkę moją nazywa „wyją-

kowo smutną", a porównując życie Kraju pod okupacją z naszym życiem emigracyjnym w czasie wojny pisze: „To co nam się wydawało małym życiem — było chyba właśnie życiem wielkim. A w każdym razie życiem właściwym, po prostu życiem”.

Tak się i mnie, w czasie wojny, nie tylko wydawało. Byłem tego pewien. Życie na emigracji wojennej było w porównaniu z krajem małe. I dlatego mój notatnik z tych czasów, pisany dla siebie i bez myśli czy się będzie kiedyś komu podobał, musiał być odbiciem tej małości. Była ona codzienną udręką każdego jako tako myślącego politycznie człowieka, gdy przyglądał się wspaniałej postawie żołnierza polskiego na Zachodzie i nie umiał zapomnieć o codziennej walce toczony przez Kraj z okupantem. Czyż można się dziwić, że przelewając na papier rozmowy prowadzone z samym sobą najczęściej uwagi i miejsca poświęcałem dręczącym mnie tematom?

Ale wracam do recenzentów krajowych. Gdy więc Iwaskiewicz z wysokości zajmowanej „pozycji” niejako ustalił właściwy kierunek potraktowania mej książki, odezwali się inni. W „Polityce” ukazał się krótki artykuł pt. „Książka Katelbacha” sygnowany literą K (czyżby Koźniewski?). K. zaczął od krótkiego powołania się na autorytet czyli Iwaskiewicza, pisząc, że nie cofnął się on „przed użyciem najostrożniejszych słów piętnujących małość ideową autora”. Obszerniej za to powołał się na recenzję Zygmunta Zaremby o mej książce umieszczonej bez mała rok temu w londyńskim „Dzienniku Polskim”. Zaremba — jak o tym sam wspomina w tej recenzji — zna mnie od czasów sztabackich. Powinien więc wiedzieć co myślałem o Niemcach przed wojną, w czasie wojny i co myślę teraz. Mimo to z powodów których nie chce mi się dociekać, umieścił w swej recenzji takie złośliwe zdanie: „Natomiast co druga stronica zawiera pobożne westchnienia, aby Niemcom się powiodło zatrzymać czy odepchnąć Moskali”.

To jedno zdanie wystarczyło, aby K. wysnuł z niego zaraz wniosek, że wydanie mej książki było potrzebne „do podtrzymania klimatu przyjaźielskich stosunków jakie powoli zaczynają nawiązywać się pomiędzy politykami z grupy gen. Andersa i rewizjonistami z NRF”. Co słowo to igrastwo, ale w powołaniu się na zdanie Zaremby, polityka przebywającego na emigracji, mogło mieć przynajmniej posmak bardziej zbliżony do prawdy.

Wkrótce potem inny pan podpisany inicjałem W (czyżby Wilhelm?) zamieścił w „Trybunie Literackiej” notatkę pod obiecującym tytułem: „Ze studiów nad Katelbachem”. Ten znowu, powołując się na jakąś recenzję o mej innej książce napisaną przez M. Wańkiewicza, duchowego kuzyna Iwaskiewicza, nazwał mnie barwnie „kibicem armii hitlerowskiej w rządzie emigracyjnym”, a czytelników pragnących dowiedzieć się jeszcze czegoś o tym kibicu odsyłał do omówienia „Roku złych wróżb”, którego dokonał niejaki Wojciech Sulewski.

Tym Sulewskim zajmę się nieco dłużej. Nie dlatego, że napisał najwięcej, bo aż dwie recenzje o mej książce. Jedną w „Tygodniku Literackim”, drugą w „Tygodniku Demokratycznym”. Pierwsza nosi tytuł: „Gdybyś ci Niemcy...!” Tytuł drugiej brzmi zupełnie niedwuznacznie: „Kandydat na polskiego Quislinga?”. Ten kandydat z łaskawym znakiem zapytania — to ja. Otóż nie długość szpałt wypisanych przez Sulewskiego skłania mnie do zwrócenia większej uwagi na jego elaboraty, lecz wyłącznym fakt, że są one klasycznym wzorem fałszywych opinii preparowanych w kraju o książce politycznej publicysty emigracyjnego i — rzecz prosta — o jej autorze.

Nie znam Sulewskiego i nie chcę go poznawać. Nic o nim nie wiem. Sądę jednak, że musiał chyba wyjść ze szkoły zawodowego paszkwilanta

Arskiego. Przeczytał ją książkę dokładnie. Wie doskonale, że w 1943 roku nie miałem najmniejszej wątpliwości, że wojna dla Trzeciej Rzeszy jest przegrana. Ale radość z klęski Niemiec zaturbała nam obawy, że w ślad za cofającą się armią niemiecką wkroczą do Polski tylko wojska sowieckie, a co za tym idzie Związek Sowiecki będzie miał najwięcej do powiedzenia w sprawie przyszłości naszego narodu i państwa. A tego nikt z nas nie chciał. Nie tylko ja. Nie chcieli tego, co w imię prawdy stwierdził na łamach „Kultury” Londyńczyk, dziesiątki tysięcy Polaków nie tylko znajdujących się w Anglii, ale i w Afryce i na Środkowym Wschodzie. Czy znaczyło to, że życzyliśmy sobie zwycięstwa Trzeciej Rzeszy? Ale żonglerowi operującemu dowolnie zestawionymi cytatami nie chodzi o prawdę. Musiał przecież dowiedzieć, że w książce swej „Katelbach zaprezentował się jako zdecydowany sympatyk III Rzeszy i zwolennik wspólnej z nią walki przeciw ZSSR” oraz że jego książka jest „wyznaniem niedoszłego Quislinga”.

Nie będę polemizował z Sulewskim. Tym bardziej nie będę mu odpowiadał autobiografią polityczną w której — gdy o stosunek do Niemiec chodzi — ciemne plamy mogłyby dostrzegać może tacy politycy jak Władysław Studnicki lub jego w pewnym sensie uczeń Stanisław Mackiewicz. Każdy, kto orientuje się w moim skromnym dorobku politycznym wie, że człowiek krejujący mnie na niedoszłego „Quislinga” jest albo głupcem, albo... Sulewski na głupca nie wygląda.

Na tym chciałbym skończyć moje uwagi o krajowych recenzentach „Roku złych wróżb”. Muszę jednak poruszyć jeszcze jeden szczególnie powód, który skłonił mnie do ich napisania.

Bodaj przed dwoma laty, a więc w okresie gdy czuć było jeszcze w Polsce świeży powiew październikowej wiosny, spotkałem się z pewnym dziennikarzem krajowym. Zapewniał mnie, że w Kraju poddano rewizji obowiązującą do października metodę podchodzenia do historii dwudziestolecia i do okresu ostatniej wojny. Dowodził z przekonaniem, że ludziom zajmującym się tymi zagadnieniami w Polsce chodzi o wydobyć wreszcie prawdę, odrobienie zaniedbań w tej dziedzinie i w ogóle oczyszczenie wiedzy o najnowszej historii ze skorupy paszkwilanckiego kłamstwa.

Recenzje o mej książce dowodzą, że do takiego zwrotu, niestety, nie doszło. A szkoda wielka. Bo gdyby ludzie zajmujący się na emigracji jej dziejami politycznymi nabrali przekonania, że zwrot taki się dokonał na pewno chętnie wysyłaliby do kraju swe zapiski, opracowania i dokumenty. Pełno ich dotąd w prywatnych szufladach, szafach i skrzyniach.

I jeszcze jedno. Nie przerażaj ani mnie, ani bardziej ode mnie powołanych i bardziej utalentowanych pisarzy emigracyjnych, żadne najobrzydliwsze inwektywy. Przeciwnie. Podnieć do dalszej pracy w przekonaniu, że kiedyś przecież książki nasze będą w Polsce czytane nie tylko przez „wybranów” czy nielicznych, przypadkowych czytelników, lecz przez wszystkich, którzy się nimi zainteresują. Wtedy dopiero kraj pozna całą prawdę, często bolesną, lecz prawą. A tylko prawda, nie zaś banały pisane dla „pokrzepienia serc”, przemawia do czytelników. Zmusza go do myślenia i wyciągania wniosków na przyszłość. Lecz nastąpi to dopiero wówczas, gdy z owego „lex intangenda” stosowanego wobec polskiej publicystyki emigracyjnej — poza wspomnieniem — nic nie pozostanie. Nie będzie wtedy w Polsce miejsca na preparowane recenzje i nie będzie także potrzeby pisanie o nich — że użyję jeszcze raz słów Sulewskiego — tak „przerażająco szczerych” uwag jak moje.

Łączę wyrazy szacunku

Tadeusz KATELBACH

Londyn, 11 kwietnia 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę przede wszystkim wyrazić moje głębokie uznanie dla Redakcji „Kultury” że zechciała otworzyć swoje łamy dla debaty nad sprawą beatyfikacji śp. Metropolity Szeptyckiego.

Mam szereg powodów do zabrania głosu w tej sprawie:

1) Primo. Jestem przedstawicielem rodziny, która przez szereg wieków należała do kościoła unijnego i wydała szereg dostojników tego kościoła. Związki mojej rodziny z rodziną Szeptyckich ilustruje choćby ten fakt, że gdy w sierpniu 1936 roku w podziemiach cerkwi samborskiej odkryto obszerną kryptę, znaleziono w niej obok grobowców moich przodków fundatorów cerkwi również grób arcybiskupa z rodziny Szeptyckich (Vide „Kurier Warszawski” z dnia 26 sierpnia 1936 r. Nr 233). Zaznaczam przy tym że przynależność do Kościoła Unijnego nie oznacza bynajmniej pochodzenia ruskiego, skoro dużo rodzin na Podkarpaciu pieczętujących się herbem Sas jest pochodzenia wołoskiego względnie siedmiogrodzkiego, jak to wykazał w swojej źródłowej pracy Ludwik Wyrostek (Ród Dragów-Sasów na Węgrzech i Rusi Halickiej, Kraków, 1932, Rocznik Polskiego Towarzystwa Heraldycznego, tom XI).

2) Secundo. Miałem zaszczyt poznać w roku 1929 Metropolitę Szeptyckiego w Rzymie, gdzie przebywałem jako Radca Ambasady R.P. przy Watykanie. Było to z okazji Zjazdu Biskupów Kościoła grecko-katolickiego, który odbywał się pod przewodnictwem Metropolity w Kolegium Ruskim, pod wezwaniem Świętych Sergiusza i Bachusa. Metropolita Szeptycki zrobił wówczas na mnie wrażenie bardzo głębokie, w rozmowie okazał się człowiekiem o wielkiej kulturze ogólnej (był wielkim znawcą malarstwa francuskiego). Był on pod każdym względem człowiekiem Zachodu. Cieszył się on wielkim poważaniem w Watykanie, gdzie, jak to mogłem nieraz stwierdzić, nasza walka z metropolitą przynosiła nam wielkie szkody.

3) Tertio. W moich studiach nad okresem międzywojennym historii Polski niejednokrotnie mogłem stwierdzić, jak wiele nam zaszkodził brak odpowiedniego gestu w stosunku do Ukraińców, po opanowaniu przez nas województw południowo-wschodnich. Rozumiem dobrze jak bardzo zaciężyła tutaj przelana krew w obronie wschodnich kresów Rzeczypospolitej, próba ze strony Ukraińców rozstrzygnięcia siłą sprawy przynależności tych terenów, w której wielu, nie bez słuszności, dopatrywało się inspiracji postronnych, wrogich Polsce. Na pewno winą nie leżała po jednej tylko stronie. Mielśmy przecież nawet ludzi, którzy życiem swoim zapłacili próby dojścia do porozumienia z Ukraińcami, że wymienię w pierwszym rzędzie świetlaną postać Tadeusza Hołówki, człowieka stojącego tak blisko Piłsudskiego. Jednakże koncepcja, którą reprezentowała u nas prawica, a która m.in. znalazła swój wyraz w szeregu mów Prezydenta Wojciechowskiego w latach 1924-1925 że *tylko* Polacy mają być gospodarzami w Rzeczypospolitej była błędna, była sprzeczną zarówno z naszymi najwspanialszymi tradycjami Polski przedrozbiorowej, jak i składem narodowościowym odrodzonej Rzpltej. Ciekawe jest że spośród naszych mężów stanu najwięcej zrozumienia dla tej sprawy okazał Minister Aleksander Skrzyński. Na jego konto zapisać należy wezwanie do Rządu, wystosowane z Londynu po uznaniu przez Mocarstwa granic wschodnich R.P. w marcu 1923 r. Oto tekst depeszy wysłanej za jego podpisem z Ambasady w Londynie w dniu 20 marca 1923 roku:

„Myślę iż byłoby wskazane, gdyby jeszcze przed świętami, jakiś akt Rządu Polskiego lub uchwała Sejmu, któremu by się dało wielki rozgłos

zaświadczył o dobrej naszej woli w stosunku do Rusinów (amnestia polityczna, decyzja w sprawie uniwersytetu, lub coś w tym rodzaju). Chodzi tu o „prestige” nasz państwowy, o udowodnienie że Polska ma tak wysoko rozwinięty umysł państwowy, iż zwycięstwo nie zawraca jej głowy i że *Polska umie zwyciężać*. Jest to nam przez wzgląd na przyszłość niezbędne”.

Jak wygląda na tle tak ogólnie zarysowanej sytuacji postać Metropolity Szeptyckiego. Był on przede wszystkim pasterzem powierzonych sobie owiec, pragnął wydzwignąć kościół unijny ze stanu marazmu i poniżenia. Pod tym względem dokonał bardzo dużo żeby wspomnieć tylko jego pracę nad podniesieniem poziomu zakonów, które były pepinierami wyższego kleru. W ciężkich chwilach przez jakie przechodzili jego wierni musiał przy nich stanąć i nikt mu tego za złe poczynać nie może. Ale stąd jest daleko do oskarżania go że był nacjonalistą albo że popierał metody terroru. Miał on naturę urodzonego misjonarza, myślą i działalnością wychodził daleko poza szranki Polski, nakreślone Traktatem Ryskim. Można tak czy inaczej zapatrywać się na politykę Watykanu w tej sprawie, ale Kościół Rzymski nigdy swego wielkiego zadania misyjnego odstąpić nie może.

Metropolita wraca do Polski dopiero potem jak sprawa granic Polski została międzynarodowo uznana. Przekroczył granicę Polski pod Dziędziami w nocy z 22 na 23 sierpnia. Jednak wagon z Metropolitą zostaje skierowany nie do Lwowa ale do Poznania, gdyż ówczesny Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, znany działacz Stronnictwa Narodowego, Głabiński, uznał że jego powrót do Lwowa wywołałby tam zamieszki, skoro Szeptycki nie złożył obiecanej deklaracji lojalności. Zaznaczam że ówczesny organ lewicy „Kurier Poranny” w artykule z dnia 29. VIII zatytułowanym „Sprawa Metropolity Szeptyckiego a artykuły 97 i 11 Konstytucji” uznał internowanie metropolity za złamanie konstytucji, które utrudni nasze stosunki z Watykanem i zaogni stosunki narodowościowe w województwach południowo-wschodnich.

W Poznaniu Metropolita zachorował, ale od samego początku starał się o uzyskanie audiencji u Prezydenta Wojciechowskiego. Nie jest mi wiadomo czy audiencję taką uzyskał, ale widocznie poprzednie zastrzeżenia co do jego lojalności musiały zostać usunięte, skoro mógł on powrócić do Lwowa w październiku 1923 roku. 14 października Metropolita odprawił uroczyste nabożeństwo w Katedrze Św. Jura we Lwowie i udzielił błogosławieństwa licznie zgromadzonym wiernym.

Nie ma na to dowodów, aby Metropolita Szeptycki po powrocie do Lwowa był zaangażowany w jakąś akcję anty-państwową. Nie należy go identyfikować z wszystkimi poczynaniami podległego mu kleru, który, niewątpliwie, był w wielu wypadkach poważnie zaangażowany w akcję polityczną. Z perspektywy czasu musimy i tutaj zdobyć się na ocenę bardziej obiektywną. Czyż kler rzymsko-katolicki, zarówno w Polsce jak i na Litwie, Słowacji i gdzie indziej trzymał się zawsze z daleka od polityki? Niewątpliwie nie zawsze wychodziło to na dobre Kościołowi, zwłaszcza w czasach normalnych, ale przyznać trzeba że w okresie zawieruchy dziejowej rola jaka przypada klerowi wykracza nieraz poza ramy czysto kościelne, bo przecież kler jest żywą częścią narodu, a w krajach o rzadziej warstwie inteligencji, jest ostoją ruchów niepodległościowych.

To że Metropolita był człowiekiem wielkiej świętobliwości i bardzo surowego życia (nosił stale włosienicę i sypiał na prostym żelaznym łóżku) jest rzeczą powszechnie znaną. Nie wydaje mi się aby w życiu publicznym stanął w kolizji z zasadami moralności chrześcijańskiej. W każdym razie proces jego beatyfikacji jest w toku i obowiązkiem każdego katolika, który miałby jakieś informacje w tej sprawie, albo znajduje się w posiadaniu jakichś dokumentów (np. listów osoby, której proces beatyfikacyjny jest w toku), jest przedstawić takowe Świętej Kongregacji Obrządków w

Rzymie (Eminentissimo Cardinale Prefetto della S. Congregazione dei Riti, Piazza San Callisto, Roma). Zaniedbanie tego obowiązku jest obłożone sankcjami kościelnymi.

Bardzo gorąco łączę się ze zdaniem wyrażonym w liście do „Kultury” (Nr 4/150) przez p. Andrzeja Chciuka: „Gdyby kanonizacja Szeptyckiego doszła do skutku byłby on Orędownikiem zbliżenia polsko-ukraińskiego”. Ani na chwilę w to nie wątpię. Przodkowie nasi zapisali tak piękne karty w dziele Unii, że byłoby pomniejszaniem naszego wielkiego dorobku cywilizacyjnego nie życzyć jak najprędzej odrodzenia tego bogatego w przepiękne tradycje kościoła, dziś zniszczonego ręką moskiewską.

Tytus KOMARNICKI

Londyn, 30 marca 1960

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem w marcowym numerze „Kultury” zapowiedź przeprowadzenia ankiety na temat spraw społeczno-gospodarczych w Kraju i witam tę zapowiedź jako bardzo pożyteczną i na czasie. Uważam, że emigracja zbyt mało wie o przemianach, które stale zachodzą w polskiej strukturze gospodarczej, a oczywiście bez dokładnej znajomości najważniejszych faktów i bez należytej orientacji odnośnie tendencji polityczno-gospodarczych rządu warszawskiego, nie możemy wytworzyć sobie jasnego poglądu w sprawie remediów, które należałoby zastosować dla poprawy sytuacji gospodarczej w Polsce.

Będąc czytelnikiem „Kultury” od wielu lat, znam oczywiście ankietę społeczno-gospodarczą, którą Pan Redaktor przeprowadził w roku 1956. Przyczyniła się ona niewątpliwie do rzucenia światła na ważne sprawy, dotyczące Kraju, i mam nadzieję, że obecna inicjatywa Redakcji spełni również rolę dodatnią.

Nie jestem ekonomistą i dlatego nie sugeruję żadnych myśli do zamierzonej ankiety, ale z pewnością będę uważnym jej czytelnikiem. Sądzę, że wyrażę pogląd wielu spośród nas, jeżeli powiem co następuje. Ankiety takie, jak dwie wspomniane powyżej, są słupami milowymi w dziele stwarzania orientacji wśród nas, mieszkających poza krajem, ale pozwoli mi Pan Redaktor stwierdzić, że nie wystarczają one. Pięć lat dzieli te dwie ankiety, a ileż to rzeczy uległo w tym czasie ogromnym zmianom! Dlatego sądzą, że oprócz ankiet są potrzebne artykuły o bieżących sprawach gospodarczych kraju, w których redakcja oświeślałaby z właściwą sobie umiejętnością syntetyzowania rzeczy, to wszystko, co się dzieje w gospodarstwie polskim.

Poza tym, czy nie uważa Pan, Panie Redaktorze, że wskazane byłoby drukowanie artykułów o sprawach gospodarstwa światowego. Polski czytelnik, mam na myśli typowego czytelnika, nie studiuje pism fachowych i dlatego słabo się orientuje w najważniejszych nawet sprawach gospodarczych obcych krajów. O ile chodzi o czystą politykę, to prasa polska na emigracji daje dość poważną sumę materiału faktycznego i poglądów, ale gospodarcze sprawy są naprawdę kopcuszkim. Trzeba sobie powiedzieć z ręką na sercu, że typowy inteligent polski dotychczas jeszcze nie wie, co to jest plan Schumana, na czym polega spór między państwami o wspólny rynek europejski, albo jakie są główne fakty, charakteryzujące sytuację w krajach gospodarczo zacofanych i jak się przedstawia bilans wojny, prowa-

dzonej środkami ekonomicznymi dla opanowania świata przez Sowiety. Takich przykładów można by dać znacznie więcej; odnośnie wszystkich tych faktów należałoby stwierdzić, że czytelnik polski wie o nich tylko ogólnikowo. A przecież, choć nie wchodzi w rachubę zrobienie z każdego inteligenta polskiego specjalisty w sprawach gospodarczych, to jednak z pewnością warto dać mu podstawowy materiał do przemyślenia problemów, o których tu mowa.

Jak powiedziałem, nie jestem ekonomistą, jednak sądzą, że głos mój jako przyjaciela „Kultury” zechce Pan Redaktor wziąć łaskawie pod uwagę.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

Marek KOZARYN

Londyn, 5-go kwietnia 1960

Szanowny Panie Redaktorze,

Zwracam się do Pana z uprzejmą prośbą o zamieszczenie w „Kulturze” załączonego listu, którego wydrukowania „Dziennik Polski” w Londynie odmówił, wymawiając się upływem dłuższego czasu od zakończenia procesu gen. Andersa przeciwko „Narodowcowi”.

Proszę przyjąć wyrazy szczerzego szacunku

Kazimierz OKULICZ

Londyn, 24 marca 1960

„Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim zdaniu art. wst. z dnia 2 marca rb. pt. „Napiętnowanie oszczerstwa” oświadczyła redakcja, że wyrok sądu w sprawie gen. Andersa — pp. Kwiatkowski i Gaś jest także dniem satysfakcji nam wszystkim uchodźcom i honorowi wolnych Polaków”.

Zadałem sobie — wobec tego — trud przeczytania uważnie szczegółowych sprawozdań z całości procesu, podawanych przez „Times” w ciągu prawie trzech tygodni, przedtem bowiem znalazłem tylko fragmenty. Ta lektura skłoniła mnie do skierowania do Pana Redaktora niniejszego listu.

Jest bezspornym prawem redakcji wyrazić zadowolenie, czy też każdą inną ocenę tego procesu, — o ile jednak czyni to ona w imieniu własnym. Ale autor artykułu sformułował swój pogląd w taki sposób, że musi on być zrozumiany jako pogląd w s z y s t k i c h (podkr. moje) uchodźców i wolnych Polaków. Jako jeden z tych ostatnich zmuszony jestem zastrzec się stanowczo przeciwko temu sformułowaniu.

To że gen. Anders poczuł się zniesławiony niedorzecznymi zarzutami gazety „Narodowiec” w Lens jest jego sprawą osobistą. To że uznał za konieczne — dla obalenia tych zarzutów — odwołać się do angielskiej ławy przysięgłych, było jego subiektywnym prawem.

Ale moim prawem, jako zwykłego wolnego Polaka, jest powiedzieć otwarcie, że to zadośćuczynienie uzyskał gen. Anders kosztem wywołania otwartych martwych koszmaru lat klęskowych, kosztem widowiska, przynoszącego wielu wolnym Polakom uczucie zażenowania, udręki i niesmaku. Doradcy

prawni gen. Andersa nie mogli nie przewidzieć takiego rozszerzenia tła procesu.

Oto przesunął się przed polsko-angielską widownią, jak na ekranie filmowym, korowód upiórów z niedawnej przeszłości. Po kilkunastu latach wystąpiły ponownie, w całej swej okazałości, — nieugaszone niczym, ani czasem ani refleksją, — stare urazy, pasje i zjadłości. Wybuchły uczucia nienawiści i wzajemne oskarżenia przywódców politycznych tej smutnej epoki lub ich subalternów, — przed obcym, zimnym i dalekim gremium, zmuszonym nieoczekiwanie dla siebie do wydawania werdyktu kto z tych Polaków był rzeczywistym patriotą a kto nie.

Ujrzyliśmy b. premiera rządu polskiego na uchodźstwie, oskarżającego Polaków o zamach na życie premiera i nac. wodza, gen. Sikorskiego — w toku działań wojennych, oraz obdarzającego nac. dowódcę wojsk polskich w Rosji mianem „narzędzia Stalina”. Jeden b. ambasador charakteryzował tegoż dowódcę, jako człowieka „falszywego do szpiku kości” w stosunku do nac. wodza; inny znów b. ambasador stwierdzał, że rząd polski w Londynie podczas wojny najważniejszego dlań, obok niemieckiego, problemu Rosji nie znał (a jaki znał?). Zobaczyliśmy w roli świadków ludzi robiących wrażenie chorych i nieodpowiedzialnych, lecz, mimo to, dyszących zemstą. Usłyszeliśmy cytowany raz jeszcze publicznie werdykt Churchilla o dzielności Polaków i nikczemności ich przywódców. Wreszcie poczęstował nas obrońca strony pozwanej stwierdzeniem, że w każdym razie głównym wygrywającym w tej sprawie będzie komunistyczny rząd w Warszawie, a obrońcy stron obu złożyli wyrazy ubolewania, że spory i animozje wewnętrzne emigracji polskiej musiały być debatowane przed sądem obcym z tak gwałtowną pasją.

I to wznowienie przed sądem brytyjskim monstrualnego dramatu narodowego z lat wojny ma być satysfakcją dla w s z y s t k i c h, — jak chce autor artykułu — wolnych Polaków?

W ciągu kilku lat po ukazaniu się artykułu, będącego powodem procesu, nie spotkałem nikogo — nie wyłączając zdecydowanych przeciwników gen. Andersa — kto by o zarzutach, w nim zawartych wiedział, lub, jeżeli nawet o nich słyszał — traktował je poważnie. A po procesie, nie spotkałem znów nikogo, poza tymi których w ogóle nic nie obchodzi, kto by nie odczuł dotkliwie, jako Polak, widoku publicznej chłosty, którą wymierzili sobie przed obcym sądem i obcym audytorium ludzie sprawujący kierownictwo polityczne emigracji polskiej w krytycznych latach II-ej wielkiej wojny.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

Kazimierz OKULICZ"

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 2 trimestre 1960

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo	4 dol. am.	6 dol. am.	
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganika, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Île, Paris-4	2,50 NF	13 NF	26 NF
HOLANDIA : T. Szpilcynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 3445 Marlowe Avenue, N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; Roman J. Sas-Babczynski, 64 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 4-1407; Vatra Trade, 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiakowic », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NOWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	2,50 fr. s
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kalkskärgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dzievanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St., Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890	75 cent.	4 dol.	z 6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél.: 87-87-89.	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowości

BIBLIOTEKA "KULTURY" :

TOM LII

HALSZKA GUILLEY-CHMIELOWSKA

SPOTKANIA NA GALERII

POWIEŚĆ

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1959.

Cena egzemplarza 9 NF (13 sh., \$ 2,—)



TOM LIII

JÓZEF CZAPSKI

O K O

SZKICE O MALARSTWIE

Cena egzemplarza 12 NF (17 sh. 3 d.; \$ 2,50)